

Rozdział 1

Złapali ją na parkingu Casey's General Store, kiedy pakowała zakupy do samochodu. Było ciemno, padało i wiał porywisty wiatr, więc nie usłyszała, jak zachodzą ją od tyłu.

Pierwszy z nich otoczył jej szyję ramieniem i zasłonił dłonią usta. Wydała z siebie stłumione, pełne przerażenia westchnienie — jak zwalana z nóg przez lwa antylopa. Mężczyzna szarpnął ją gwałtownie i odciągnął do tyłu. Zakupy rozsypały się po ziemi.

Próbowała się wyrwać, był jednak zbyt silny. Ciągnął ją przez asfaltowy parking, aż dotarli do czarnej furgonetki zaparkowanej w najciemniejszym zakątku parkingu pod zepsutą latarnią.

Drugi mężczyzna otworzył tylne drzwi samochodu. Miał na twarzy połyskującą jak naga kość białą papierową maskę bez wyrazu. Po chwili stanął przed nią trzeci mężczyzna. Jego twarz również zasłaniała maska, ale

z namalowanymi zębami, wyszczerzonymi jak u zamierzającego zaatakować zwierzęcia. W rękach trzymał coś, co przypominało ciasno zwiniętą bandanę.

— Posłuchaj, młoda damo — powiedział bandzior, który trzymał ją za szyję. Miał zachrypnięty i zduszony głos, jakby cierpiał na astmę albo się przeziębził. — Radzę nie krzyczeć, bo jeśli spróbujesz, zrobimy ci krzywdę. Na wszelki wypadek założymy ci knebel.

Próbowała szarpać głowę na boki, ale mężczyzna trzymał tak mocno, że nie mogła nią poruszyć. Rękawiczka na jego dłoni pachniała surową skórą, jakby była całkiem nowa.

— Możesz przestać się wyrywać? — zapytał. — Nie chcemy cię zranić, ale zrobimy to, jeśli będzie trzeba.

— Hmfh... — wyjęczała.

Mogła łąpać powietrze jedynie krótkimi, płytkimi oddechami, a jej serce waliło boleśnie o żebra. Próbowała sobie przypomnieć, czego uczono ją na kursach samoobrony: jeśli nie możesz się wyrwać, lepiej się poddać.

Mężczyzna odsunął dłoń od jej ust.

— Dobra dziewczynka — powiedział, kiedy nie krzyknęła.

Bandzior w masce z wyszczerzonymi zębami wepchnął jej bandanę w usta i zawiązał ją z tyłu głowy. Gdy spróbowała przełknąć ślinę, omal się nie zakrztusiła.

— Boli? — spytał trzymający ją mężczyzna.

Kiwnęła głową i jęknęła.

— To dobrze — mruknął.

Napastnik w masce bez wyrazu wyciągnął skądś plastikowe kajdanki, założył je na nadgarstki kobiety i zacisnął. Potem złapali ją we trzech, wrzucili na tył furgonetki i przykryli plandeką. Wierzgnęła nogami i trafiła mężczyznę w szczerzącej się masce w biodro. Nic nie powiedział, nawet nie jęknął, ale brutalnie przycisnął ją do podłogi i ścisnął stopy, aby jego kompan w masce bez wyrazu mógł na nie założyć drugie plastikowe kajdanki. Potem zarzucili na nią plandekę i zatrzasnęli drzwi. Kilka sekund później zawarczał silnik i samochód wytoczył się tyłem z parkingu. Poczula, jak koła podskakują na „śpiącym policjancie” i furgonetka ostro skręca w lewo.

♦ ♦ ♦

Leżała w ciemnościach pod plandeką, a knebel w ustach sprawiał, że ciągle musiała przełykać ślinę. Z początku była zbyt przerażona, aby płakać. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Gdy wychodziła ze sklepu, jej największym zmartwieniem było, czy ma w domu dość masła orzechowego, ale teraz nie wiedziała, jak długo jeszcze pożyje.

Furgonetka skręciła ostro w prawo, potem znowu w lewo. Kobieta za każdym razem przetaczała się po podłodze, objijając się boleśnie.

Nie mogła przestać myśleć o swoim aucie, które zostało na parkingu z otwartym bagażnikiem i kluczami w drzwiach. Pomyślała o Heidi i Joannie, które miały

wrócić ze szkoły za jakieś dwadzieścia minut. Kto się nimi zajmie, jeśli jej się coś stanie?

Jak przyjmie to Daniel? Może już jej nie kochał, ale od ponad siedmiu lat byli małżeństwem i chyba nadal mogli uważać się za przyjaciół.

Samochód jechał i jechał, podskakując na wybojach i kiwając się na boki. Czuła, że ogarnia ją klaustrofobia i coraz większa panika. Plandeka śmierdziała papierosami i oddychanie pod nią było męczarnią. Od knebla bolały ją szczęki, a plastikowe kajdanki wrzynały się w przeguby rąk i kostki nóg. Kiedy auto skręciło w lewo i znowu się zabujało, boleśnie uderzyła się w prawy bark.

Jej oczy wypełniły łzy, a z głębi gardła wydobył się cichy jęk. Nie miała pojęcia, dlaczego ją porwano ani czego ci mężczyźni mogli od niej chcieć. Nie mogło chodzić o pieniądze, bo choć Daniel miał firmę ubezpieczeniową, nie był bogaty — podobnie jak jej rodzice.

Zamknęła oczy i zaczęła szukać w pamięci słów modlitwy.

Najświętsza Panienko, uchron mnie od nieszczęścia... nie pozwól, aby zrobili mi krzywdę... Nie chcę umierać. Najświętsza Panienko, pozwól mi iść do domu i przytulić dzieci...

Samochód zwolnił, skręcił, podskoczył na wyboju i stanął.

Kobieta leżała pod plandeką i słuchała. Słyszała męskie głosy, nie mogła jednak rozpoznać słów. Skrzypnęły otwierane przednie drzwi, kiedy pasażerowie wysiadali z wozu.

Jeszcze przez chwilę rozmawiali, po czym otwarły się tylne drzwi. Jeden z mężczyzn pochylił się i ściągnął plandekę z głowy kobiety. Był to ten w masce bez wyrazu.

— Przepraszam za niewygodną jazdę — powiedział.

Jego usta były jedynie wąskim przecięciem w masce, więc nie można było stwierdzić, czy mówi poważnie, czy żartuje. Miał filadelfijski akcent, a słowo „przepraszam” brzmiało w jego ustach jak „szeproszom”.

— Pospiesz się, na Boga! — wychrypiał drugi mężczyzna stojący z boku furgonetki.

Wyciągnęli ją ze środka samochodu za kajdanki na nogach i postawili na chodniku, trzymając za ramiona, żeby się nie przewróciła. Stała twarzą twarzą z bandziorem o chrapliwym głosie, który pierwszy ją zaatakował. Również miał na twarzy maskę, ale uśmiechniętą. Szaleńczo, histerycznie — jak Joker z komiksów o Batmanie.

Furgonetka stała na podjeździe piętrowego domu o bladzielonych ścianach, przy długiej, prostej podmiejskiej ulicy, której kobieta nie rozpoznawała. Oprócz jej prześladowców nikogo w pobliżu nie było. Mokre chodniki świeciły pustkami, a gałęzie drzew strzelały na wietrze, co przypominało uderzenia fal oceanu o betonowe nabrzeże.

Mężczyzna w masce z wyszczerzonymi zębami złapał ją pod pachy, a bandzior w masce bez wyrazu za kostki nóg. Podnieśli ją i ruszyli w stronę domu. Kiedy wnieśli ją schodkami na werandę, ten w uśmiechniętej masce wyjął z kieszeni klucze i otworzył drzwi frontowe.

— Witamy — powiedział i zakaszał, przyciskając do ust pięść. — Proszę z nami.

♦ ♦ ♦

Wnętrze domu było mroczne i zalatywało wilgocią. Uśmiechnięty przytrzymał drzwi, aby jego kompani mogli wnieść kobietę do środka. Kiedy znaleźli się w holu, postawili ją na podłodze. Uśmiechnięty podszedł do brzydkiego stolika ze sklejki, zapalił stojącą na nim lampę bez abażuru, po czym zamknął drzwi frontowe i zaryglował je na dwa zamki.

Kobieta wpatrywała się w niego rozszerzonymi strachem oczami. Podszedł do niej i dłonią w rękawiczce uniósł jej głowę.

— Boisz się? — spytał zaflegmionym głosem. — Nie ma nic gorszego od poczucia bezradności, prawda? A także od niewiedzy, co się za chwilę stanie, czyż nie?

Rozejrzała się po jaskrawo oświetlonym holu. Po jej prawej stronie znajdowały się jakieś uchylone drzwi, prawdopodobnie prowadzące do salonu. Na końcu korytarza były jeszcze jedne, ale zastawiono je stertą krzesel i deską do prasowania.

— Zapraszamy dalej — powiedział Uśmiechnięty.

Otworzył drzwi do salonu i wszedł do środka, a jego kompani ujęli ją pod pachy i ruszyli za nim. Pokój miał jakieś dziesięć metrów długości, jedną ścianę kasztanową i trzy kremowe. W powietrzu unosił się zapach wilgoci, równie silny jak w korytarzu, ale tutaj czuć było także

inne zapachy — coś przypominającego zaschniętą krew, płyn przeciwko owadom, zsiadłe mleko, stary dym papierosowy.

W ścianie naprzeciwko wejścia znajdował się kominek z surowych kamieni zapchany spalonymi do połowy gazetami. Nad nim wisiała oprawiona w ramę litografia przedstawiająca jesienny las. W każdym rogu pokoju stał fotel z brudną tapicerką, a podłogę zasłaniał wyświechtany dywan. Na jego środku leżał wielki materac w paski pokryty niezliczonymi ciemnymi plamami, dużymi i małymi — niektóre z nich przypominały lotnicze zdjęcia wyschniętych jezior.

Uśmiechnięty położył kobiecie dłoń na ramieniu i poklepał ją.

— W końcu wszystko sprowadza się do jednego. Prędzej czy później wszyscy kończymy w piekle.

Skinął głową Wyszczeronemu, który poluzował węzły knebla z tyłu głowy kobiety. Uśmiechnięty wyciągnął jej z ust bandanę i rzucił ją na podłogę. Nie krzyknęła, choć miała wielką ochotę to zrobić. Wiedziała, że zdjęli jej knebel, ponieważ nie było możliwości, aby ktokolwiek usłyszał jej krzyk. W taki ponury deszczowy wieczór wszyscy z pewnością siedzą w swoich domach w wygodnych fotelach, z piwem w dłoniach i pizzą, przed włączonym telewizorem.

Obojętna Mina podszedł bliżej i wyjął z kieszeni cążki. Ukłął przed kobietą i przeciął plastikowe kajdanki na jej nogach, po czym wstał i w ten sam sposób oswobodził jej

ręce. Było to jeszcze bardziej przerażające. Skoro ją uwolnili, musieli mieć stuprocentową pewność, że nigdzie nie ucieknie.

Wytarła usta rękawem swetra. Popatrzyła na otaczających ją mężczyzn, próbując przez dziury w maskach dostrzec ich oczy, ale widziała tylko migotanie przypominające błysk korpusów przemykających pod zlewozmywakiem karaluchów.

— Musicie pozwolić mi odejść — powiedziała.

Uśmiechnięty pokręcił głową.

— Obawiam się, że nie ma takiej możliwości — stwierdził. — Już prawie piąta i kończy nam się czas.

— Nie możecie mnie tu trzymać! Po co jestem wam potrzebna?! Sąsiadka spodziewa się mnie o piątej. Jeśli się nie zjawię, zadzwoni na policję!

— Być może, ale policja cię nie znajdzie — odparł Uśmiechnięty i pociągnął nosem. — W każdym razie nie na czas.

— Proszę... musicie mnie puścić. Jeśli wam chodzi o pieniądze, to nie mam za dużo...

Uśmiechnięty znowu pokręcił głową.

— Zapewniam cię, że to, co możesz nam dać, jest znacznie więcej warte od pieniędzy. Jest bezcenne.

— Więc o co wam chodzi? — spytała zduszonym ze strachu głosem. — Chcecie seksu? Zamierzacie mnie zgwałcić?

— To zaproszenie? — wtrącił Wyszczierzony.

Napastnik w masce bez wyrazu odwrócił głowę i za chichotał cicho.

— Słyszałaś kiedyś o egzorcyzmach? — spytał Uśmiechnięty.

— Oczywiście — odparła. — Ale co egzorcyzmy mają wspólnego ze mną? Jestem tylko zwykłą kobietą i matką i chciałabym wrócić do domu, aby przygotować dzieciom kolację. Jeśli macie ochotę na egzorcyzmy, dlaczego nie wezwiecie księdza?

— Ponieważ nie zamierzamy egzorcyzmować demona, a księża właśnie tym się zajmują.

— Więc o co chodzi? Czemu akurat ja jestem wam potrzebna?

— Ponieważ jesteś zwykłą kobietą i matką i chcesz jedynie wrócić do domu, aby przygotować dzieciom kolację. Spełniasz wszystkie wymagane warunki. A także odpowiednio wyglądasz. Prawie — stwierdził Uśmiechnięty.

Przeszedł przez pokój i wziął wiszący na oparciu jednego z foteli czerwony materiał. Kiedy uniósł go w górę, kobieta zobaczyła, że to tania sukienka bez rękawów.

— Po co mi to pokazujesz? — zapytała.

— Bo chcę, żebyś założyła tę sukienkę.

— Po co?

— To część egzorcyzmu. Nie możemy go dokonać bez odpowiedniej... aranżacji, prawda?

— Powiniście pozwolić mi wrócić do domu — po wtórzyła.

Uśmiechnięty podszedł do niej tak blisko, że słyszała rzężenie w jego płucach.

— Nie chcemy cię skrzywdzić, ale jeśli nie zrobisz

tego, co ci każemy, będziemy musieli. — Wyciągnął do niej sukienkę. — Proszę. Powinna być dla ciebie dobra. Popatrzyła na pozostałych mężczyzn.

— Gdzie mogę się przebrać?

— Tutaj. Na naszych oczach. To także część procedury.

Powiesiła sukienkę na oparciu najbliższego fotela, a potem powoli zaczęła rozpinąć suwak swojej granatowej pikowanej kurtki. Mężczyźni obserwowali ją w milczeniu. Zdjęła kurtkę i powiesiła ją na oparciu fotela obok sukienki.

— To nie musi trwać całą wieczność — mruknął Uśmiechnięty.

— Czego chcecie?! — krzyknęła. — Po prostu powiedz cię, czego ode mnie chcecie!

— Nie musisz się złościć. Robisz to, co ci każemy, nie mielibyśmy jednak nic przeciwko temu, gdyby odbywało się to nieco szybciej.

Choć bardzo nie chciała okazywać strachu, po jej policzkach zaczęły spływać łzy. Pochyliła się, rozpięła suwaki kozaczków i zdjęła je, a potem ściągnęła przez głowę sweter.

— *Soutien-gorge* też — powiedział Uśmiechnięty.

Sposób, w jaki wymówił to francuskie słowo, jeszcze bardziej nasilił jej strach.

Pokręciła głową.

— Nie.

— *Soutien-gorge* też albo go rozetniemy i nie będziemy zbyt delikatni.

Sięgnęła na plecy i rozpięła biustonosz. Kiedy go

zdejmowała, zamknęła oczy, próbując sobie wyobrazić, że to jedynie zły sen i wcale jej tu nie ma.

— Spódnice również — dodał Uśmiechnięty.

Gdy otworzyła oczy, okazało się, że nadal znajduje się w środku mrocznego pomieszczenia, otoczona przez trzech obserwujących ją zamaskowanych mężczyzn. Drżącymi palcami rozpięła guzik i suwak, zdjęła spódnice i zneruchomiała, ubrana tylko w białe koronkowe majtki i rajstopy. W pokoju panowało zimno, ale jej było gorąco ze strachu i wstydu.

— Czekamy — powiedział Uśmiechnięty. — Nie mamy cierpliwości Hioba.

— Proszę... — jęknęła. — Zrobię wszystko, co ze chcecie.

— Możesz się założyć o swój słodki tyłeczek, że zrobisz. Nie ociągaj się. Zdejmuj rajstopy i te śliczne majteczki również.

Zrobiła, co kazał, i po chwili była całkowicie naga.

— Jaka ładnie przystrzyżona cipka... — powiedział Uśmiechnięty, a mężczyzna w masce bez wyrazu znowu zachichotał. — Może w końcu założysz sukienkę?

Była uszyta z materiału o nierównych nitkach, nie miała podszewki i okazała się trochę za ciasna w biuście, ale wcisnęła się w nią jakoś i obciągnęła dół, aby sięgała za kolana.

— Znakomicie! Jesteś do niej tak podobna... mógłbym przysiąc, że wróciła z cmentarza — zauważył Uśmiechnięty.

Kobieta nic na to nie odpowiedziała. Drżała ze strachu i zastanawiała się, co jej teraz każą zrobić.

Wyszczierzony przeszedł po materacu i stanął przy jej lewym boku. Czuć było od niego kamforę, jakby posmarował się maścią przeciwbólową.

— Masz rację — mruknął. — Mogłaby być jej sobowtórem... prawie. Ale jest... bo ja wiem... ładniejsza. Nie tak cholernie... poplamiona.

Obojętna Mina również przeszedł po materacu i stanął z prawej strony kobiety. Popatrzyła najpierw na jednego, a potem na drugiego. Obaj wbijali w nią wzrok, ale maski wszystko ukrywały. Była tak bardzo przerażona, że omal się nie zsikała.

— No cóż, chyba teraz powinnaś się napić — stwierdził Uśmiechnięty. Sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął plastikową piersiówkę wódki Sobieski i odkręcił ją. — To jej ulubiony gatunek. Tylko jedenaście dolców za butelkę... właśnie dlatego. Przyprawdźcie panią do mnie, koledzy.

Wyszczierzony i Obojętna Mina złapali ją za ręce i zaciągnęli na środek materaca. Trudno im było zachować równowagę i wyglądali jak początkujący marynarze próbujący utrzymać się w pionie na pokładzie tańczącego na falach statku.

— I co teraz? — zapytał Uśmiechnięty. — Sądzisz, że będziesz potrafiła jej dorównać?

Nie była w stanie nic odpowiedzieć.

— Teraz uklęknij — polecił jej Uśmiechnięty. — Sprawdzimy, do czego się nadajesz, a do czego nie.

Wyszczierzony i Obojętna Mina podciągnęli wysoko splecione za plecami ręce kobiety i musiała opaść na kolana. Kiedy dotknęła materaca, poczuła, że jest wilgotny. Unosił się z niego odór moczu i zaschniętej krwi.

Uśmiechnięty podszedł do niej i podsunął jej butelkę z wódką.

— Proszę... obsłuż się. Tak jak ona.

— Nie piję... — wykrztusiła kobieta.

Przyłożył dłoń do papierowego ucha maski.

— Słucham? Co powiedziałaś? Nie pijesz? Musisz, bo to element egzorcyzmu. Wszystko trzeba rozegrać dokładnie nie tak samo... Nigdy nie nosiła bielizny, więc ty też nie możesz mieć na sobie bielizny. Zawsze nosiła czerwoną sukienkę, więc i ty musisz być ubrana w taką sukienkę. — Zamilkł na chwilę i westchnął. — Piła wódkę. Chyba właśnie dlatego to się wydarzyło... piła od rana do wieczora. Czasem była tak bardzo pijana, że ledwie rozpoznawała ludzi. Czasem nawet nie wiedziała, kim jest.

Ponownie wyciągnął rękę z butelką i przytknął ją kobiecie do ust.

— No, bądź dobrą dziewczynką... Pij.

Zacisnęła usta i odwróciła głowę.

— Cóż, przykro mi... — mruknął Uśmiechnięty i dał znak swoim towarzyszom.

Obojętna Mina złapał ją za włosy i odciągnął głowę do tyłu, a Wyszczierzony tak mocno ścisnął jej szczęki, że musiała otworzyć usta.

Uśmiechnięty wlał jej wódkę do gardła. Popłynęła

gorącym strumieniem prosto do żołądka, a kiedy kobieta spróbowała krzyknąć, kilka kropli alkoholu dostało jej się do płuc. Uśmiechnięty stał nad nią i czekał, aż przestanie kaszleć, jednak w końcu się zniecierpliwił, skinął głową swoim kompanom i wlał kobiecie do gardła kolejną porcję alkoholu.

— Może i wyglądasz jak ona, ale nie da się zaprzeczyć, że nie umiesz tak samo pić — stwierdził.

Kobieta kaszłała i charczała, jakby za chwilę miała zwymiotować, i rozpaczliwie próbowała złapać powietrze, jednak Uśmiechnięty zmuszał ją do przetykania, aż butelka została opróżniona. Rzucił ją na podłogę, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej następną.

— Nie! — krzyknęła. — Nie mogę już! Zabijecie mnie!

— Zabijemy cię? Nie zabijemy. Chcemy tylko, żebyś się dobrze bawiła!

Wyszczeryzony i Obojętna Mina znowu pociągnęli ją za włosy i otworzyli jej usta, a Uśmiechnięty wlał jej do gardła pół zawartości następnej piersiówki.

Kiedy w końcu ją puścili, natychmiast opadła na czworaka. Bolał ją brzuch, jakby dostała pięścią, ale mogła wreszcie oddychać. Mężczyźni stali wokół niej i obserwowali ją w milczeniu.

— Dlaczego mi to robicie? — zaszlochała. — Co wam zrobiłam?

— Nic, skarbie, poza tym, że byłaś w nieodpowiednim czasie w nieodpowiednim miejscu — odparł Uśmiechnięty. — Przynajmniej nieodpowiednim dla siebie.

Ponownie sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął paczkę marlboro. Wystukał z niej papierosa, wetknął go w szparę maski i zapalił. Gdy wydmuchiwał dym, wyleciał zarówno z otworów na usta, jak i na oczy, co wyglądało, jakby paliła mu się cała głowa.

Ukląkł przed kobietą i wyciągnął w jej stronę zapalonego papierosa.

— Proszę, to powinno cię trochę uspokoić.

Pokręciła głową.

— Nie palę.

— Chyba nadal nic nie rozumiesz... Ona paliła, więc i ty musisz palić. To egzorcyzm. Musisz robić dokładnie to samo co ona. Musisz się nią stać. To ma być... symboliczne.

Przytknął jej papierosa do ust. Wpatrywała się buntowniczo w jego karaluchowate oczy, ale nie ustąpił.

— Przecież wiesz, że będziesz musiała się zaciągnąć — oświadczył. — Jeśli tego nie zrobisz, zgaszę papierosa na twoim oku... a to chyba też by ci się nie spodobało, prawda?

— Nienawidzę cię... — wymamrotała.

Pokiwał z uznaniem głową.

— Dobrze... znakomicie. Ona też tak mówiła. Człowiek leży na niej i daje z siebie wszystko, a ona patrzy ci w oczy i mówi: „Ty gnoju, chciałabym, żebyś właśnie w tej chwili dostał zawaha, żebyś mogła poczuć, jak we mnie umierasz”.

Dźgnął jej wargi filtrem i tym razem je rozchyliła. Kiedy

wsunął między nie papierosa, dym wleciał jej do oczu i znowu zaczęła kaszleć.

— No, skarbie, nie wygłupiaj się — powiedział Uśmiechnięty. — Musisz się zaciągnąć. Inaczej nie poczujesz kopa.

Po chwili zdecydowała się wciągnąć dym w płuca i natychmiast dostała kolejnego ataku kaszlu. Był tak silny, że musiała pochylić się do przodu i przycisnąć czoło do materaca.

— Przydałoby się trochę poćwiczyć — mruknął Wyszczierzony. — Ona bez problemu dawała sobie radę z dwoma paczkami dziennie. Czasami nawet z trzema.

Uśmiechnięty usiadł na jednym z foteli i zapalił następnego papierosa. Obojętna Mina również usiadł, a Wyszczierzony podszedł do okna i rozsunął ciemnobrązowe zasłony.

— W dalszym ciągu pada — stwierdził.

— Zasuń te cholerne zasłony! — krzyknął Uśmiechnięty. — Chcesz, żeby cała okolica się dowiedziała, że ktoś jest w środku?

— Nikogo nie ma na zewnątrz.

— Nigdy nie wiadomo.

Minęło dziesięć minut. Uśmiechnięty palił, Obojętna Mina kiwał nogą, a Wyszczierzony krążył po pokoju, zadając głupie pytania, na które żaden z jego kompanów nawet nie próbował odpowiadać.

— Pamiętajcie, że trzeba naprawić alternator?

— Jedliście kiedyś kanapkę ze stekiem w Quizno?

Wyśmienita. Mają też z kurczakiem i majonezem. Nigdy nie wiem, na którą się zdecydować.

— Sądzicie, że będzie padać całą noc?

Kobieta przez cały czas klęczała na środku materaca. Zaczynało jej się kręcić w głowie i miała coraz większe problemy z utrzymaniem równowagi. Zamknęła oczy i modliła się, aby po ich otwarciu okazało się, że jest w domu, a to wszystko było tylko złym snem, ale wciąż czuła smród dymu papierosa, którego palił Uśmiechnięty, i słyszała chodzącego po pokoju Wyszczерzonego.

Proszę, proszę... Najświętsza Panienko, niech to wszystko się skończy... proszę...

Uśmiechnięty pstryknął niedopałek do kominka i wstał, a zaraz po nim podniósł się Obojętna Mina. Wszyscy trzej podeszli do materaca i stanęli wokół kobiety.

— Wyglądasz, jakbyś była nieźle pijana — mruknął Uśmiechnięty.

— Jesss mi nieopsze... — wybełkotała.

— Tylko się nam tu teraz nie porzygaj, skarbie. To może odstręczyć faceta, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

— Nie... nie rossumiem.

— W takim razie chyba ci pokażemy. Co wy na to?

Pchnął ją otwartą dłonią w twarz. Przewróciła się na plecy.

— Nieee! — krzyknęła. — Co roppisz?! Nie!

Próbowała przekręcić się na bok, ale Uśmiechnięty pchnął ją ponownie, tym razem obiema rękami, a potem rzucił się na nią i przydusił do materaca.

Był ciężki i bardzo silny. Trzymał ją prawą ręką za szyję, a lewą sięgnął do paska spodni i zaczął go rozpinać.

— Nie! — wrzasnęła w białą papierową twarz. — Słaśś sse mnie, draniu! Słaśś ze mnie!

Podciągnął brzeg taniej czerwonej sukienki i kolanami rozepchnął uda kobiety na boki. Krzyczała zachrypniętym, piskliwym głosem, choć doskonale wiedziała, że nikt jej nie usłyszy.

Uśmiechnięty odwrócił się do swoich kumpli.

— Chodźcie, chłopcy, na co czekacie? Ona aż się do tego ślini. Wszystkie dziury wolne.

Zanim zamknęła oczy, zobaczyła, że zaczynają rozpinać spodnie. Gdy Uśmiechnięty ze stękaniami zaczął się w nią wpychać, pozostała dwójka również wlaźła na materac. Spróbowała myśleć o słonecznym jesiennym dniu w Lafayette i spacerze z Danielem, który jej się właśnie wtedy oświadczył, i poczuła się szczęśliwa.

♦ ♦ ♦

Otworzyła oczy. Leżała na prawym boku i drżała z zimna. W salonie było ciemno, mrok rozświetlał jedynie wąski pasek światła z ulicznych latarni padający skosem na materac przez szparę w zasłonach. Zakaszłała, usiadła i rozejrzała się wokół.

Zamaskowani mężczyźni zniknęli, choć w powietrzu nadal wisiał odór ich potu, smród papierosowego dymu i słaby zapaszek maści mentolowej. Zaczęła nasłuchiwać, ale w domu panowała cisza, zakłócana jedynie stukotem kropli deszczu o szyby.

Miała sukienkę podciągniętą powyżej piersi i kiedy ją obciągała, poczuła między udami i pośladkami zimną śliską lepkość. Wszystko ją bolało i mimo ciemności widziała po wewnętrznej stronie ud fioletowe placki siniaków. Kiedy oblizwała wyschnięte usta, smakowały jak płyn do czyszczenia toalet.

Nie płakała. Była zbyt wstrząśnięta, poza tym jeszcze nie wytrzeźwiała. Mogła myśleć jedynie o szarpaniu, pchaniu, dyszeniu i bólu. Jeszcze nigdy nie doznała podobnego bólu. Był gorszy niż ten, jaki czuła podczas porodu.

Leżała przez chwilę bez ruchu, zbierając siły, aby wstać i włożyć swoje rzeczy. Mimo że była obolała, odczuwała ulgę. Niezależnie od tego, co jej zrobili trzej zamaskowani mężczyźni, było już po wszystkim, żyła i nie została okaleczona. Najświętsza Paniienka ją ochroniła — przynajmniej na tyle, na ile była w stanie.

Kiedy złapała podłokietnik najbliższego fotela i zacisnęła na nim palce, aby się podciągnąć, usłyszała głos dziecka:

— Mamo?

— Och... — wykrztusiła zaskoczona i rozejrzała się.

W cieniu rzucanym przez otwarte drzwi stał może dwunastoletni chudy, blady chłopiec. Miał gęste czarne włosy i był ubrany w piżamę w biało-czerwone paski.

— Kim jesteś? — spytała. Miała tak obolałe gardło, że z trudem mówiła. — Co tu robisz? Nie masz nic wspólnego z tymi ludźmi, prawda?

Chłopiec wyszedł zza drzwi. Wyglądał dość niezwykle —

miał wielkie, czarne, szeroko rozstawione oczy i wydłużoną czaszkę upodabniającą go do kosmity. Wargi — nienaturalnie czerwone — były wygięte jak łuk Kupidyna.

— Mamo, czy mogę z tobą spać?

— Nie jestem twoją mamą, chłopczyku. Poza tym muszę już iść. Gdzie są twoi rodzice?

— Nigdy nie pozwalasz mi ze sobą spać...

Odchrząknęła.

— Przykro mi, ale nie jestem twoją mamą. I naprawdę muszę już iść.

Chłopiec przeszedł przez pokój, usiadł na materacu i popatrzył na nią wielkimi czarnymi oczami. Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka czubkami palców. Były bardzo zimne.

— Nigdy nie pozwalasz mi ze sobą spać... — powtórzył.

— Posłuchaj: nie jestem twoją mamą i muszę iść.

Mieszkasz w tym domu? Kto się tobą opiekuje?

Chłopiec objął ją ramionami i przycisnął głowę do jej piersi.

— Kochasz mnie, mamo, prawda? — zapytał.

Jego włosy pachniały nieświeżo, jakby dawno nie były myte. Złapała go za rękę i próbowała odepchnąć.

— Mówię po raz ostatni: nie jestem twoją mamą, więc bądź tak miły i puść mnie.

— Nie puszczę cię. Zostanę z tobą na zawsze. Im pozwalasz ze sobą spać, a mnie nigdy.

— Puść mnie — powtórzyła. Znowu spróbowała się od

niego oderwać, ale wczepił palce w jej sukienkę i kiedy chciała wstać, straciła równowagę i przewróciła się na materac. — Puszczaj mnie! — krzyknęła.

— Nie puszcze cię — powtórzył. — Nie puszcze.

Zamachnęła się i uderzyła go z całej siły w skroń. Zacisnął ręce na jej sukience, więc znowu go uderzyła, a potem jeszcze raz i jeszcze raz.

— Puszczaj, mały draniu!

— Nigdy nie pozwalasz mi ze sobą spać! Nigdy nie pozwalasz mi ze sobą spać!

— Puść mnie, do jasnej cholery!

Chłopiec uniósł głowę, ale nie oderwał się od niej. Był tak blisko, że nie widziała go wyraźnie.

— Pamiętasz, co się stało, mamó? — spytał cichym, konspiracyjnym tonem.

— Nie jestem twoją mamą i niezależnie od tego, co to było, niczego nie pamiętam. Chcę tylko, żebyś mnie puścił.

— Pamiętasz — powiedział.

Sposób, w jaki wymówił to słowo, sugerował, że musi chodzić o coś niezwykle sprośnego.

Chwyciła go za ramiona i usiłowała odepchnąć, ale trzymał się jej jak małpa, która nie chce dać się oderwać od drzewa.

— Puszczaj! — wrzasnęła.

Złapała go za uszy i zaczęła szarpać jego głowę w przód i w **tył**.

— Puszczaj mnie, puszczaj mnie, puszczaj mnie!

Nagle chłopiec się zapalił. Zapłonęły nie tylko jego

włosy czy piżama — cały buchnął płomieniami, jakby był nasączony benzyną. Zawył przeraźliwie, szeroko otwierając usta.

Kobieta również zawyła, bo płomień smagneły jej twarz, a ramiona i włosy zapaliły się jak pochodnia. Rozpaczliwie próbowała oderwać się od chłopca, ale im gwałtowniej płonął, tym mocniej ją trzymał. Czuła, jak jej uszy zwijają się w małe zwęglone supełki, a powieki kurczą. Po chwili gałki oczne pękły od gorąca i oślepla.

Ból był nie do wytrzymania. Płonęła od stóp po czubek głowy. Kiedy z sukienki pozostały tylko zwęglone strzępy, skóra na jej plecach zrobiła się najpierw jaskrawoczerwona, a potem czarna. Jej ciało pachniało jak grillowany stek.

Po chwili płomień zaczęły gasnąć. Kobieta leżała na dymiącym materacu, drżąc w szoku, w pozycji płodowej, jaką z powodu napinania się ścięgien przyjmuje większość ofiar pożaru. Balansowała na granicy świadomości i choć była ślepa i głucha, a jej palce przypominały zwęglone patyczki i nie wyczułaby nawet, gdyby chłopiec znajdował się obok niej, była pewna, że jest sama.

Rozdział 2

Ruth obudził głośny szept Amelii przypominający gorący grzmot:

— Zrobiłam ci śniadanie.

Otworzyła oczy i zamrugła. Amelia pochylała się nad nią, jej ciemnoblonde włosy były ściągnięte do tyłu w przekrzywiony na bok koński ogon. Tak blisko przysunęła swoją elfią twarz, że Ruth nie widziała jej wyraźnie.

— Słucham? — wymamrotała.

— Zrobiłam ci śniadanie. I nawet napisałam menu.

Ruth usiadła. Leżący obok Craig był tak dokładnie opatulony, że widać było jedynie czubki palców jego dłoni wystające spod kołdry jak spod gruzów zawałonego budynku. Oddychał bardzo spokojnie i powoli.

— Oto twoje menu — oświadczyła Amelia i pokazała matce kartkę papieru nutowego, również przysuwając ją tak blisko, że nie dało się nic przeczytać.

Ruth odwróciła się i spojrzała na zegarek. Kwadrans po

piątej. Alarm był nastawiony na piątą trzydzieści, więc Amelia obudziła ją jedynie piętnaście minut przed czasem.

— Ciii... — szepnęła. — Nie obudź ojca. Ostatnio źle sypia.

— Tata mówi, że nigdy nie jesz porządnego śniadania, a ty, że nigdy nie masz na nie czasu, więc zrobiłam ci porządne śniadanie — powiedziała dziewczynka jednym tchem.

— Ciii... — powtórzyła Ruth i przytknęła palec do ust. — Zaraz przyjdę do kuchni.

♦ ♦ ♦

Weszła do łazienki i zdjęła wiszący z tyłu drzwi różowy flanelowy szlafrok. Popatrzyła w lustro nad umywalką. Miała podpuchnięte oczy, a jej krótko ostrzyżone blond włosy wyglądały, jakby przez całą noc stała na rufie „Peauoda”. Opryskała twarz zimną wodą, przeciągnęła kilka razy szczotką przez włosy i uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze. Wciąż jeszcze była ładna i szczupła mimo dużych piersi, ale powoli zaczynała odczuwać wiek.

Zatrzymała się przy drzwiach pokoju Jeffa i otworzyła je. Leżał na posłanym łóżku w dżinsach i zielonym T-shircie z logo zespołu Morbid Angel, ze słuchawkami od iPod'a w uszach, i spał, głośno chrapiąc.

Delikatnie zamknęła drzwi i poszła do kuchni.

— Witam panią i zapraszam na śniadanie — powiedziała Amelia.

Miała na sobie swój ulubiony biały sweter w brązowe

szczeniaki i dzinsy. Położyła na stole śniadaniowym dwa nakrycia — z nożami, widelcami, łyżeczkami i kraciastymi serwetkami ułożonymi w kształt kwiatów. Za oknem dopiero zaczynało się rozwidniać, na nagich gałęziach rosnącej przed domem lipy skrzeczała sójka. Ruth usiadła na stołku i uśmiechnęła się do córki.

— Ammy... to naprawdę miła niespodzianka. O której wstałaś, żeby przygotować to śniadanie?

— Za dwadzieścia pięć czwarta. Życzy pani sobie kawy?

— Oczywiście. Co tak wspaniale pachnie?

— Twoje jajka. Będą gotowe za minutę.

Ruth popatrzyła na znajdującą się pod przeciwległą ścianą kuchenkę. Na patelni perkotała żółta masa.

Amelia nalała jej kawy.

— Oto twoje menu — oznajmiła z dumą.

Jadłospis został napisany jasnoczerwoną, zieloną i purpurową kredką.

ORZEŻWIAJĄCA PRZEKĄSKA TUŃCZYKOWO-

-LIMONKOWA

OMLET Z JAJEK I POMARAŃCZY NALEŚNIKI Z

PIECZONĄ FASOLĄ I CHRUPIĄCYM

PRZYBRANIEM MEKSYKAŃSKI SOK

ENERGETYZUJĄCY

Ruth przeczytała menu i kiwnęła głową.

— Muszę przyznać, że brzmi to zupełnie inaczej niż zazwyczaj...

Amelia popatrzyła na nią.

— Na pewno będzie ci smakować — powiedziała.

Kiedy podeszła do kuchenki, Ruth spróbowała kawy. Była gorąca jak diabli, ale bardzo słaba i mocno przesłodzona, najwyraźniej dodano do niej zbyt dużo syropu klonowego.

— Co sądzisz o kawie? — spytała Amelia. — Mówiłaś, że lubisz kawę z ciastkami klonowymi, więc pomyślałam, że dobrze byłoby połączyć jedno z drugim.

Postawiła na stole dwie szklane miski z jasnobeżową masą posypaną tartą skórą pomarańczową.

— To pierwsze danie, które ma cię obudzić. Spróbuj.

Ruth zerknęła do menu.

— Orzeźwiająca przekąska tuńczykowo-limonkowa?

— Właśnie. Zrobiłam ją z rozdrobnionego tuńczyka, lodów waniliowych i soku z limonki. Zmiksowałam to wszystko razem, a potem schłodziłam.

Ruth dźgnęła beżową masę łyżeczką.

— Amelio, skarbie...

— Musisz spróbować. Zobaczysz, na pewno będzie ci smakować.

Ruth nabrała mazi na czubek łyżeczki i wsunęła ją do ust. Kiedy przetykała, Amelia patrzyła na nią wyczekująco.

— I co? — zapytała.

Matka zacisnęła usta, próbując powstrzymać napływające do oczu łzy. Bardzo kochała Amelię i nie chciała jej zranić. Mała spędziła ponad godzinę na robieniu śniadania, którego nie można było zjeść.

— Nie smakuje ci, prawda?

Ruth odłożyła łyżeczkę.

— Przykro mi, skarbie... Z twoim śniadaniem wszystko w porządku. Wygląda wspaniale, ale ja rano jadam bardzo niewiele.

— Nie wygląda wspaniale. I pewnie jest okropne.

— Skarbie, wcale tego nie powiedziałam. Włóż tuń czyka do lodówki, zjem go trochę po południu, jak wrócę.

— Nie zjesz. Wyrzucisz go i będziesz udawać, że zjadłaś.

— Ammy...

Dziewczynka podeszła do kuchenki, wzięła patelnię i wyrzuciła jej zawartość do kosza na śmieci.

— Nie martw się tym bałaganem — oświadczyła. — Posprzątam, jak będziesz w pracy.

— Kochanie, posłuchaj...

Ale Amelia pobiegła już schodami na górę i po chwili trzasnęła drzwiami swojego pokoju.

Ruth stała na środku kuchni i zastanawiała się, czy nie powinna za nią pójść, jednak w końcu doszła do wniosku, że to tylko pogorszyłoby sprawę. Amelia postrzegała świat zupełnie inaczej. Nie rozumiała kłamstwa. Nie rozumiała, czemu niektórzy ludzie są okrutni, a innym nie można ufać. Nie rozumiała, dlaczego — mając piętnaście lat — nie może opalać się zupełnie nago. Nie rozumiała nawet, czym grozi przechodzenie przez ulicę bez wcześniejszego rozejrzenia się.

Nie potrafiła też pojąć, dlaczego — choć sam tuńczyk

smakuje znakomicie i lody również — po połączeniu tych dwóch składników powstaje coś zupełnie niejadalnego.

Kiedy Ruth wylewała resztkę kawy do zlewu, usłyszała pisk i drapanie w tylne drzwi. Otworzyła je i wpuściła psa, który wbiegł do kuchni z wywieszonym na całą długość językiem.

— Cześć, Tyson — powiedziała i uklękła, żeby pogłaskać go i podrapać za uszami. — Amelia wypuściła cię, żebyś się wysikał? Wiesz, że zrobiła mi śniadanie? To bardzo miłe, prawda? Może zjadłbyś trochę? Nie chciała bym, żeby wszystko poszło do śmieci.

Postawiła przed psem talerz z „orzeźwiającą przekąską tuńczykowo-limonkową”. Tyson powąchał ją i sapnął z dezaprobatą — jakby uznał, że chcą go otruć.

— Dobrze, już dobrze, chłopaku, przepraszam... — mruknęła.

Wzięła talerz i łyżeczką zgarnęła przekąskę do śmietnika. Kiedy zajrzała do środka, stwierdziła, że do wyrzuconego omletu Amelia dodała całe ćwiartki pomarańczy. Wołała się nie zastanawiać, co mogło wchodzić w skład „meksykańskiego soku energetyzującego”. Być może był w nim zielony sos tabasco, którego buteleczka stała na stole kuchennym.

Gdy sprzątała, pies chodził za nią i szturchał ją nosem w łydkę.

— Tyson! — krzyknęła, kiedy omal się o niego nie potknęła. — Wiesz, co jest z tobą nie tak? Powinieneś przestać uważać się za człowieka. Nie jesteś człowiekiem.

Jesteś labradorem i nigdy nie będziesz mógł prowadzić samochodu, nie zaprosisz mnie na elegancką kolację ani nie zabierzesz głosu w dyskusji o gospodarce. Wiem, że to niesprawiedliwe, ale tak już jest.

Pies popatrzył na nią smutnymi bursztynowymi oczami. Ponownie podrapała go za uszami, a on zaburczał z zadowolenia, jakby mu obiecała, że jednak kiedyś będzie się mógł czymś wykazać.

Zawibrował telefon.

— Rezydencja Cutterów — powiedziała Ruth. — Słucham?

— Szefowa? Tu Jack Morrow. Mamy podejrzany pożar na rogu South McCann i West Mapie. Bardzo podejrzany. Myślę, że chciałabyś na niego rzucić okiem.

— Co się stało?

— Zobaczysz na miejscu. Jeśli mam być szczery, to jakaś bardzo dziwna sprawa. Nie ma poważnych szkód, ale jest jedna ofiara.

— Już do was jadę.

Tyson domyślił się, że właśnie dostali wezwanie, bo zaczął walić ogonem o meble, oblizywać wargi i pociągać nosem.

— Poczekaj, chłopaku. Daj mi kilka minut i ruszamy.

◆ ◆ ◆

W sypialni zdjęła z wiszącego na haczyku z tyłu drzwi wieszaka granatowy mundur i założyła go. Potem obeszła łóżko i poprawiła kołdrę w biało-niebieskie pasy. Craig

chrapnął, ale nie otworzył oczu. Ostatnio niemal każdej nocy przez kilka godzin się przewracał, a rano nie mógł się obudzić. Ruth podejrzewała, że po prostu wolał się nie budzić.

— Craig, skarbie...

- H ę ?

— Muszę iść do pracy. Zadzwoń do ciebie później. Otworzył oczy i zamrugnął, jakby jej nie rozpoznawał.

— Słucham?

— Wychodzę. Zadzwoń później, dobrze? Nie zapomnij, że Ammy musi być o ósmej w szkole.

— Hrrr... jasne.

— Wychodzisz gdzieś dzisiaj?

— A co dziś mamy?

— Wtorek.

— Wtorek? Niech to cholera! Muszę jechać na budowę przy Mayfield Drive i spotkać się z tymi palantami z Kraussman Brothers. Wątpię, czy uda mi się wrócić do pracowni przed dwunastą.

— Nie ma sprawy. Nieważne.

Pocałowała go w czoło, a potem w ledwie widoczną bliznę na lewym policzku. Kiedy poznali się w college'u, wyjaśnił, że został zraniony nożem podczas bójki, ale jego matka powiedziała jej później, że w wieku sześciu lat spadł z rowerka, gdy ojciec zdjął dodatkowe kółka.

Podciągnął kołdrę i zasłonił nią twarz.

Przez chwilę stała przy łóżku i patrzyła na jego ciemne włosy.

— Kocham cię, marzycielu — szepnęła, ale prawdo podobnie jej nie usłyszał.

Kiedy schodziła po schodach, zauważyła, że drzwi do pokoju Amelii są uchylone na dwa centymetry i mała ją obserwuje. Amelia nigdy nie dąsała się zbyt długo — nie leżało to w jej naturze.

— Cześć, Ammy! — zawołała. — Zobaczymy się po szkole, tak?

Dziewczynka nie odpowiedziała, jednak po chwili wyszła ze swojego pokoju i wychyliła się przez poręcz.

— Mamo... nie wychodź...

— Muszę iść. Bili Doherty ma zwolnienie, więc jesteście tylko we dwoje z Jackiem Morrowem.

— Nie powinnaś tam iść, mamo. Coś jest nie tak.

Ruth zawahała się. Córka sprawiała wrażenie naprawdę zaniepokojonej.

— Co masz na myśli?

— Nie wiem. Nie umiem tego wyjaśnić.

— Skarbie, naprawdę muszę iść. To moja praca, ale obiecuję, że będę bardzo ostrożna.

Amelia przygryzła wargę, lecz nic już nie powiedziała. Ruth posłała jej pocałunek i gwizdnęła na Tysona, który wycłapał z kuchni ze smyczą w pysku.

Popatrzyła w górę, jednak dziewczynka wróciła już do swojego pokoju i zamknęła drzwi.

Rozdział 3

Nocna burza odeszła na północny wschód, pozostawiając po sobie suchy i wietrzny poranek. Niebo miało soczystą błękitną barwę, a na ulicach szeleściły rdzawe liście, jakby chciały ostrzec, że niewiele już brakuje do zimy.

Przed bladezielonym domem na rogu South McCann i West Mapie stało sześć pojazdów różnych służb: wóz strażacki, ambulans, samochód z wydziału do spraw podpaleń oraz dwie furgonetki — nowy czerwono-biały dodge komendanta straży i radiowóz. Ruth zaparkowała swojego poobijanego białego windstara za kolumną i wysiadła, a potem podniosła tylną klapę, żeby wypuścić Tysona i wyciągnąć z samochodu ciężką metalową walizę z zestawem kryminalistycznym.

Dzielnica była „biedna, ale dumna”, a na obsadzonych drzewami ulicach zwykle panował taki spokój, jakby w okolicy nikt nie mieszkał. Do tej pory Ruth była tu wzywana tylko raz — jakieś trzy lata temu, kiedy pewna

wojownicza staruszka złożyła skargę, że sąsiad oblał rozpuszczalnikiem jej żywopłot i podpalił go, ponieważ zasłaniał mu słońce. Teraz jednak na chodniku tłoczyło się ze trzydziestu sąsiadów, wśród których widać było dziennikarza i fotografa z „Kokomo Tribune”.

Na werandzie czekali Jack Morrow i Bob Kowalski — komendant straży. Jack był szczupłym, poważnym mężczyzną o przerzedzającej się lekko nad czołem bujnej siwej czuprynie i zawsze zmrużonych oczach. Jako inspektor dochodzeń pożarowych miał znacznie dłuższy staż niż Ruth i choć pracował w tej branży od ponad dwudziestu lat, z jakiegoś powodu zawsze odmawiał przyjęcia awansu. Zwykle mówił bardzo powoli i trudno było ocenić, jaki ma stosunek do tego, co odkrył.

Bob Kowalski był wysoki, barczysty i ekstrawertyczny, miał czerwone policzki i obcięte na zapałkę włosy, a kiedy mówił, każde zdanie brzmiało, jakby było zakończone wykrzyknikiem. Lubił pić piwo i opowiadać dowcipy, a na przyjęciach bożonarodzeniowych straży pożarnej zawsze przebierał się za Świętego Mikołaja.

— Witaj, Ruth — powiedział. — Przepraszam, że cię wyciągnąłem z domu o takiej porze.

— Nie ma sprawy, szefie. Tyson uwielbia poranne spacery, prawda, chłopaku?

Jack Morrow kiwnął głową na powitanie i odchrząknął.

— To, co tu mamy, wygląda mi na pożar klasy B, dość ograniczony i prawdopodobnie bardzo krótkotrwały, nie dłuższy niż pięć, może dziesięć minut, ale za to niezwykle

gwałtowny. Prawdę mówiąc, jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem.

— Wiadomo, kiedy ten pożar wybuchł?

— Mniej więcej w pół do szóstej — odparł Bob Kowalski. — Kierowca ciężarówki dostawczej skracał sobie drogę do Top Banana Farm Market i kiedy mijał ten dom, wydało mu się, że zauważył tańczące za zasłonami płomienie. Przysłaliśmy tu wóz, który dotarł na miejsce po niecałych siedmiu minutach, ale do tego czasu ogień zgasł.

— Czy ten kierowca zauważył w okolicy coś jeszcze? Jakież samochody?

— Ulica była wyludniona jak pustynia.

— Jaki kolor miały płomienie? Mówił coś o tym?

— Były żółte i bardzo gwałtowne. Tak właśnie powie dział. Siegały aż pod sufit. Puściliśmy go jakieś dwadzieścia minut temu, żeby odstawił wiezione przez siebie jabłka, ale gdybyś chciała z nim porozmawiać, zapisałem jego numer telefonu.

Ruth zdjęła ray-bany z różowymi szklami i przyjrzała się stojącym na chodniku gapiom. Sześć i pół roku pracy w wydziale do spraw podpaleń nauczyło ją dostrzegać w tłumie podejrzaną osobę oraz ludzi, którzy próbowali się w nim ukryć. Tym razem jednak nikt nie przyciągnął jej uwagi — poza ciemnowłosym dwunastolatkiem, który powinien być teraz w drodze do szkoły.

— No dobrze — powiedziała. — Rzucimy z Tysonem okiem na to miejsce.

Jack Morrow poprowadził ich korytarzem do salonu. W środku było trzech strażaków i dwóch policjantów oraz Val Minelli z policyjnego laboratorium kryminalistycznego. Wszyscy przywitali się z Ruth, ale mieli ponure miny.

Pośrodku pomieszczenia leżał zwęglony materac wypalony aż do sprężyn, a na wierzchu spalone ludzkie szczątki. Ogień, który strawił ciało, palił się tak gwałtownie, że człowiek zamienił się w czarną małąkę z wyszczerzonymi brązowymi zębami i nie można było określić, czy to mężczyzna, czy kobieta.

W powietrzu unosił się smród spalonej bawełny i gorzki swąd zwęglonego ludzkiego ciała.

Labrador ostrożnie powąchał szczątki, zapiszczał i popatrzył pytająco na Ruth. Choć w ciągu minionych lat pracowali nad wieloma pożarami, rzadko mieli do czynienia z tak bardzo zwęglonymi zwłokami. Tyson napiął smycz — chciał natychmiast zacząć szukać środków zapalających — jednak pani kazała mu warować, więc usiadł niechętnie, wciąż drżąc na całym ciele, oblizując wargi i pomrukując cicho.

Ruth kucnęła i przyjrzała się ciału.

— Masz rację, Jack. To nie był zwykły ogień. Palił się bardzo krótko, ale niezwykle intensywnie. Musiało tu być wtedy goręcej niż w piekle.

— Krematorium zwykle osiąga ponad tysiąc stopni Celsjusza — powiedział Jack bezbarwnym głosem. — Jednak nawet wtedy trzeba pół godziny, aby tak zwęglić zwłoki.

— Czy kiedy przyjechali strażacy, drzwi były otwarte?
— Nie, zamknięte — odparł Jack. — Ale tylko na zwykły zamek. Nie były zaryglowane. Szybko sobie z nimi poradzi.

— Rozumiem — mruknęła.

Utrudnianie strażakom dostępu do źródła ognia jest bardzo charakterystyczną wskazówką świadczącą o podpaleniu, ale według Ruth nie miało to tu miejsca.

Zaczęła obchodzić pokój. Ściany były pokryte grubymi pióropuszcami sadzy, z której spłynęły na podłogę szarozółte strużki ludzkiego tłuszczu. Choć ogień musiał palić się bardzo gwałtownie, tapicerka czterech foteli była tylko odrobinę osmalona. W przypadku ognia o tak wysokiej temperaturze należało spodziewać się morza płomieni i zapalania się różnych przedmiotów — drewnianych części i tapicerki mebli, dywanu i zasłon — jednak stojąca na obramowaniu kominka pamiątkowa plastikowa figurka z Chicago tylko lekko zapadła się w jednym miejscu.

— Znamy tożsamość ofiary?

Detektyw Ron Magruder pokręcił głową. Jego nastroszone, krótko przycięte wąsiki, tani beżowy trzyczęściowy garnitur i wystające z kieszonki na piersi trzy tanie długopisy sprawiały, że wyglądał jak bohater serialu o prowincjonalnych stróżach prawa.

— W tej chwili nikt tu nie mieszka. Nieruchomość należy do pani Evaline Van Kley, która trzy miesiące temu przeniosła się do domu spokojnej starości w Paradise Valley, a posiadłość wystawiono na sprzedaż.

— Kto miał do niej dostęp?

— Poza pracownikami agencji sprzedaży nieruchomości klucze mają syn i córka pani Van Kley, ale syn mieszka w Gary, a córka pracuje w banku inwestycyjnym w Londynie. Policja stanowa próbuje się skontaktować z panem Van Kley. Rozmawialiśmy już z pracownikami Sycamore Realty, jednak na razie niczego nie mamy.

Do Ruth podeszła Val Minelli. Była niewysoka i szczupła, miała długie ciemne włosy związane w koński ogon i rysy Madonny z obrazu średniowiecznego włoskiego mistrza. Wszystko robiła z niezwykłym wdziękiem — dotyczyło to nawet zbierania próbek spalonego ludzkiego ciała.

— Kimkolwiek była ofiara, mężczyzną czy kobietą, prawdopodobnie miała męża albo żonę, bo na palcu ma złotą obrączkę. Z pewnością w ciągu doby albo dwóch zostanie zgłoszone jej zaginięcie.

— O ile to nie współmałżonek podłożył ogień...

— Cóż, taka możliwość zawsze istnieje — przyznała Val. — Jeśli jednak zostało to zrobione rozmyślnie, sprawca musiał mieć szczególne powody... To nie jest zwykłe zabójstwo, ale coś w rodzaju rytuału.

— No dobrze. — Ruth postawiła na podłodze swoją walizę, otworzyła ją i wyjęła lateksowe rękawiczki. — Mogłabym prosić wszystkich oprócz Val o opuszczenie pokoju? Jack, sprawdzisz dom? Tyson, zabierajmy się do roboty. No, ruszaj! Szukaj!

Strażacy i detektywi zaczęli wychodzić, starając się nie

zniszczyć żadnych dowodów. Labrador pochylił łeb i ruszył w obchód salonu, dokładnie obwąchując deski i listwy przypodłogowe. Ruth wyjęła aparat i zaczęła robić zdjęcia. Fotografowała nie tylko spalone ciało i materac, na którym leżało, ale także podłogę, ściany, drzwi i okna.

Ślady dymu i nadpaleń powiedzą jej, czy do podłożenia ognia użyto środka zapalającego, jak szybko się palił i jaką mógł wytworzyć temperaturę. Każdy schemat palenia się 0 czymś ją informował — był jak rysunki naskalne. Mówił, jak doszło do powstania ognia i dlaczego palił się tak intensywnie. Teraz także jej powie, w jaki sposób gorące gazy uniosły się do sufitu, po czym zmieniły kierunek, pozostawiając na ścianach skierowane czubkami w dół wachlarze.

— Co u Amelii? — spytała Val, delikatnie odrywając z barku zwęglonych zwłok kawałeczek czarnej skóry i wrzucając go do torebki na dowody.

— W porządku. Lepiej niż kiedykolwiek. Dziś rano zrobiła mi śniadanie... specjalnie wstała o szóstej rano.

— To słodka dziewczynka — powiedziała Val.

Ruth mimo woli dodała w myśli: „...choć ma zespół Williamsa”.

— Świetnie sobie poradziła — skłamała. — Zrobiła mi omlet i różne inne rzeczy. Naprawdę się rozwija.

Val ostrożnie uniosła lewą rękę spalonych zwłok, starając się nie odłamać dłoni od nadgarstka.

— Popatrz na tę obrączkę — powiedziała. — Wiesz, w jakiej temperaturze topi się złoto?



Ruth spjrzała na zwęgloną rękę. Obrączka zmieniła kształt i z jej jednej strony zaczęło się tworzyć wybrzuszenie, które wkrótce zamieniłoby się w skapującą kroplę.

— W temperaturze pięciuset siedemdziesięciu siedmiu stopni Celsjusza — odparła i zrobiła pięć zdjęć obrączki, każde z innego kąta. Dotknęła sprężyn materaca. — Wi dzisz? Większość się zapadła, a to oznacza, że temperatura musiała przekroczyć siedemset stopni. Jednak jeszcze nigdy nie widziałam topiącej się biżuterii ze złota... nawet w takiej temperaturze. Jest dość duża, prawda? Trudno powiedzieć, czy to męska obrączka, czy damska.

Schowała aparat do walizki i ze zdziwieniem stwierdziła, że wyraźnie sfrustrowany Tyson nadal kręci się po pokoju i węszy.

— Jak idzie, chłopaku? — zapytała.

Tyson popatrzył na nią i głośno szczechnął.

— Jest na siebie zły — mruknęła Val. — Jeśli nie może nic znaleźć, uważa, że sprawił nam zawód. I pewnie boi się, że nie dostanie psiej czekolady.

Ruth wyjęła z walizki miernik węglowodoru, włączyła go i zaczęła badać resztki materaca. Instrument wyglądał jak rurka podłączona do malutkiego odkurzacza. Jeżeli zassał opary pochodzące z substancji zapalających, zaczął buczeć jak rozwścieczona mucha.

Tym razem jednak nic nie wskazywało na to, że ogień powstał z użyciem środków zapalających. Gdyby w pomieszczeniu znajdowały się resztki jakiegokolwiek paliwa,

Tyson już dawno by je wywęszył, a potem, posapując z dumą, usiadłby w miejscu największej koncentracji chemii. Jego nos był dziesięć razy wrażliwszy od detektora Ruth — nawet w pomieszczeniu o dwa razy większej powierzchni potrafił zlokalizować jedną tysięczną kropli odparowanej benzyny. Wrócił Jack Morrow.

— Sprawdziłem wszystko — oświadczył. — Prąd działa, a przewody wyglądają na nienaruszone... także te, które przebiegają pod tym pokojem. Gaz jest podłączony, nikt nie majstrował przy liczniku ani przy rurach. Nie ma śladów używania kluczy, nie znalazłem też rozłączonych kabli czy przecieków. — Pociągnął nosem. — Żadne okno nie zostało wybite, choć drzwi kuchenne mogły zostać wyważone. Ogląda je teraz Ron Magruder. W innych pokojach również nie ma uszkodzeń. Żadnego śladu uderzenia błyskawicy. A co z Tysonem?

— Jeszcze niczego nie znalazł. Podobnie jak i ja.

— To mógł być niedopałek. Może jakiś włóczęga tu nocował. Upił się, niedopałek spadł na materac i nie szczęście gotowe.

— Nie sądzę. Materac był z bawełny, a nie z gąbki poliuretanowej. Gdyby żarzył się przez dłuższy czas, ściany i sufit byłyby całe pokryte sadzą. Wszystko wskazuje na pożar klasy B, ale nie ma śladu niczego, co mogło go spowodować.

— Może to samozapłon?

— Akurat...

— Nie powinnaś być taka sceptyczna. W osiemdziesiątym drugim wezwano mnie do pożaru w Cassville, który według mnie został spowodowany samozapłonem ludzkiego ciała.

— Daj spokój.

— Nie żartuję. Pięćdziesięciosiedmioletnia kobieta się działa na krześle w kuchni i nagle się zapaliła. Tak przynajmniej twierdzili w trakcie śledztwa zarówno jej mąż, jak i syn. Mąż próbował ją gasić, polewając wodą z kranu, jednak płomienie okazały się zbyt gwałtowne i tylko paskudnie poparzył sobie dłonie. Widziałem ciało tej kobiety. Paliła się nie dłużej niż pięć, sześć minut, ale całe ubranie się spaliło, a skóra była zwęglona.

— Wynoś się, Jack. — Zawsze opowiadał przedziwne historie o pożarach, a ona zupełnie nie wiedziała, czy brać je za dobrą monetę, czy nie. — Przynieś mi z samochodu kilka słóczków na dowody. I trochę celofanowych kopert.

Ponownie odwróciła się do zwęglonych zwłok. Może jednak Jack wcale się nie mylił? Może rzeczywiście doszło do samozapłonu? W żadnym z sześciu albo siedmiu przypadków, w których podejrzewano samozapłon ludzkiego ciała, nie istniały jednoznaczne dowody potwierdzające ten fakt, ale w ostatnim — z 1980 roku — ciało siedzącego we własnym fotelu w domu niejakiego Henry'ego Thomasa zostało tak mocno spalone, że zachowały się jedynie czaszka i dolne części nóg. Może i tu miało miejsce coś podobnego?

Podszedł do niej Tyson i szturchnął ją nosem w nogę. Podrapała go za uszami i dała mu psi smakołyk.

— Wiem, chłopaku, niczego nie znalazłeś. Ale to nie twoja wina. Jeśli ktoś podłożył ten ogień, musiał być jakimś magikiem.

◆ ◆ ◆

Spędziła w domu na rogu South McCann i West Mapie większość dnia, pobierając próbki włókien, spalonych włosów i zwęglonego ciała. Wpół do czwartej zjawili się dwóch techników z biura koronera hrabstwa Howard, obaj w białych kombinezonach. Ostrożnie włożyli szczątki do plastikowego worka i zabrali je do kostnicy. Ruth i Jack zapakowali materac, aby zabrać go na dalsze badania do laboratorium pożarów i podpaleń, w którym pracowali.

— Masz ochotę na piwo? — spytał Bob Kowalski, kiedy wreszcie wyszli na zewnątrz.

Wiatr się uspokoił, jednak niebo zasnuły gęste chmury.

— Miałabym, szefie, ale muszę odebrać Ammy ze szkoły.

Popatrzył na nią.

— Co ci mówi przeczucie?

— Nie wiem dokładnie, jednak nie sądzę, aby użyto jakiegokolwiek substancji zapalającej. Jack sugeruje, że może to być samozapłon ludzkiego ciała, ale jeśli mam być szczerą, wcale mnie to nie przekonuje.

— Opowiedział ci o kobiecie z Cassville? Nie wierz w to. Wszystko, co miała na sobie, było z plastiku, i zapaliło się od iskry elektrostatycznej. To niezwykle rzadkie, ale znamy drugi podobny przypadek.



— Dla mnie wygląda to tak, jakby ofiara była w bliskim kontakcie ze źródłem bardzo intensywnego ciepła, choć nie bardzo umiem sobie wyobrazić, co by to mogło być.

— Może palnik? Wytwarza trzy i pół tysiąca stopni Celsjusza.

— Ale nawet wtedy spalanie trwałoby kilka godzin, schemat palenia się wyglądałby zupełnie inaczej, a płomień nie byłoby żółte. Poza tym człowiek, który posłużyłby się palnikiem, pozostawiłby jakieś ślady.

— Więc co mogło wytworzyć taką wysoką temperaturę?

— Nie mam pojęcia. Widziałam podobne zwęglenia ciał ludzi, którzy wpadli do pieca, dołu z rozpalonymi węglami albo do ogniska. Pamiętasz tego starszego gościa w zeszłym roku, przy Water Works Road, który przewrócił się na ruszt do pieczenia prosiaków? Podskórna warstwa tłuszczu na jego głowie i barkach wyparowała. Ale tutaj została zwęglona cała powierzchnia ciała... i nie umiem sobie wyobrazić, jak mogło do tego dojść bez jakiegokolwiek substancji przyspieszającej palenie.

Doszli do chodnika, nad którym rozciągnięta była policyjna taśma. Kiedy Bob podciągnął ją do góry, Ruth ponownie zobaczyła ciemnowłosego nastolatka. Stał z rękami w kieszeniach jakieś pięć metrów od reszty gapiów. Miał bladą, niemal zupełnie białą twarz, a oczy tak ciemne, że wyglądały jak wypalone w kartce dziury. Źle ostrzyżone włosy odstawały mu z tyłu głowy. Był ubrany w spłowiały czarny T-shirt i wytarte czerwone dzinsy.

— Widzisz tego dzieciaka? Był tu już, kiedy przyjechałam.

Bob zmarszczył czoło i popatrzył na chłopca.

— Nie ma na głowie hełmu strażackiego, ale nie wygląda mi też na podpalacza.

— Przecież doskonale wiesz, że nie ma dwóch podobnych do siebie podpalaczy. Potrzymaj to przez chwilę...

Podążyła mu swoją walizę, otworzyła ją i wyjęła aparat. Zaczęła fotografować tłum, powoli przesuwając obiektyw z prawej strony na lewo, aby chłopiec nie zaczął podejrzewać, że chodzi jej właśnie o niego.

— Gotowe — powiedziała po chwili i schowała aparat. — Teraz do niego podejść i zapytam, co tu robi.

Wmieszała się w tłum, kiedy jednak dotarła do miejsca, w którym ostatnio widziała chłopca, zniknął.

Rozejrzała się zdezorientowana. Mógł się ukryć w cieniu wielkiego dębu rosnącego na skraju podwórka sąsiedniego domu, ale gdyby się za nim schował, widziałaby, jak przechodzi przez otwartą przestrzeń. Dwa razy okrążyła drzewo, jednak nikogo za nim nie było. Osłoniła dłonią oczy i popatrzyła w głąb ulicy ciągnącej się prosto jak strzała aż do West Park Avenue, ale na niej także nie było chłopca.

Wróciła do Boba Kowalskiego. Po chwili dołączyli do nich Jack Morrow i detektyw Ron Magruder.

— Przeszukaliśmy dokładnie podwórze i zagajnik za domem, jednak nie znaleźliśmy pojemników ani butelek, w których mogło się znajdować coś łatwopalnego. Nie

znaleźliśmy też żadnych innych śladów mogących świadczyć o podpaleniu — powiedział Magruder. — Drzwi do kuchni zostały wyłamane, to fakt, ale nie było na nich ani odcisków palców, ani włókien. A na podłodze nie było śladów stóp. Ktokolwiek podłożył ogień, opuścił ten dom, zanim ze ścian spadła choćby jedna drobina sadzy.

— A co ze świadkami? — spytała Ruth.

— Poza człowiekiem, który wioził jabłka, nie ma żadnych — odparł policjant. — Para staruszków mieszkających w sąsiednim domu jest głucha jak pień i niczego nie widzieli. Rodzina z naprzeciwka była przez trzy dni w Muncie, u matki żony, i wróciła dwie godziny temu. — Wsadził długopis do kieszonki na piersi. — A może ktoś ma jakąś niezwykłą teorię na ten temat?

— Przykro mi, Ron, ale jesteśmy inspektorami pożarowymi i nie zajmujemy się wymyślaniem niezwykłych teorii... dla nas liczą się tylko twarde dowody — odparł Jack. — Będziemy oczywiście informować cię o wszystkim na bieżąco.

Odprowadził Ruth do samochodu.

— Do zobaczenia jutro — powiedziała. — Może do tego czasu uda się ustalić tożsamość ofiary.

— Może, ale mam wrażenie, że to nam niewiele pomoże. W tym pożarze jest coś naprawdę dziwnego.

— Zdawało mi się, że dla nas liczą się tylko twarde dowody... Gdzie tu miejsce na dziwne rzeczy?

— Powiedziałem tak ze względu na Magrudera, ponieważ nie mam pojęcia, jak ten pożar się zaczął, w jaki

sposób osiągnął tak wysoką temperaturę ani dlaczego zgasł, zanim zapaliła się reszta domu. Czegoś tu nie dostrzegamy. Kiedy to w końcu odkryjemy, prawdopodobnie się okaże, że nie ma w tym niczego niezwykłego, ale na razie czuję się, jakbym miał w głowie stado gęsi.

— W dalszym ciągu sądzisz, że to mógł być samozapłon ludzkiego ciała? Bob uważa, że kobieta w Cassville zapaliła się, bo iskra padła na jej ubranie z łatwopalnego tworzywa.

— Po prostu chce tak uważać, bo nie zamierza przyznawać, że niektórych pożarów nie da się racjonalnie wyjaśnić. Badam je od lat i wiem, że każdy ogień jest głodną bestią, która ma swoją własną wolę. Uwierz mi, ten pożar nie był zwykłym ogniem. Z jakiegoś powodu miał apetyt właśnie na tego człowieka. Pożarł go jak dzikie zwierzę, a kiedy tego dokonał, został zaspokojony i zgasł. Musimy się dowiedzieć, czego chciał i dlaczego akurat tego. Dopóki się tego nie dowiemy, nie zrozumiemy, co się stało, ani nie powstrzymamy kolejnego ataku.

Rozdział 4

Amelia spóźniła się z wyjściem ze szkoły i Ruth musiała czekać na nią przez ponad dziesięć minut. Kiedy siedziała w samochodzie i obserwowała ostatnich maruderów, nagle ogarnęło ją wielkie zmęczenie.

Poczuła się, jakby wszystko zależało od niej. Ammy, Jeff, Craig... a teraz ta anonimowa ofiara, spalona na węgiel na materacu. Dlaczego ja? — pomyślała. Dlaczego nie mogą sami dbać o siebie i nie potrafią samodzielnie rozwiązywać swoich problemów? Znała jednak odpowiedź na to pytanie: potrzebowali jej, bo nie mieli nikogo innego.

Kiedy Amelia w końcu się pojawiła w czerwonym berecie i czerwonym wełnianym płaszczu, zatrzymała się na schodach przed głównym wejściem do szkoły, aby wysłać SMS-a. Ruth zatrąbiła na nią niecierpliwie.

— Hej, mała, nie przejmuj się mną — burknęła, kiedy Amelia w końcu usiadła na fotelu pasażera. — Mam cały czas tego świata.

— Musiałam wysłać SMS-a do Sandry. Wybieram się do niej wieczorem, będziemy razem odrabiać lekcje.

— Kto tak zdecydował?

— Ja sama. Ja tak zdecydowałam. Ktoś musi mi pomóc, prawda?

— Przecież zawsze ci pomagam.

— No to nie będziesz się już musiała tym martwić. Sandra powiedziała, że chętnie mi pomoże.

— Wie, jak postępować z dziewczynką, która ma zespół Williamsa? Nie sędzę.

— Przynajmniej nie traktuje mnie jak niedorozwoja.

Ruth ruszyła w stronę Jefferson Street.

— Kochanie, chyba nie jesteś na mnie zła z powodu śniadania?

— Oczywiście, że nie. Szkoda tylko, że tak bardzo się nim przejmowałam.

— Pomysł był cudowny i naprawdę doceniam to, co dla mnie zrobiłaś.

— Nie kłam. Wcale ci się nie podobało.

Kiedy zatrzymały się na światłach, Ruth odwróciła się do córki.

— Posłuchaj: czasami próbujemy zrobić komuś przyjemność, ale nam nie wychodzi. Kiedyś zorganizowałam tacie na urodziny przyjęcie niespodziankę i zaprosiłam kilku jego dawnych kumpli ze szkoły, ale nie wiedziałam, że ich nie znosi. To była katastrofa. Dziesięciu facetów wpatrujących się w siebie z wściekłością przez cztery godziny! Mało brakowało, a zaczęliby się bić.

Amelia nic na to nie odpowiedziała, siedziała w milczeniu ze splecionymi na piersi ramionami i wydętymi wargami. Ruth pogłaskała ją po wystającym spod beretu kosmyku, a potem owinęła go sobie wokół palca.

— Ammy, przecież wiesz, że jesteś inna, ale to właśnie czyni z ciebie wyjątkową istotę, a ja kocham cię taką, jaka jesteś. Wcale nie chciałabym, żebyś była inna.

— Zielone — powiedziała dziewczynka.

Stojący za nimi samochód zatrąbił i Ruth przepaszająco uniosła dłoń.

◆ ◆ ◆

Czekając na podgrzanie pizzy, wyjęła aparat i zaczęła przeglądać zdjęcia, które zrobiła w domu przy South McCann Street. Szybko przerzuciła fotografie ofiary na materacu, zwęglonej dłoni z obrączką na resztkę palca i osmalonych ścian.

Na ostatnim zdjęciu powinien znajdować się ciemnowłosy chłopiec w wyblakłym T-shircie i znoszonych czerwonych dzinsach, ale go na nim nie było. Na fotografii widniała jedynie obsadzona drzewami pusta ulica.

Ruth zmarszczyła czoło i ponownie zaczęła przeglądać zdjęcia, aby sprawdzić, czy któregoś nie pominęła. Była pewna, że sfotografowała chłopca, ale nigdzie go nie było. Wyłączyła aparat i odłożyła go.

Do kuchni weszła Amelia.

— Wyglądasz na zmartwioną— stwierdziła. — Wszystko w porządku?

— Jasne, jak najbardziej. Obiad będzie gotów za minutę.

— Ten pożar, do którego dziś pojechałaś...

— Tak?

— Ktoś w nim zginął?

— Niestety, tak — odparła Ruth. — Ale jeszcze nie znamy tożsamości ofiary. Prawdopodobnie to ktoś bezdomny.

— Miałam złe przeczucie.

— No właśnie... O co chodzi z tym przeczuciem?

Ammy przez chwilę się zastanawiała, a potem prawą ręką wykonała taki ruch, jakby coś do siebie przyciągała.

— Nie mam pojęcia. Wchodzili tam jacyś ludzie, którzy nie powinni.

— Jacy ludzie? Nie rozumiem...

— Weszło ich całe mnóstwo. Niektórzy byli tak przeczuci, że ledwo ich widziałam, a inni mieli bardzo białe twarze.

— Przyśniło ci się to? — zapytała Ruth.

Przyzwyczała się już do niezwykłych opisów Amelii. Kiedy dziewczynka dostawała migreny, mówiła, że czuje się, jakby ktoś rozbił jej w głowie lustro.

— To wcale nie był sen. To było, kiedy zadzwonił do ciebie wujek Jack. Miałam wrażenie, że ci wszyscy ludzie zaczęli się schodzić do tego domu. Dlatego nie chciałam, żebyś tam jechała.

— Chodź do mnie — powiedział Ruth i objęła córkę. — To nie było przyjemne. Ten człowiek, który zginął, cały

się spalił. Nie było tam jednak ani przezroczystych ludzi, ani z białymi twarzami.

Nagle przypomniała sobie o chłopcu w spłowiałym T-shircie i znoszonych czerwonych dżinsach — musiał być przezroczysty, skoro nie udało się go sfotografować.

Craig wrócił do domu dobrze po ósmej. Staął w drzwiach kuchni ze zmarszczonym czołem, jakby nie był do końca pewien, czy znalazł się we właściwym mieszkaniu.

Ruth myła podkładki pod talerze.

— Chcesz trochę pizzy? — spytała. — My już zjadłyśmy. Bóg jeden wie, kiedy wróci Jeff.

— Nie jestem głodny. Zaczekam na niego.

Wyciągnął spod stołu krzesło i usiadł ciężko.

— Piłeś — stwierdziła Ruth.

— Tak sądzisz? No tak, zapomniałem... Jesteś inspektorem pożarowym i potrafisz wyczuwać łatwopalne płyny. Benzyna, metanol, martini z wódką... wszystko.

— A co dobrego daje alkohol?

Uniósł palec, jakby zamierzał ujawnić jakiś wielki sekret.

— Pozwala przestać myśleć — odparł.

— Rozumiem. Kiedy człowiek się napije, może przestać myśleć. No cóż, ja nie piję, ponieważ pracuję na pełnym etacie, prowadzę dom i muszę zajmować się dwojgiem nastolatków i mężem. Pijanym mężem.

— Jesteś święta, Ruth. Zawsze tak uważałem. Właśnie

dlatego się z tobą ożeniłem. Święta Ruth od Prowadzonego Bez Zarzutu Gospodarstwa Domowego.

— Jak ci poszło z braćmi Kraussmanami?

— Z Kraussmanami? Prawdę mówiąc, nieszczególnie.

— Co to znaczy?

— To, że podobnie jak wszystkich innych, Kraussmanów mocno trafił kredytowy kryzys. Jak sami powiedzieli, muszą wciągnąć rogi.

— Co to znaczy?

— Wstrzymują wszystkie projekty budowlane.

— Więc nie będą ci nic zlecać?

— Nie w najbliższej przyszłości.

— Ale przecież połowę tego, co zarabiasz, masz dzięki nim...

Kiwnął głową.

— Zgadza się. Wygląda na to, że będziemy musieli znaleźć kogoś innego, komu będziemy mogli wyposażać kuchnie.

— Na przykład kogo? Jeżeli Kraussmanowie wciągają rogi, wszyscy inni też będą.

— Jeszcze nie wiadomo. Właśnie nad tym pracuję.

Zapadła długa cisza.

— Ammy była bardzo zdenerwowana, kiedy wyszłaś — powiedział w końcu Craig.

— Wiem, ale już się pogodziłyśmy. Skąd weźmiesz nowe kontrakty?

Kiedy podniósł wzrok i popatrzył na nią, w jego oczach było coś defensywnego.

— Nie mam pojęcia, skarbie. Naprawdę nie mam pojęcia.

— Ale chyba skończą osiedle przy Mayfield Drive?

— Nie sędzę. Prawdę mówiąc, bardzo w to wątpię.

— Dlaczego?

Wziął głęboki wdech.

— Tego właśnie dotyczyło dzisiejsze spotkanie, skarbie. Kraussmanom skończyły się kredyty i muszą wstrzymać prace przy Mayfield Drive oraz Wildcat Creek West. Zamierzają wysłać wszystkich na urlopy bezpłatne. Nie chcą, ale nie mają wyboru.

— Co teraz zrobimy?

— Podejrzewam, że będziemy musieli walczyć o prze trwanie.

— Ale zapłacą ci za to, co już dla nich zrobiłeś? Przecież wyłożyłeś kupę pieniędzy na blaty, zlewy, kafelki i Bóg wie, co jeszcze!

Pokręcił głową.

— Są zupełnie splukani. Eugene Kraussman powiedział, że bardzo mu przykro. Robił, co mógł, aby firma utrzymała się na powierzchni, ale nawet gdyby udało im się dokończyć budowę, nie mógłby sprzedać żadnego domu z zyskiem... nie przy dzisiejszych cenach.

— Muszą ci zapłacić! Masz umowę!

Wyciągnął rękę i ujął jej dłonie.

— Jeśli nie mają pieniędzy, to nie mają... z umową czy bez. Nie wyciśniesz krwi z pustaka.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. W ciągu ostatnich

miesiący Craig znacznie mniej zarabiał, a nowe zamówienia były coraz radsze. Nie tylko źle sypiał, ale także więcej niż zwykle pił.

— Z czego wypłacisz ludziom pensje?

— Mam pieniądze dla Randy'ego i Carlosa za ten tydzień, dla Córy też, ale potem... no cóż, będę miał tylko pięć dni na zdobycie pensji za kolejny tydzień.

— A jeśli ci się nie uda?

Mocniej ścisnął jej dłonie.

— Nie ma takiej możliwości, skarbie. Tak czy owak, Cutter's Kitchens pozostaną w biznesie... nawet gdybym miał obrabować bank.

Zdjęła kraciasty fartuch i powiesiła go na oparciu krzesła.

— Może pójdziesz na górę i weźmiesz zimny prysznic? Jeśli chcesz, zrobię ci kawy.

Pokręcił głową.

— Zimny prysznic i kawa w niczym mi nie pomogą. Nic nie pomoże. Wreszcie się stało: nadszedł koniec świata. Armagedon, jak napisano w Biblii.

W tym momencie na zewnątrz rozległ się warkot silnika. Samochód gwałtownie zahamował, ktoś wysiadł, a potem otworzyły się drzwi frontowe. Do kuchni wpadł Jeff— ze sterczącymi na wszystkie strony czarnymi włosami, ubrany w czarną kurtkę i czarne dżinsy.

— Co za zaszary samochód! — jęknął. — Niech go cholera!

— Dobry wieczór, Jeff — przywitała go Ruth. — Też się cieszę, że cię widzę.

— Pewnie... Jadę sobie West Sycamore, nie, a jakiś debil przede mną wlece się jak żółw, ale kiedy skręcam, żeby go wyprzedzić, wciska gaz i zaczyna przyspieszać. Nie mogę go wyprzedzić, chociaż jedzie tylko pieprzonym taurusem, ale mimo że wciskam gaz do dechy, nie mogę go wyprzedzić. Wtedy widzę tę furgonetkę, więc muszę zostać z tyłu, bo inaczej bym miał czołówkę. I wiecie, co robi ten palant w taurusie? Ma ze sto lat, nie, ale pokazuje mi środkowy palec! Uwierzycie w to?

Craig popatrzył na Ruth, jakby Jeff mówił jakimś obcym językiem.

— Zapisaleś numery rejestracyjne tego stuletniego palanta w taurusie?

— A jak sądzisz? Byłem zbyt zajęty, próbowałem nie dać się zabić!

— No cóż, nikt cię nie zabił i muszę przyznać, że jestem z tego bardzo zadowolona.

— Jasne, ale gdybym miał porządny samochód zamiast tego rzęcha...

— Mówiłam już, żebyś poszukał sobie pracy.

— Jakiej? Ustawianie towarów na półkach? Przewracanie hamburgerów?

— W żadnym z tych zajęć nie ma nic złego. Przecież chodzi tylko o zarobienie pieniędzy. Dean Huntley z Red Lobstera szuka chyba kogoś do zmywania.

— Super. A jak to się dzieje, że rodzice Dana Collinsa kupili mu nowiutką hondę i wcale od niego nie oczekują, żeby stanął na zmywaku?

— Tak, że Collinsom się dobrze powodzi — odparł Craig. — A naszej rodzinie nie. To się nazywa recesja.

— Super, dzięki za informację. Szkoda, że urodziłem się nie w tej rodzinie co trzeba.

— Pohamuj język — skarcił go Craig.

— Spadam stąd — burknął Jeff. — Idę do Lenniego.

— Masz wrócić przed jedenastą! — zawołała za nim Ruth, kiedy zatrząskiwał drzwi frontowe.

Craig siedział przy stole z pochyloną głową i zamkniętymi oczami.

— Ma oczywiście rację — stwierdził po chwili. — Powinniśmy kupić mu nowy samochód. Szczerze mówiąc, nie podoba mi się, że jeździ tym poobijanym pinto.

— Twój rodzice nigdy ci nie kupili nowego samochodu — powiedziała Ruth. — Musiałeś na niego sam zarobić. On też powinien.

— Ale przecież powodziło nam się lepiej niż rodzicom. Zawsze chcieliśmy, żeby nasze dzieci wszystko miały.

— To prawda, ale może to był błąd.

Craig rozejrzał się po kuchni.

— Wspominałaś coś o pizzy...

— Wspominałam. Chcesz trochę?

— Sam nie wiem. Tak naprawdę nie wiem, czego chcę. Przykro mi. Zawiodłem cię, prawda? Nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie.

Usiadła obok i ujęła jego dłoń.

— To nie twoja wina, Craig. Jakoś przez to przejdziemy. Musimy.

Kiwnął głową.

— Wiesz, co powiedziała Ammy, kiedy odwoziłem ją do szkoły? Próbowałem jej wyjaśnić, że nasze interesy nie idą zbyt dobrze, a ona oświadczyła: „Cokolwiek się zrobiło, nieważne jak dawno temu, nawet jeśli się całkiem o tym zapomniało, zawsze trzeba za to zapłacić”.

— Ammy powiedziała coś takiego? To dość niezwykle.

— Bo ja wiem? Kiedy to mówiła, dziwnie na mnie patrzyła i miałem wrażenie, że wcale nie ma na myśli kryzysu, ale coś zupełnie innego... choć niech mnie cholera weźmie, jeśli mam pojęcie, o co jej chodziło.

Pogładziła go po policzku.

— Zawsze próbowałeś o nas dbać. Nie możesz się winić za recesję.

Popatrzył na nią. W jego oczach błyszczały łzy.

— Kocham cię, Ruth. Wiesz o tym, prawda?

— Oczywiście, że wiem. Ja też cię kocham. Chcesz pizzę?

♦ ♦ ♦

Kiedy szła na górę, usłyszała, że Amelia śpiewa w swoim pokoju. Miała wysoki i bardzo czysty głos i niemal absolutny słuch, co często towarzyszy zespołowi Williamsa. Jeśli chory choć raz usłyszy jakąś melodię, potrafi ją dokładnie odtworzyć.

Zatrzymała się pod drzwiami. Były uchylone na półtora centymetra i przez szparę mogła dostrzec kawałek biurka dziewczynki — z rozrzuconymi na blacie zeszytami

i kolekcją fotografii — oraz trzy żabki stojące na komputerze.

Ciekawe, dokąd on idzie

Z tym uśmiechem na twarzy.

Ciekawe, czy wie, że zaraz zacznie padać.

Ciekawe, czy wie, że ona już tu nie mieszka

I że nigdy więcej już jej nie zobaczy.

Zapukała i pchnęła drzwi. Amelia — ubrana w piżamę w wielkie różowe kwiaty — siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku.

— Słyszałam, jak śpiewasz. To smutna piosenka.

— Sama ją wymyśliłam.

— Jest smutna, ale bardzo ładna — powiedziała Ruth. —
Skończyłaś już odrabiać lekcje?

— Prawie.

Ruth popatrzyła na leżące na biurku fotografie. Na pierwszym była Amelia siedząca w kojcu i obejmująca obszarpanego różowego królika, na drugim też Amelia, spacerująca z ojcem brzegiem jeziora Michigan, ale trzecie przedstawiało obcą kobietę — blondynkę o kręconych włosach z perłami na szyi, uśmiechającą się niepewnie do aparatu, jakby nie bardzo chciała, aby robiono jej zdjęcie. Była bardzo podobna do Ruth, mogłaby być jej matką lub siostrą. Wiedziała, że Amelia znalazła to zdjęcie na dnie jednej z szuflad, kiedy sprowadzili się do tego domu — prawdopodobnie była to żona poprzedniego właściciela.

— Nie rozumiem, po co trzymasz to zdjęcie — powie
działa. — Przecież nawet nie wiesz, kto to jest.

— Lubię ją. Mogłabyś to być ty, gdybyś nie była moją
matką, lecz przyjaciółką.

— Mam nadzieję, że jestem także twoją przyjaciółką.
Amelia uśmiechnęła się, jednak po chwili uśmiech zamarł
na jej ustach.

— Chciałam cię o coś zapytać...

— Tak?

Dziewczynka sprawiała wrażenie zakłopotanej.

— Cieszę się, że nie poszłam dziś do Sandry. I prze-
praszam, że byłam taka nadąsana. Kiedy robiłam ci
śniadanie, od razu wiedziałam, że nie będzie ci smakowało.

Ruth usiadła na łóżku.

— Hej... nie musisz mnie za nic przeproszać. Uważam,
że to był bardzo miły pomysł. Nie możesz się obwiniać
za to, że myślisz inaczej niż większość ludzi. Jeśli koniecz-
nie musisz mieć do kogoś pretensję, miej ją do mnie.

Amelia położyła głowę na jej kolanach.

— Mówię i robię różne rzeczy, choć wiem, że nie
podobają się ludziom.

— Wszyscy tak robimy, skarbie. To się nazywa „być
człowiekiem”.

Pogłaskała córkę po głowie i przez chwilę siedziały
w milczeniu.

— Będziesz ostrożna? — zapytała w końcu dzie-
czynka.

— Zawsze jestem ostrożna. Jestem odpowiedzialna za

wielu ludzi. Kiedy mam wejść do wypalonego budynku, zawsze sprawdzam, czy jest bezpiecznie. Nie lubię, jak zarywają się podę mną podłogi albo sufity zwalają mi się na głowę. Amelia uniosła głowę i popatrzyła na nią z powagą.

— Mam na myśli ludzi, o których mówiłam ci wcześ niej — oświadczyła. — Teraz, kiedy się już dowiedzieli, jak przechodzić, zawsze będą przychodzić.

— Wiesz, kim oni są?

— Nie mam pewności. Nie wszyscy są jednakowi. Jak mówiłam, niektórzy są przezroczyści, a inni mają białe twarze. Słyszę, jak mówią, choć nie rozumiem słów.

— Skąd pochodzą? Powiedziałaś, że teraz już się dowiedzieli, jak przechodzić... ale skąd będą przechodzić?

Dziewczynka zamknęła oczy i powtórzyła gest, który zrobiła w kuchni, jednak tym razem trochę wolniej.

— Nie mam pojęcia. W drzwiach czeka ich całe mnóst wo... jest tak wielu, że nie widać nic w głębi.

— Wiesz, czego chcą?

Amelia pokręciła głową.

— Myślę, że powinnaś przestać się przejmować tymi ludźmi. Są tylko w twoim umyśle — powiedziała Ruth. — Tak jak wszystkie zwierzęta, o których opowiadałaś, kiedy byłaś mała. Pamiętasz Puffy'ego, swojego ulubionego pudła? Ci ludzie są tacy sami jak on. I jak mężczyzna z twojej piosenki.

— To nie mężczyzna, ale chłopiec. I jest prawdziwy.

— Ze szkoły?

— Nie. Nie znam jego imienia, widziałam go tylko na ulicy.
— Na której?
— Na naszej. Stał pod domem.
— Kiedy?
— Dziś po południu — odparła zniecierpliwiona dziewczynka. — Dlatego wymyśliłam piosenkę o nim.
— Chłopiec z twojej piosenki stał dziś po południu pod naszym domem?
— Oczywiście. Był tam od wieków.
Ruth ujęła dłonie córki.
— Jak wyglądał?
— Był smutny.
— Powinnaś mi była o tym powiedzieć. Może szukał swojego psa?
— Nie. Tylko stał i patrzył. Miał ciemne włosy, czarny T-shirt i czerwone dżinsy.
Ruth poczuła mrowienie w nadgarstkach.
— Jesteś pewna? Czarny T-shirt i czerwone dżinsy?
— Właśnie.
Ruth wstała z łóżka i podeszła do okna. Odsunęła bawełniane zasłonki i wyjrzała na ulicę. Widok na chodnik zasłaniała rosnąca obok podjazdu wielka lipa, ale na pewno nie było na nim żadnego chłopca.
— Co się stało? — spytała zdziwiona Amelia.
Ruth dokładnie zaciągnęła zasłony.
— Nic, skarbie. Nikogo tam teraz nie ma. Czas umyć zęby i kłaść się do łóżka. Jutro znowu musisz iść do szkoły. Ale chciałaś mnie o coś zapytać.

— Jeśli napiszę piosenkę na kartce i spalę ją, co się stanie z piosenką?

— Bo ja wiem? Dopóki jej nie zapomnisz, będzie istnieć. A nawet jeśli zapomnisz, może dalej będzie śpiewał ją dym?

Rozdział 5

Kiedy Tilda zamierzała wejść do wanny, zadzwonił dzwonek do drzwi. Znieruchomiała z podniesioną do góry ciężką nogą. Kto mógł chcieć ją odwiedzić o tej porze? Dokładniej mówiąc, kto w ogóle chciałby ją odwiedzić? Miała tylko jedną przyjaciółkę Rosemary Schulman z biura, a Rosemary nie jeździła samochodem i nie przyjechałaby do niej do domu.

Może ktoś się pomylił i wcisnął niewłaściwy guzik? Od czasu do czasu to się zdarzało, zwłaszcza w nocy, bo dzieciaki sąsiadów często psuły światło na werandzie. Gdy któregoś dnia otworzyła drzwi przystojnemu Murzynowi z wielkim bukietem żółtych róż, okazało się, że szuka Etty — chudej czarnej sprzedawczynie, która mieszkała obok.

Zanurzyła palce w pianie, żeby sprawdzić temperaturę wody. Dostała wypłatę, więc zafundowała sobie kurczakową kolację na dwie osoby, którą zamówiła w Dream

Dining przy East Markland Avenue. Zawsze zamawiała dwuosobową kolację, bo dzięki temu pracownicy Dream Dining nie mogli podejrzewać, że siedzi w domu sama przed telewizorem, jedząc z trzymanego na kolanach talerza.

Dzwonek ponownie zadzwonił, tym razem dwa razy — jakby niespodziewany gość zaczynał się niecierpliwić. Tilda wyjęła stopę z wody i pochyliła się, aby wytrzeć wodę spomiędzy palców. Kiedy to zrobiła, przyglądała potargane włosy, zdjęła z haczyka na drzwiach różowy szlafrok i założyła go, postępując z wysiłku.

Przeszła przez pokój i stanęła przy domofonie.

— Kto tam? — zapytała.

— Pizza.

— Pomylił się pan. Nie zamawiałam pizzy.

— Wiem, ale to promocja.

Głos roznosiciela brzmiał chrapliwie, jakby miał astmę.

— Jak to?

— Zamawia pani pizzę w Papa Joey's?

— Owszem.

— Więc dostała pani nagrodę za wierność. Dziś wieczorem każdy stały klient firmy dostaje darmową pizzę.

Zmarszczyła czoło. Coś jej się w tym wszystkim nie podobało, jednak rzeczywiście regularnie zamawiała przez Internet pizzę w Papa Joey's i jeśli to nie promocja, skąd wiedzieli, gdzie mieszka?

— Proszę pani, nie chcę naciskać, ale mam jeszcze

dwadzieścia sztuk do dostarczenia — powiedział chrapliwy głos. — Chce pani tę pizzę czy nie? Przygryzła wargę.

— Problem w tym, że już zjadłam kolację. Mogę dostać tę pizzę kiedy indziej? — zapytała. — Na przykład jutro?

— Przykro mi, ale promocja jest tylko dzisiaj.

— Z jakimi dodatkami?

— Takimi samymi, jakie pani zawsze zamawia. To hawajska pizza z grillowanym kurczakiem.

— No dobrze, wezmę.

Jeżeli ten człowiek wie, co zawsze zamawiam, oferta musi być rzetelna, pomyślała. Nawet jeśli teraz nie jest głodna, może jeszcze zgłodnieć przed pójściem do łóżka, a czego nie zje dzisiaj, będzie mogła zjeść rano. Lubiła pizzę na śniadanie — tak samo jak smażonego kurczaka na zimno czy zimne cheeseburgery.

Wcisnęła przycisk otwierający drzwi na dole i po chwili usłyszała jęk windy. Kiedy kabina dotarła do pierwszego piętra, rozległo się stuknięcie, jednak potem na dłuższą chwilę zapadła cisza. Tilda pochyliła głowę, próbując dosłyszeć kroki roznosiciela, ale na klatce schodowej nic się nie działo. Może to jednak głupi dowcip? Kiedy wieczorami wracała do domu, zdarzało się, że dzieciaki z sąsiedztwa wywrzaskiwały pod jej adresem różne obraźliwe słowa, nazywając ją „spaślakiem”, „wieprzowiną” albo „słoniowymi nogami”, ale głos w domofonie nie przypominał głosu dzieciaka.

Rozległo się głośnie pukanie do drzwi.

— Pizza!

— W porządku, niech pan sekundkę zaczeka — powie działa i wyjrzała przez judasza.

Zobaczyła mężczyznę w czerwonym T-shircie i białej czapce z logo Papa Joey's, z pudełkiem pizzy w rękach. Gdyby sama złożyła zamówienie, kazałaby sobie pokazać kwit, ale w tym przypadku nie było to oczywiście możliwe.

Przez chwilę się zastanawiała, czy aby na pewno nic jej nie grozi, jeśli otworzy drzwi, jednak mężczyzna miał na sobie uniform Papa Joey's, a skąd miałby go wziąć któryś z dzieciaków z sąsiedztwa?

Odrygłowała drzwi i uchyliła je, nie zwalniając łańcucha.

— Może pan wsunąć pudełko w drzwi.

— Przykro mi, ale muszę je trzymać poziomo. Jeśli przewrócę pizzę na bok, wszystko z niej pospada, prawda?

— No tak...

Kiedy zdjęła łańcuch, roznosiciel gwałtownie pchnął drzwi i wpadł na nią. Przewróciła się na plecy, na stolik do kawy ze szklanym blatem, który pękł pod jej ciężarem i rozpadł się na kawałki. Mężczyzna zatrzasnął za sobą drzwi i cisnął pudełko z pizzą w głąb pokoju, po czym ściągnął czapkę i odrzucił ją na bok.

Tilda odzyskała oddech i zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć.

— Ratunku! Niech ktoś mi pomoże! Etta!

— Zamknij się, tłusta krowo! — warknął mężczyzna.

Pchnął ją z powrotem na resztki stolika, złapał za szyję i zaczął dusić, wbijając jej jednocześnie kolano w brzuch.



Niestrawione kawałki kurczaka i cebuli podeszły Tildzie do gardła i zaczęła się dusić.

Dygotła ze strachu i szoku. Najbardziej przerażająca była twarz mężczyzny — zasłonięta trupio bladą maską o wykrzywionych w szaleńczym uśmiechu ustach.

Tilda wypluła kilka kawałków kurczaka zlepionych szaroburą flegmą.

— Proszę... — jęknęła. — Zaraz znowu zwymiotuję... proszę.

Wbijające się w jej brzuch kolano nie odsunęło się jednak. Widziała przez szpary w masce oczy napastnika.

— Musisz przysiąc, że nie zaczniesz krzyczeć.

— Proszę... nie mogę oddychać.

— Słyszysz? Musisz przysiąc, że nie będziesz krzyczeć!

— Przy...się...gam... — wychrypiała. Jej brzuchem wstrząsały spazmy wymiotów, a usta wypełniły się żółcią. — Proszę... zejdź ze mnie. Przysięgam na Boga, że nie będę krzyczeć.

Mężczyzna wahał się przez kilka sekund, ale w końcu cofnął kolano i wstał. Tilda przetoczyła się na bok i zwymiotowała reszkę dwuosobowej kolacji kurczakowej. Kiedy skończyła, oklapła jak przekłuty balon.

— Jesteś taka sama jak ona, nędzna kupo łaju — powiedział z wyraźnym zadowoleniem mężczyzna.

Splunął na nią, po czym otarł sobie usta grzbietem dłoni.

— Czego... — zaczęła Tilda, ale musiała najpierw wyrzucić z siebie kolejną porcję kurczaka. — Czego ode mnie chcesz?

— Czego chcę? Niczego nie chcę, droga pani. Zwłaszcza od ciebie. Ale to nie powinno cię obchodzić.

— Nie rób mi krzywdy. Muszę opiekować się matką.

— Myślisz, że obchodzi mnie twoja matka? Dlaczego miałaby mnie obchodzić? Mówimy o ludzkim przeznaczeniu. O historii. Sprawy poszły źle i trzeba je teraz ponaprawiać.

Tilda popatrzyła na niego. Mężczyzna chodził po pokoju jak lew po klatce. Kiedy znalazł się pod przeciwległą ścianą, kopnął pudełko z Papa Joey's, które najwyraźniej było puste.

Aparat telefoniczny wisiał na ścianie przy wnęcie kuchennej, wątpiła jednak, czy uda jej się do niego dotrzeć i wykręcić dziewięćset jedenaście. Spojrzała na regał z książkami wypełniony romansami i podręcznikami dietetycznymi oraz książkami o Dalekim Wschodzie. Na książkach leżała beżowa torebka, w której był aparat komórkowy, ale Tilda wiedziała, że nie da rady przejść przez pokój i wyjąć go niepostrzeżenie.

— Nie mówię, że to twoja wina — powiedział intruz i odchrząknął. — Problem w tym, że teraz trzeba wszystko ponaprawiać, a to jedyny sposób.

— Nie rozumiem, o czym mówisz — wymamrotała. — Co trzeba ponaprawiać?

— Chodzi o... — zaczął mężczyzna i przerwał, jakby nagle stracił wątek. Wyciągnął ręce w górę. — Wszystko. Trzeba wszystko naprawić.

— Nie zrobisz mi krzywdy, prawda? — zapytała.

Rozległo się ciche, szybkie pukanie i do mieszkania weszło dwóch kolejnych mężczyzn. Siedząca na podłodze Tilda odruchowo odsunęła się w stronę kanapy i jęknęła ze strachu. Obaj mężczyźni byli ubrani w czarne bawełniane bluzy i czarne spodnie, a na twarzach mieli maski: jedna z nich pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu, natomiast druga wściekle szczyrzyła zęby. Pierwszy z intruzów — ten w uśmiechniętej masce — zamknął drzwi i zarygłował je szybko.

— Miałeś rację—powiedział Obojętna Mina. — Wygląda zupełnie jak ona. Można dostać od tego dreszczy, prawda?

Wyszczierzony podszedł do Tildy i ukląkł obok, a potem ujął jej twarz i ścisnął palcami policzki.

— Ile ważysz, skarbie? Dziewięćdziesiąt pięć? Sto? Więcej?

Nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

— Nieważne — mruknął Wyszczierzony. — Wyglądasz dokładnie jak należy i tylko to się liczy. Jesteś jej idealną kopią.

Obojętna Mina podszedł bliżej i we dwóch podnieśli Tildę z podłogi. Zaciskała szlafrok na piersiach i patrzyła to na jednego, to na drugiego, próbując się domyślić, czego od niej chcą.

— Masz chłopaka, Tildo? — spytał Uśmiechnięty.

Pokręciła głową. Bolało ją gardło, a oczy wypełniały łzy.

— To doskonale. Będzie bardziej autentycznie. Ona też nie miała. No cóż... taka kupa łoj... Dokładnie jak ty.

— Nie róbcie mi krzywdy... — jęknęła. — Zrobię wszystko, co zechcecie.

— Tak też będzie — odparł Uśmiechnięty. — Ale to nic nie zmieni. Zdejmij szlafrok.

— Słucham?

— Słyszałaś, słodziaku. Zdejmij szlafrok.

Przycisnęła ramiona do piersi.

— Nie mogę.

— Nie, Tildo... nie rozumiesz. Możesz go zdjąć i na pewno to zrobisz. Teraz. Nie jesteśmy zbyt cierpliwi, żaden z nas.

— Nie mogę! Nie mogę! Nigdy!

Uśmiechnięty pochylił się i przysunął się do niej tak blisko, że nos jego maski z papier-mache niemal dotykał jej twarzy.

— Czego nigdy nie robiłaś, skarbie?

Tildzie zrobiło się słabo i nie mogła powstrzymać się od kiwania na boki.

— Nigdy... się nie pokazywałam. Mężczyźnie.

Wyszczерzony też podszedł bliżej.

— Nigdy nie stałaś naga przed mężczyzną? Zawsze gasiłaś światło?

Zamknęła oczy. Niech to nie będzie prawdą... proszę... — błagała w duchu.

— Nigdy nie byłam z mężczyzną. Nigdy.

— Wsadź mi w dupę pióro i mów do mnie „pawiu”. Nigdy nie byłaś z mężczyzną? Ile masz lat?

— Dwadzieścia osiem. Prawie dwadzieścia dziewięć. W przyszłym tygodniu mam urodziny.

— No to masz szczęście, ponieważ zerwiemy twoją wisienkę, zanim postarzejesz się o jeszcze jeden dzień.

Zabujała się na boki tak mocno, że omal nie upadła, ale Wyszczierzony złapał ją za ramię.

— Hej, hej! Wiem, że to cię kręci, ale nie mdlej nam tutaj!

— Proszę... co ja powiem matce?

— A kogo to obchodzi? Powiesz jej, że ci się spodobało. Co chcesz. To i tak nie jej interes, ale twoja prywatna sprawa.

Tilda wyrwała się z jego uścisku.

— Wynoś się! Wynoście się wszyscy i zostawcie mnie w spokoju! — wrzasnęła mu prosto w twarz. — Wynoście się z mojego mieszkania! Wynocha!

Uśmiechnięty czekał cierpliwie, aż się wykrzyczy.

— Musisz się uspokoić, Tildo — powiedział schrypniętym, astmatycznym głosem. — Pomyśl o swoim ciśnieniu. Spójrz na siebie: jesteś czerwona jak burak. Nie wyjdzie ci to na dobre.

Piersi Tildy unosiły się ciężko i opadały.

— Proszę... — wysapała. — Zostawcie mnie w spokoju...

— Gdybyśmy mogli, słodziaku... niestety musimy zrobić to, co musimy, bo inaczej wpadlibyśmy w gorsze kłopoty, niż możesz sobie wyobrazić — oświadczył Uśmiechnięty. — Czasami trzeba coś zrobić niezależnie od konsekwencji i od tego, czy ktoś nie zostanie przy tym skrzywdzony. — Zamilkł na chwilę, po czym dodał: — Zdejmij szlafrok, Tildo. Jeśli tego nie zrobisz, będziemy musieli cię skrzywdzić, a nie chcemy tego robić. W każdym razie nie więcej, niż to okaże się konieczne.

Popatrzyła na niego. Gdyby mogła zobaczyć jego twarz... dowiedzieć się, o czym myśli... widziała jednak tylko szaleńczy uśmiech na masce.

— No, Tildo, pospiesz się...

Poluzowała pasek i opuściła ramiona. Szlafrok zsunął się z niej i opadł na podłogę.

— O mój Boże... — westchnął Wyszczierzony. — Muszę przyznać, że niezły wieloryb z ciebie...

Tilda widziała swoje odbicie w lustrze wiszącym obok drzwi. Nienawidziła patrzeć na siebie nagą. Miała ogromne piersi i wielki brzuch, który wyglądał jak nadmuchana do połowy kamizelka ratunkowa. Jej tłuste uda były podziobane cellulitem, a kostki tak opuchnięte, że paski butów pozostawiały w skórze zagłębienia.

Uśmiechnięty rozejrzał się po mieszkaniu. Na widok stojącej na blacie kuchennym drewnianej miski z owocami jego oczy zabłyśły. Podeszedł do niej i wziął jabłko.

— Stań na czworakach — polecił Tildzie.

— Nie rozumiem... — wymamrotała, próbując lewym ramieniem zasłaniać piersi, a prawą dłonią krocze.

— Słyszałaś, co powiedziałem. Stań na czworakach.

— Nie — powiedziała tak cicho, że Uśmiechnięty udał, że nic nie słyszy i przystawił dłoń do ucha. — Nie... — powtórzyła.

Uśmiechnięty wszedł do wnęki kuchennej i zaczął wyciągać szuflady, aż znalazł nóż z piętnastocentymetrowym ostrzem. Wrócił do Tildy i uniósł go na wysokość jej twarzy.

— Nie próbuj się ze mną spierać, dobrze? O nic więcej nie proszę. Wyglądasz jak świnia, ale mogę cię jeszcze bardziej do niej upodobnić, odcinając ci nos.

Tilda gapiła się na niego, a jej oddech coraz bardziej przyspieszał. Poruszyła głową i dotknęła czubkiem nosa noża.

— Auu! — jęknęła i uniosła dłoń, aby pomacać nos.

Kiedy sobie uświadomiła, że odsłania ciało, szybko opuściła rękę. Uśmiechnięty zaczął polerować jabłko o rękaw.

— Masz... wsadź je sobie do ust — powiedział po chwili.

Zaczęła płakać, ale kiedy Uśmiechnięty przycisnął jej jabłko do ust, otworzyła je szeroko i wbiła zęby w owoc.

— Dobra dziewczynka. Doskonale. Teraz stań na czworakach.

Pochlipując, opadła na podłogę. Jej piersi i brzuch zwisały tuż nad nią i palił ją wstyd. Kneblujące usta jabłko sprawiało, że ciekła jej ślina, bała się jednak wypluć owoc, aby intruz w uśmiechniętej masce nie obciął jej nosa.

— Jaka śliczna mała świnka z jabłkiem w pysku... — stwierdził Uśmiechnięty. — Teraz tylko brakuje nadzienia.

Rozpiął rozporek i włożył dłoń w spodnie, wyjął penis i pomachał nim Tildzie przed oczami.

— Widzisz to? Delikatesowe nadzienie do prosiaków. Na pewno ci się spodoba... jej też zawsze się podobało.

Zamknęła oczy. Od tkwiącego w ustach jabłka zaczynały boleć ją szczęki.

— Ależ nie, Tildo — zaprotestował Uśmiechnięty. —

Trzymaj oczy otwarte, bo inaczej będę musiał obciąć ci powieki. Zaszedł ją od tyłu i ukląkł.

— Życie mi szczęścia, chłopcy — powiedział i za kaszłał gwałtownie. — Idę tam, gdzie przede mną jeszcze nikogo nie było!

Obydwoma rękami rozsunął pośladki Tildy, uniósł się nieco i z całej siły wbił w nią penis, choć była sucha jak pieprz. Bardzo ją bolało, więc zaczęła powtarzać w myślach: „Udawaj, że to tylko film, który właśnie oglądasz. Wróciłaś do domu, zjadłaś kolację i wykąpałaś się. A teraz oglądasz w telewizji jakiś bardzo brutalny film”.

Uśmiechnięty pchał coraz mocniej. Sięgnął w dół, wbił palce w zwisający brzuch Tildy i zaczął go ugniatać jak ciasto. Kiedy znowu zakaszła, poczuła jego kaszel w środku, ale nie przerywał. Wyszczierzony i Obojętna Mina również rozpięli spodnie i stanęli przed nią, trzymając penisy w dłoniach.

— Możesz sobie oszczędzić brania kąpieli — powiedział Obojętna Mina. — Chcesz, żebyśmy zrobili ci prysznic?

Wyszczierzony zaczął chichotać i Tilda nie mogła już dłużej udawać, że to, co się dzieje, nie dzieje się naprawdę. Zrobią z nią, co tylko zechcą, a kiedy skończą, prawdopodobnie ją zabiją. Wypuściła z ust jabłko, które potoczyło się po podłodze.

♦ ♦ ♦

Obudziło ją popiskiwanie budzika. Otworzyła oczy i zobaczyła rozświetlony słonecznym światłem kawałek dywanu. Leżała na boku pośrodku salonu, zupełnie naga. Trzej zamaskowani napastnicy zniknęli, ale kiedy uniosła głowę, stwierdziła, że całe jej ciało pokrywają ciemne siniaki. Miała je na piersiach, na brzuchu i na udach. Wyglądała jak postać z *Babes in the Wood*. Jej wargi i lewe oko były spuchnięte, a włosy i skóra śmierdziały moczem. Gdy wciągnęła powietrze, zebrało jej się na wymioty.

Usiadła z trudem i kiedy się wyprostowała, poczuła między nogami coś twardego, nieprzyjemnego. Po chwili stwierdziła, że wepchnęli w nią jabłko — to samo, które przedtem trzymała w ustach.

— O Boże... —jęknęła. — Boże Boże Boże...

Złapała jedną ręką za podłokietnik kanapy i po dłuższej chwili udało jej się stanąć na nogi. Natychmiast pokuśtykała do sypialni, aby sprawdzić, czy nie ukrywa się w niej żaden z zamaskowanych napastników. Wyłączyła piszczący budzik i zaczęła nasłuchiwać, słyszała jednak tylko stłumione dudnienie rur — to mieszkańcy domu napełniali wodą czajniki, brali prysznic albo splukiwali toalety.

Podeszła do szafy i otworzyła ją, ale w środku były jedynie jej sukienki w rozmiarze XL i swetry. Wróciła do salonu, aby zamknąć drzwi frontowe, zaryglować je i założyć łańcuch.

— O Boże... — powtarzała. — O Boże Boże Boże...

Drzwi do łazienki były uchylone i widziała, że wanna wciąż jest pełna — choć piana dawno opadła i woda była

pewnie lodowata. Musiała jednak zmyć z siebie smród tych mężczyzn. W jej głowie kłębiły się obrazy tego, co jej robili, ale starała je od siebie odsunąć. Najpierw musiała się umyć.

Zanurzała się w wannie, szczękając zębami z zimna. Oparła się karkiem o brzeg, zacisnęła palcami nos i zanurzyła się całkowicie. Leżała pod wodą tak długo, jak tylko się dało, a potem wyskoczyła na powierzchnię, łapczywie chwytając powietrze.

Boże Boże Boże... jakbym przez całe życie nie była poniżana, wydrwiwana i atakowana, pomyślała. Ignorowana przez chłopaków i traktowana z pogardą przez koleżanki. A teraz jeszcze zostałam pobita i zbezczeszczona...

Odkręciła gorącą wodę, wstała i zaczęła się namydlać — włosy, twarz i piersi. Choć była cała opuchnięta i wszystko ją bolało, mocno tarła się między nogami.

Nie pozwolę im, powtórzyła w myślach. Nie pozwolę im się złamać.

Nie potrafiła jednak powstrzymać spływających po policzkach łez, a jej usta wykrzywił niemy krzyk złości i rozpacz.

Kiedy się namydlała, za jej plecami odezwał się jakiś głos:

— Belinda?

Odwróciła się gwałtownie, straciła równowagę i z pluskiem zvaliła się do wody. W drzwiach łazienki stał dwunasto- lub trzynastoletni chłopak i gapił się na nią. Miał ciemne potargane włosy i bardzo bladą twarz. Był

ubrany w wyblakły czarny T-shirt i znoszone czerwone dżinsy.

Złapała leżący na stołku przy wannie wielki brązowy ręcznik kąpielowy i zakryła nim piersi.

— Kim jesteś? — zapytała. Była tak przestraszona, że zaczęła bardzo szybko oddychać. — Co tutaj robisz? Jak się dostałeś do mojego mieszkania?

Chłopiec podszedł bliżej.

— Od wielu dni próbuję cię znaleźć — powiedział bezbarwnym głosem z silnym obcym akcentem. Zabrzmiało to jak: „Ot felu dipuuje się naleść”.

— Wynoś się! Idź sobie, bo inaczej zadzwonię na policję!

Chłopiec zignorował tę groźbę i podszedł do samej wanny. Tilda wciągnęła koniec ręcznika pod wodę i wsunęła go sobie między nogi.

— Dlaczego nie wróciłaś, Belindo? — spytał chłopiec. — Mogłaś mnie uratować.

— Wynoś się stąd! Nie wiem, kim jesteś ani czego chcesz, ale musisz stąd iść.

— Szukałem cię wszędzie i nie mogłem znaleźć. Gdzie byłaś, Belindo? Dlaczego nie wróciłaś?

— Nie nazywam się Belinda — odparła Tilda. — Nie mam pojęcia, jak udało ci się do mnie wejść, ale zamierzam zadzwonić na policję i będziesz miał kłopoty.

Chłopiec sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

— Dlaczego mnie nie obejmiesz tak jak zawsze? Odeszłaś i nie wiedziałem dokąd, a mama zawsze albo spała,

albo była pijana, albo miała te swoje ataki. Mogłaś mnie uratować.

Tilda złapała przymocowany nad wanną uchwyt i zaczęła wyciągać się z wody, przez cały czas przyciskając do ciała mokry ręcznik. Chłopiec popchnął ją i wpadła z powrotem do wody. Nawet nie musiał jej mocno pchać, bo była obolała i wyczerpana, poza tym zawsze miała trudności z wychodzeniem z wanny.

Zaraz potem sam również wszedł do wanny — w ubraniu i w butach — po czym objął Tildę ramionami i przycisnął głowę do zakrywającego jej piersi ręcznika.

— Złaż ze mnie! — wrzasnęła, próbując go z siebie zepchnąć.

Przekreśliła się na bok, po czym zaczęła walić go pięściami i szarpać za T-shirt, ale wbijał jej palce w ciało tak mocno, że nie mogła się uwolnić. Miał przemoczone ubranie i ciężko dyszał z wysiłku, jednak nie puścił jej nawet wtedy, gdy złapała go za włosy.

— Tak jak zawsze, Belindo! — zawołał radośnie. — Ty i ja razem w wannie! Pamiętasz? A potem, kiedy leżeliśmy przytuleni, śpiewałaś mi piosenkę!

— Złaż ze mnie! Boże, zleż ze mnie wreszcie!

— Tak jak zawsze! To wspaniałe, prawda? Tak jak zawsze!

Puściła jego włosy i próbowała złapać go za gardło, ale walnął ją czołem w nasadę nosa, aż chrupnęła chrząstka. Kiedy z powrotem osuwała się do wanny, woda rozprysnęła się na boki.

Krztusząc się wodą i nie mogąc złapać oddechu, ponow nie sięgnęła do gardła chłopaka.

— Zabiję cię! — wrzasnęła. — Zamorduję!

— Nie musisz — odparł chłopiec. — Nie wiesz o tym? Nie musisz!

Po chwili eksplodował ogniem. Płomienie, które go objęły, były bardzo gwałtowne i głośno szumiały. Jego włosy buchały ogniem, twarz i całe ciało buchały ogniem i Tilda widziała, jak chłopak wpatruje się w nią przez płomienie — z rozszerzonymi oczami i szeroko otwartymi ustami, z których wydobywało się przenikliwe wycie.

Tilda również wrzeszczała i próbowała wydostać się spod chłopaka, ale ją także objęły płomienie. Czuła potworne gorąco, jakby tuż przed nią otwarły się drzwi wielkiego pieca. Jej brwi i włosy na głowie paliły się z trzaskiem, a skóra na policzkach pomarszczyła się i zaczęła zwijać, aż w końcu cała twarz się zwęgliła.

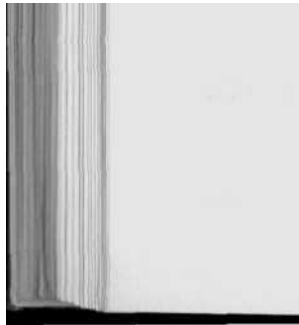
Chłopiec płonął tak gwałtownie, że woda w wannie zaczęła bulgotać i po kilku sekundach zawrzała. Tilda szarpała się, a jej ręce i nogi podrygiwały jak kończyny ogromnej szmacianej lalki. Nie wiedziała, że człowiek może czuć taki straszliwy ból. Trudno to było sobie wyobrazić. Powinna już nie żyć. Jej twarz, ramiona i piersi były zupełnie zwęglone, a plecy, uda i pośladki się gotowały.

Mamusiu... — modliła się bezgłośnie. Mamo, proszę, pomóż mi.

— Mamo, pomóż mi! — zawyła i w tym momencie jej serce przestało bić.

Chłopiec nadal płonął, jego szkielet i czaszka rozpadły się na kawałki. Woda w wannie całkowicie wyparowała i łazienkę wypełniała chmura pary. Poczerniałe ciało Tildy leżało na plecach, z uniesionymi rękami, jakby wciąż jeszcze próbowała zrzucić z siebie chłopca. Ze stopionej zasłonki prysznicza skapywały do wanny długie nici rozpuszczonego plastiku.

Dzień mijał powoli. Nikt nie zadzwonił ani nie zapukał do drzwi Tildy. Na korytarzu zahuczał odkurzacz — sprzątaczką śpiewała *Baby, Don 't Change Your Mind*, a kiedy wyszła, w domu znowu zapadła cisza.



Rozdział 6

Ruth spóźniła się dwadzieścia minut do pracy w komendzie głównej straży pożarnej przy West Superior Street. Pchnęła łokciem drzwi laboratorium pożarów i podpaleń, bo niosła dwa kubki—w jednej ręce cappuccino, w drugiej malinowe espresso — a pod pachą trzymała torbę z pączkami. Jack pochylał się właśnie nad wypalonym materacem z South McCann Street—w białym laboratoryjnym kitlu i okularach o szkłach jak denka butelek przypominał wielkiego owada. Całe laboratorium wypełniał kwaśny odór zwęglonej bawełny.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedziała. — Dziś wypadła moja kolej na odwożenie Amelii do szkoły, a były koszmarne korki.

— Sądziłem, że to zadanie Craiga — mruknął Jack, nie podnosząc głowy.

— Zwykle tak, ale kiedy Ammy zeszła dziś rano na śniadanie, była trochę marudna, więc uznałam, że powinam poświęcić jej nieco więcej czasu.

— Wszystko z nią w porządku? — zapytał.

Był ojcem chrzestnym Amelii i zawsze bardzo go interesowało, jak jej się wiedzie. Ruth odstawiła kubki z kawą.

— Kiedy dojeżdżałyśmy do szkoły, już się uspokoiła, ale nie przestała powtarzać, że się martwi.

— Martwi się? Przecież ma dopiero piętnaście lat! Wiem, że nie jest zwykłym dzieckiem, ale czym ona się może martwić?

— Uwierz mi, Jack, piętnastolatki też mogą mieć mnóstwo zmartwień... może nawet więcej od dorosłych. W każdym razie nie umiała mi wytłumaczyć, co ją tak martwi. Powiedziała, że czuje się, jakby nadciągała burza.

Jack podszedł do niej, przesunął okulary na czubek głowy i ściągnął lateksowe rękawiczki. Wziął kubek z kawą i zdjął pokrywkę.

— Dzięki. Już nie mogłem doczekać się czegoś mokrego. Jakie pączki kupiłaś? Cały czas czuję w ustach smak spalonego materaca.

— Z jabłkami i cynamonem.

— Wspaniale. Czemu jesteś dla mnie taka dobra, szefowo? — zapytał.

Poklepała go po ramieniu.

— Dobra szefowa musi pokazać ludziom, którzy dla niej pracują, że docenia ich umiejętności, poza tym pączki z jabłkiem i cynamonem to także mój ulubiony smak, więc nie zjedz wszystkiego, *capichel*

Wypił kilka łyków kawy i odstawił kubek.

— Odkryłem coś bardzo dziwnego — powiedział i wrócił do spalonego materaca, a Ruth bez słowa poszła za nim. — Mamy tu resztki bawełny i sprężyn wyżarzonych w wysokiej temperaturze. Jest też oczywiście trochę zwęglonego ludzkiego ciała. Myślę, że na skali Crowa-Glassmana byłoby to spalanie nieco powyżej poziomu drugiego. Płec jest nierozpoznawalna, ale nie doszło do całkowitego zniszczenia.

— No dobrze, ale co w tym dziwnego?

— To — odparł Jack i pokazał jej próbkę do połowy wypełnioną szarym proszkiem. — Kiedy przesiewałem popioły, znalazłem pięć albo sześć nadających się do analizy fragmentów skóry oraz paliczki małego palca lewej nogi. Należały do człowieka, ale pochodziły od innej osoby... może do innej ofiary spalonej w bardzo wysokiej temperaturze, znacznie powyżej poziomu piątego.

— Czy to znaczy, że mamy dwie ofiary?

— Nie mam jeszcze pewności, jeśli jednak tak jest, druga ofiara musiałaby być spalona w profesjonalnym krematorium. Niezbyt dokładnie, bo pozostały kawałeczki większych kości, ale po spaleniu musiały zostać zmielone w specjalnym granulatorze... a to raczej nie jest urządzenie, które można kupić w markecie budowlanym albo sklepie dla majsterkowiczów.

Ruth wzięła od niego próbkę, założyła okulary i dokładnie przyjrzała się jej zawartości. Szary proszek wyglądał zupełnie tak samo jak popiół po kremacji, który rodziny zmarłych dostają w urnach — nie jest to właściwie

popiół, lecz drobno zmielone kości. Niektórzy przedsiębiorcy pogrzebowi nazywają to „skresztkami”, od słów „skremowane resztki”.

— Ile tego znalazłeś?

— Na wagę? Mniej niż kilogram, więc mogłoby to być dziecko. Nie potrafię jednak powiedzieć, czy to wszystko, co pozostało z tej osoby, bo to zależy od tego, jak ten drugi rodzaj popiołu znalazł się na miejscu zdarzenia.

— Sądzisz, że ten drugi człowiek został spalony przed spłonieniem ofiary z materaca... w dodatku prawdopodobnie w krematorium?

— Zgadza się. A to oznacza, że nie mamy możliwości się dowiedzieć, w jaki sposób zginął. W każdym razie nie w tej chwili. Być może to ofiara morderstwa, mógł też zginąć w wypadku albo umrzeć w sposób naturalny. Kto to wie?

— Ale jak ten popiół znalazł się na materacu?

— Pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów i dziesięć centów... Może kiedy człowiek leżący na materacu się palił, trzymał w ręku pudełko z tymi prochami lub zostały rozsypane na materacu, zanim wybuchł pożar... przez kogoś trzeciego. — Jack wziął paczka z torby. — Poślę próbkę Aaronowi Scheinmanowi, niech zbada DNA. Nigdy nic nie wiadomo.

— Strzał w ciemno jak cholera...

— Nie zaszkodzi spróbować. Jest tu kilka większych okruchów, które mogą pochodzić z zębów. Przynajmniej się dowiemy, czy to była kobieta, czy mężczyzna.

Ruth podeszła do szafy i wyjęła z niej wykrochmalony kitel laboratoryjny. Kiedy go zapinała, zadzwoniła jej komórka. Popatrzyła na ekranik — był to SMS od Amelii: „Dzieje się coś złego”.

Spróbowała do niej zadzwonić, ale dziewczynka nie odbierała. Musiała siedzieć na lekcji i pewnie pisała tego SMS-a pod ławką. „Zadzwoń” — odpisała Ruth.

Telefon zabrzączał po pięciu minutach.

Głos Amelii brzmiał, jakby dzwoniła z łazienki. Ruth wyszła na korytarz, gdzie był lepszy zasięg.

— Mama? Siedziałam na matematyce i nagle poczułam coś strasznego...

— Co się stało? Dostałaś okresu?

— Poczułam się, jakbym płonęła. Zrobiło mi się tak okropnie gorąco, że o mało nie zemdlałam.

— Może złapałaś azjatycką grypę. Rano też się nie najlepiej czułaś, prawda? Zaraz przyjadę i zabiorę cię ze szkoły, dobrze?

— Nie musisz. Jesteś zajęta.

— Nie ma sprawy. Jack mnie zastąpi.

Kiedy podjechała pod Kokomo High, Amelia stała na schodach frontowych razem z Ritą Dunning — jedną z koleżanek z klasy. Rita miała mały nosek, koński ogon, aparat ortodontyczny na zębach i bardzo krótką spódniczkę.

— Dziękuję, Rito — powiedziała Ruth, kiedy Amelia wsiadała do samochodu.

— Nie ma sprawy, pani Cutter. Też chciałabym być taka jak Ammy i dostać wolny dzień...

Ruth zamierzała odpowiedzieć jej coś ostrego, ale Amelia oświadczyła:

— Daj spokój, mamó. Jestem przyzwyczajona. Zresztą Rita nie miała niczego złego na myśli.

Gdy odjeżdżały, Tyson wiercił się na tylnej kanapie, sapiąc chrapliwie i waląc ogonem o oparcie siedzenia. Zawsze był podniecony, kiedy Ruth odbierała Amelię ze szkoły.

— Jak się czujesz? — spytała.

— Już mi nie jest tak gorąco, ale bardzo chciałabym się czegoś napić. Tak mi wyschło w gardle, że ledwo mogę przełknąć ślinę.

— Myślę, że powinien cię zobaczyć doktor Feldstein. W powietrzu krąży teraz mnóstwo wirusów.

— Czułam się, jakbym płonęła, ale nie jak przy gorączce. Raczej tak, jakby moja skóra się paliła. Pamiętasz, jak na Florydzie siedziałam za długo na słońcu, a potem poszłam pod prysznic? Wtedy było dokładnie tak samo.

Kiedy zatrzymały się przy następnych światłach, Ruth odwróciła się i przyłożyła Amelii dłoń do czoła.

— Wyglądasz zupełnie dobrze i rzeczywiście nie masz gorączki. Może tylko jesteś trochę blada.

— Ale jest jeszcze coś... — powiedziała dziewczynka.

Sięgnęła do torby i wyjęła książkę do matematyki. Podręcznik miał pozaginane rogi i był pokryty skomplikowanymi gryzmołami, bo Amelia bez przerwy rysowała na wszystkich książkach i zeszytach — kwiaty, wróżki,

księżniczki i różne zwierzęta. Otworzyła książkę i uniosła ją, żeby matka mogła zerknąć do środka.

Choć Ruth musiała prowadzić, udało jej się spojrzeć. Na dole prawej strony widać było trzy równoległe brązowe ślady nadpaleń o długości jakichś czterech centymetrów. Jedno z nich zniszczyło dwie następne kartki.

— Kto to zrobił?

— Moje palce.

— Nie rozumiem... — mruknęła Ruth i zwolniła, zamierzając zatrzymać się przed kolejnymi światłami.

— Moje palce to zrobiły. Pisałam lewą ręką, a prawą trzymałam na książce. Kiedy podniosłam palce, papier był spalony.

— Jak to się mogło stać?

— Nie wiem, mamó, ale tak było. Rita też to widziała.

Ruth skręciła na podjazd ich domu i zaparkowała. Wzięła od Amelii podręcznik i przyjrzała mu się uważnie. Powąchała nawet kartkę — pachniała spalonym papierem. Ślady nadpaleń były rozmazane, ale miały kształt odcisniętych palców. Czy to możliwe, żeby te ślady pozostawiły palce jej córki? Jednak Amelia nigdy nie kłamała. Nie wiedziała nawet, co to znaczy.

— To nie ma sensu... — stwierdziła Ruth. Ujęła dłoń dziewczynki i odwróciła ją wnętrzem do góry. — Widzisz... twoje palce wcale nie są poparzone ani nic takiego...

— Przecież ci mówiłam, jak to się stało. Czułam się, jakbym się paliła, a potem zobaczyłam, że książka jest nadpalona, i ktoś powiedział: „Andie”.

— Andie? Ktoś powiedział: „Andie”?

— W środku mojej głowy ktoś powiedział: „Andie”, jednak to nie byłam ja. Brzmiało to jak głos chłopca.

Ruth wysiadła z samochodu i ruszyła do drzwi frontowych, a Amelia i Tyson za nią.

— Zdecydowanie powinnaś się zobaczyć z doktorem Feldsteinem. Może powinien zmienić ci ustawienie leków.

— Robił to dopiero miesiąc temu...

— Wiem, skarbie, ale rośniesz i twoje hormony szaleją. Może trzeba ograniczyć dawkę beta-blokerów. Nie powinien się przez cały czas zamartwiać, słyszeć głosów w głowie ani się palić, prawda? Jesteś moim skarbem, Ammy.

Dziewczynka objęła ją mocno.

— Ty też jesteś moim skarbem, mamó — odparła.

Weszły do środka domu. Ruth poszła do kuchni, wyjęła z lodówki butelkę gatorade i nalała go do szklanki, po czym wrzuciła do niego kilka kostek lodu. Kiedy stawiała napój przed córką, zadzwonił telefon.

— Ruth? Mówi Magruder. Jack mi powiedział, że o tej porze prawdopodobnie złapię cię w domu.

— Co słychać, Ron?

— Wygląda na to, że robimy postępy. Koroner skończył już wstępny raport i stwierdził, że zmarła była kobietą w wieku od trzydziestu do trzydziestu pięciu lat i przynajmniej raz rodziła.

— Ale w dalszym ciągu nie wiadomo, jak doszło do spalenia, prawda? My z Jackiem też nie mamy żadnej koncepcji.

— Nie. Nic nie wskazuje na to, że użyto jakiegoś środka zapalającego... tak jak mówiłaś. Mamy jednak pewną hipotezę.

— Jaka?

— Podczas ubiegłych dwóch tygodni otrzymaliśmy trzy zgłoszenia o zaginięciu, ale tylko jeden rysopis pasuje do raportu koronera. Julie Benfield, trzydzieści cztery lata. Asystentka w Harris Bank. Miała wrócić do domu we wtorek około szóstej, ale się nie zjawiła. Jej land cruisera znaleziono kwadrans po siódmej wieczorem na parkingu sklepu Casey's General Store przy South Dixon Road, z kluczykami w drzwiach. Zakupy były rozrzucone po całym parkingu.

— Brzmi to tak, jakby została porwana. Jacyś świadkowie?

— Nie. Nikt nic nie widział ani nie słyszał. Były mąż tej kobiety, David Benfield, jest partnerem w kancelarii prawniczej Jones, Hagerty i Benfield. Pracował do późna w swoim biurze przy North Washington Street. Siedział tam do wpół do dziewiątej wieczorem, więc możemy go wykluczyć jako podejrzanego. Biedak chciał zidentyfikować ciało, ale oczywiście nie wchodziło to w rachubę. Pokazaliśmy mu obrączkę, którą znaleźliśmy przy szczątkach. Sądzi, że to obrączka Julie, ale nie jest pewien. Val Minelli pobrała od jednego z ich dzieci próbkę mitochondrialnego DNA, więc niedługo powinniśmy wiedzieć, czy to ona.

— Mąż ma jakiś pomysł, dlaczego ktoś chciałby ją zabić?

— Nie. Powiedział, że „wszyscy ją kochali”. Podczas rozwodu nie orzekano o winie, nie było też kłótni o dzieci. Julie Benfield zasiadała w radzie rodzicielskiej i należała do Zjednoczonego Kościoła Metodystów.

— Trochę to dziwne, prawda? Ten, kto zabił tę kobietę, zamierzał spalić ją na popiół. Jak powiedziała Val, było to nie tyle zabójstwo, ile złożenie w ofierze.

— Jeszcze sporo pytań pozostaje bez odpowiedzi — mruknął Ron. — Przesłuchujemy po kolei mieszkańców domów przy South McCann i West Mapie Street i sprawdzamy zapisy z kamer Casey's, żeby stwierdzić, czy ktoś nie zwracał na panią Benfield szczególnej uwagi.

— Jack mówił ci o pochodzących od kogoś innego prochach?

— Mówił. Kiedy tylko je dostanie, prześle mi wyniki badania DNA, ale to potrwa kilka dni, więc do tego czasu będę przyjmował wszystkie sugestie.

— Chcesz powiedzieć, że jesteś tak samo zbaraniały jak my...

— Nie określiłbym tego w ten sposób i mam nadzieję, że straż pożarna też tak tego nie ujmie.

◆ ◆ ◆

Ruth zadzwoniła do kliniki Waltersa i umówiła Amelię na następny dzień rano na wizytę u doktora Feldsteina. Kiedy odkładała słuchawkę, dziewczynka siedziała ze skrzyżowanymi nogami w salonie na kanapie i oglądała *Simpsonów*, co chwila wybuchając śmiechem. Ruth tak

bardzo ją kochała, że oddałaby za nią życie. Gdyby miała musiała mieć przeszczep nerki, bez wahania oddałaby jej swoją. Niestety, nie było sposobu przekazania Amelii brakujących genów.

Zadzwoiła do Craiga, jednak Córa, jego asystentka, oświadczyła, że szef właśnie wyszedł na spotkanie do banku. Ruth spróbowała zadzwonić na komórkę, ale ją wyłączył.

— Mamo! — zawołała Amelia. — Chodź popatrzeć ze mną! To takie śmieszne!

— Dobrze — odparła Ruth i weszła do salonu.

Kiedy wyjrzała przez okno, ujrzała chłopca w spłowiałym czarnym T-shircie i znoszonych czerwonych dżinsach. Stał obok rosnącej na podwórzu lipy i gapił się na ich dom. Ruth poczuła nieprzyjemne szarpnięcie — jakby dotknęła przewodu pod napięciem. Stała i wpatrywała się w chłopca. Musiał ją widzieć, ale nie poruszył się. Przyciskał ręce do boków i lekko marszczył czoło, jakby się zastanawiał, czy podejść bliżej.

— Usiądź, mamo! To naprawdę śmieszny kawałek!

Ruth nie odrywała wzroku od chłopca. Mógł mieć jakieś dwanaście lat, był bardzo szczupły i z bliżej nieokreślonego powodu napawał ją niepokojem.

— Mamo? Na co patrzysz?

— To ten chłopiec... ten, którego widziałaś wczoraj po południu. Wrócił...

Amelia wstała i wyjrzała przez okno.

— Ciekawe, co tu robi. Wygląda, jakby czegoś chciał, prawda?

— Też mi się tak wydaje. Może go zapytamy?

— Nie wiem... może nie powinniśmy.

— Ammy, to tylko mały chłopiec.

— Wiem, ale przyprawia mnie o dreszcze.

— Daj spokój. Czego się boisz?

— Nie wiem, ale... mam wrażenie, jakby drzwi były otwarte. Jakby oni wszyscy próbowali się przez nie przedostać.

— W takim razie zostań w domu, a ja pójde do niego. Może się zgubił albo uciekł z domu. Jest ubrany w to samo co wczoraj, prawda?

— Mamo, nie rób tego...

Położyła dłonie na ramionach córki i uspokajająco je ścisnęła.

— Nie martw się, skarbie. Na pewno nie jest groźny. Jeśli nie ma gdzie iść, nie możemy pozwolić mu tak stać. Będziemy musieli zadzwonić do pogotowia opiekuńczego, żeby ktoś się nim zajął.

Otworzyła drzwi frontowe, a kiedy to robiła, Amelia jęknęła cicho. Ruth odwróciła się, żeby zobaczyć, co się stało. Amelia stała w holu i patrzyła przed siebie rozszerzonymi strachem oczami — jak postać z *Krzyku Muncha*.

Ruth wróciła do niej i objęła ją mocno.

— Skarbie, nie masz się czego bać. To tylko mały chłopiec.

Amelia pokręciła głową.

— Nie pozwól mu podejść za blisko — powiedziała.

— Dlaczego?
— Mamo, proszę cię...
— Dobrze, będę uważać.
— On nie wie, kim jesteś. Dlatego tu przyszedł. Uważa cię za kogoś innego.
— Za kogo? I skąd o tym wiesz?
— Nie wiem, ale inaczej by go tu nie było.
— No dobrze. Obiecuję, że nie dopuszczę go blisko siebie. Jeśli napawa cię takim strachem, zostań tu, wróć za minutę.

Otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Słońce mocno świeciło i w ogródku od frontu było tak jasno, że musiała osłonić oczy dłonią. Chłopiec jeszcze przed chwilą stał przy lipie, teraz jednak nie było go widać.

Podeszła do drzewa, ale chłopiec naprawdę zniknął. Weszła na chodnik, jednak także stąd nigdzie nie było go widać. Spojrzała na dom. Przez uchylone drzwi frontowe wyglądała ostrożnie Amelia, ale po chłopcu nie było ani śladu. Jakby był jedynie grą cieni.

Zanim Ruth postanowiła wrócić do domu, na ulicy pojawił się srebrny explorer Craiga, skręcił na podjazd i zaparkował za jej fordem.

— Czekasz na mnie? — spytał Craig, kiedy wysiadł z samochodu.

Pokręciła głową.

— Był tu chłopiec... stał pod domem.

Craig rozejrzał się wokół.

— Nie widzę żadnego chłopca. Jak wyglądał?

— Ciemne włosy, bardzo blada twarz, czarny T-shirt, czerwone džinsy. Najdziwniejsze jest to, że był tu też wczoraj wieczorem, widziałam go również w tłumie gapiów pod domem przy South McCann Street, w którym znaleźliśmy spalone ciało.

— Może cię obserwuje?

— Dlaczego miałby to robić?

— Może się w tobie zakochał?

— Nie wygłupiaj się. Ma nie więcej niż dwanaście lat.

— Kiedy miałem dwanaście lat, przez pół roku byłem rozpaczliwie zakochany w Jane Fondzie — powiedział Craig. Popatrzył na dom i zobaczył schowaną za drzwiami frontowymi Amelię. — Co Ammy robi tu o tej porze? A ty?

Opowiedziała mu, co się stało. Gdy weszli do domu, Craig objął Amelię i zapytał, czy już się dobrze czuje.

— Teraz, kiedy on sobie poszedł, tak.

— Co ten biedny chłopak zrobił?

— Nie jest biednym chłopakiem. Jest wstrętnym chłopakiem.

— No cóż, nie chcemy, żeby jakiś wstrętny chłopak cię straszyl. Jeśli znowu się tu pojawi, powiedz mi, to go przegonię.

Poszli do salonu. Craig natychmiast podszedł do stolika z alkoholami i nalał sobie dużą szklankę jacka danielsa.

— Craig... — jęknęła Ruth.

Uniósł szklankę w toaście.

— Po takim przedpołudniu...

,— Martin nie pożyczy ci pieniędzy?
— Nawet nie dodał, że mu przykro. Po prostu odmówił.
— Co powiedział o twoim biznesplanie?
— Że jest doskonały. Dobrze przemyślany i dokładnie skalkulowany. Rok temu dałby mi, ile chcę.
— I co teraz?
— Mam trzy możliwości. Mogę się powiesić, zastrzelić albo położyć na torach i poczekać na pociąg towarowy do Norfolku.
— Nie może być aż tak źle.
— Jak myślisz, dlaczego nie poszedłem do pracowni? Rano dzwonił Miller Homes z Fort Wayne. Rozmawiałem z nim miesiąc temu o projekcie budowy nowego osiedla w okolicy Orchard Ridge. Siedemdziesiąt pięć domów, siedemdziesiąt pięć kuchni na zamówienie.
— I co?
— Zrezygnowano z niego. Tak samo było w przypadku Muncie Properties, Keiller Housing i Davis Nugent. Przez cały dzień wydzwaniałem do deweloperów. Zadzwoiłem nawet do Kanakee Homes w Peorii.
— Jakoś przez to przejdziemy. Nie jesteśmy jedyną rodziną, która cierpi z powodu kryzysu.
Skończyli się *Simpsonowie* i Amelia poszła na górę do swojego pokoju. Kiedy Ruth była pewna, że córka nie może ich słyszeć, wyjęła z jej torby książkę do matematyki i otworzyła ją na nadpalonych stronach.
— Co to? — zapytał zdziwiony Craig. — Przecież Ammy nie pali.

— To nie są ślady po papierosach. Żar papierosa ma temperaturę sześćuset stopni Celsjusza, co spowodowałoby powstanie znacznie ciemniejszych śladów. Poza tym może nie mam tak wrażliwego nosa jak Tyson, ale poczułabym zapach tytoniu.

— Więc... jak to powstało?

— Od palców Ammy. Powiedziała, że miała wrażenie, jakby cała płonęła, położyła dłoń na książce, a kiedy ją podniosła, kartka była nadpalona.

Graig zmarszczył brwi.

— Czy to możliwe? Jesteś ekspertem od ognia.

— Jack opowiedział mi dziś o samoistnym zapłonie człowieka. Rozumiesz, chodzi o to, że ktoś nagle zapala się z niewyjaśnionych powodów.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że...

— Nie, nie chcę. Nie wierzę w coś takiego. To znaczy nie powinnam wierzyć, ale wiesz... Ammy jest inna niż wszyscy. Może jej palce przez sekundę lub dwie mogą emitować skupione promieniowanie cieplne? Niektórzy ludzie są naturalnymi przewodnikami ciepła. Ale nie miała na palcach żadnych śladów. Nie miała bąbli ani zaczerwienionej skóry.

Craig uważniej przyjrzał się nadpaleniom.

— Musi być jakieś wyjaśnienie... Mogłabyś wziąć tę książkę do laboratorium i zrobić kilka badań, prawda?

Przerwali, bo zeszła do nich Amelia. Ruth schowała książkę za plecami.

— Nie ma sprawy, mam, wiem, o czym rozmawiacie —



oświadczyła dziewczynka. — Naprawdę mi to nie przeszkadza. Mam to samo cały czas w szkole.

— Przepraszam, skarbie. Martwimy się o ciebie, to wszystko.

— Znowu słyszałam ten głos.

— Kiedy?

— Przed minutą, w pokoju. To był ten sam głos, znowu był w mojej głowie. Powiedział: „Prochy Andiego”.

— „Prochy Andiego”? Jesteś pewna?

Kiwnęła głową.

— To był on. Wiem to. Wstrętny Chłopak. Nie sądzę, aby chciał, żebym go słyszała, ale go słyszę.

Ruth podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Craig położył jej dłoń na ramieniu.

— Nie ma go — stwierdziła.

Na ulicy widać było jedynie starszego pana w ciemnych okularach, który wyprowadzał na spacer spaniela z wyraźną nadwagą.

— On nie chce, żebyś go widziała, ale wcale sobie nie poszedł — wyjaśniła Ammy.

Zadzwoił telefon i Ruth podskoczyła. Craig podniósł słuchawkę.

— Kuchnie Cuttera — powiedział. — Craig Cutter przy aparacie. W czym mogę pomóc? — Przez chwilę słuchał, a potem oddał słuchawkę Ruth. — To Jack. Mówi, że znaleźli kolejną ofiarę.

Rozdział 7

Przetaszczyła ciężką metalową walizę korytarzem i wniosła ją do mieszkania ofiary. Tyson człapał tuż za jej piętami, ale już zaczął węszyć i wydawał z siebie ciche podniecone popiskiwanie.

Bob Kowalski stał w salonie i rozmawiał z Sandrą Garnet, młodą panią detektyw. Sandra była ruda i piegowata, ale bardzo ładna. Miała podniesione na czoło okulary i była ubrana w nieco za obcisłą w pasie oliwkową garsonkę. Potrafiła rozmawiać z ludźmi i Bob Kowalski zawsze powtarzał, że gdyby nie był żonaty, poprosiłby ją o rękę — oczywiście gdyby miał kilkanaście lat mniej.

Ruth podeszła do nich.

— Ofiara znajduje się w łazience — powiedział Bob. — Tak samo spalona jak tamta wczorajsza młoda kobieta, ale tym razem chyba wiemy, kto to jest.

Rozejrzała się po pokoju. Kompleks apartamentów przy West Rainbow Drive, na południowy wschód od Kokomo,

został zbudowany niecałe cztery i pół roku temu. Craig wyposażał tu kuchnię i był to jeden z jego pierwszych naprawę dużych kontraktów.

Widać było od razu, że ofiara mieszkała sama. Spod kanapy wystawały znoszone różowe kapcie, a na kontuarze kuchennym stał pojedynczy żółty kubek z napisem TILDA. Na parapecie ustawiono rządę fotografii w ramach przedstawiających uśmiechniętą, pulchną młodą kobietę: na niektórych była z drugą kobietą, znacznie starszą, prawdopodobnie matką, a na innych z dziewczynami w błękitnych blezerach i białych bluzkach. Brakowało zdjęć z mężczyznami.

— Ofiara jest tak spalona, że nie da się dokonać stuprocentowej identyfikacji, ale niemal na pewno jest to Tilda Frieberg, która tu mieszka. Dwadzieścia osiem lat, pracownica działu sprzedaży telefonicznej firmy Allstate Insurance, West King Street czterysta pięćdziesiąt dwa.

— Co się stało? — spytała Ruth.

Szklany blat stolika był roztrzaskany na kawałeczki, jego dwie nogi rozłożyły się na boki, dywan pod nim był zmarszczony. Na podłodze leżało kilka kolorowych poduszek — wszystkie zakrwawione. W rogu pokoju, przy drzwiach do łazienki, leżało jabłko ze śladami zębów. Beżowy dywan był poplamiony, a w powietrzu unosił się silny kwaśny odór.

— Wygląda na to, że pani Frieberg została zaatakowana przez kilku napastników — powiedziała detektyw Gar-

net. — Ten dziwny zapach to mocz. W którymś momencie ktoś oddał mocz na dywan... albo pani Frieburg, albo jeden z napastników, mamy więc do dyspozycji spore ilości DNA. Jeszcze nie wiemy, czyja to krew, ale identyfikacja nie powinna być trudna. Znaleźliśmy włosy pani Frieburg na szczotce i zaraz skontaktujemy się z jej lekarzem, aby się dowiedzieć, jaką miała grupę krwi. Zdobyliśmy też telefon do jej dentysty.

Z łazienki wyszedł Jack — miał na sobie szeleszczący niebieski kombinezon i lateksowe rękawiczki.

— Cześć, szefowo! Chodź tutaj. Musisz rzucić na to okiem.

Tyson z zapalem wciągał zapachy z dywanu, ale Ruth go pohamowała.

— Zostaw to na razie, chłopaku. Noga!

Val Minelli robiła jeszcze zdjęcia, więc w łazience co parę sekund rozbłyskiwało światło flesza. Wywoływało to wrażenie, jakby ciało podskakiwało w daremnej próbie wyskoczenia z wanny.

— Widzieliście kiedyś coś takiego?

Ciało było zwęglone i skulone w tej samej pozycji jak to, które znaleźli przy South McCann Street. Oczy kobiety były otwarte, choć gałki oczne zrobiły się brązowe. Twarz poczerniała, a wargi miały barwę surowego mięsa, co w zestawieniu z szeroko otwartymi oczami przypominało maskę jarmarcznego kuglarza.

Ruth uklękła na macie przy wannie. Na jej wewnętrznych ściankach widoczna była brudnoszara linia, co ozna-

czało, że kiedy ogień się zapalił, w środku znajdowała się woda — o głębokości przynajmniej czterdziestu centymetrów. Teraz wanna była pusta, jedynie pod zwłokami widniały gęste szare smugi. Boki wanny pokrywały bladoszare kręgi — najwyraźniej woda nie spłynęła, ale się po prostu wygotowała. Kiedy Ruth pochyliła się do przodu, zobaczyła, że zatyczka tkwi w odpływie.

Wstała, otworzyła walizkę i wyjęła aparat. Zaczęła fotografować wannę, zwłoki i łazienkę. Wykafelkowane ściany pokrywała gruba warstwa sadzy i tłuszczu — prawdopodobnie ludzkiego. Tak samo było z podłogą.

— Jakież odciski stóp? — spytała.

— Tylko trzy, przy drzwiach, ale zrobił je dozorca, który znalazł ciało. Pani Frieburg skarżyła się na klekoczącą lodówkę, więc po południu przyszedł ją naprawić. Sądził, że kobieta będzie w tym czasie w pracy.

Ruth stała i przez długą chwilę wpatrywała się w zwłoki i brudną wannę, w której leżały. Była zupełnie zdezorientowana.

— Jak można skremować ciało w pełnej wody wannie? — spytała. — Jak podgrzać wodę do takiej temperatury, aby odparowała i pozostało jedynie zgrillowane ciało? To standardowa amerykańska wanna, więc musiało w niej być przynajmniej sto siedemdziesiąt litrów wody... nawet jeśli ofiara była bardzo duża.

— Może sprawca użył magnezu albo sodu? Oba te pierwiastki po zapaleniu reagują bardzo gwałtownie w kon-

takcie z wodą i spalają cały zawarty w niej tlen. To reakcja egzotermiczna.

— Będziemy mądrzejsi po analizie szczątków, ale nie potrafię sobie wyobrazić, w jaki sposób tego dokonano. Jak ta nieszczęsna kobieta mogła zostać jednocześnie upieczona i ugotowana?

Pozwoliła Tysonowi powęszyć po łazience, nie natrafił jednak na ślad żadnego środka zapalającego. W końcu położył się na podłodze, czekając, aż Ruth i Jack skończą robić zdjęcia i pobierać próbki.

Do łazienki weszła detektyw Gamet.

— Paskudna zagadka, prawda? Sądzicie, że wczorajsze podpalenie i to tutaj jest dziełem tego samego człowieka?

— Wolałbym się na ten temat nie wypowiadać — odparł Jack. — Nieczęsto w tak krótkim odstępie czasu ma się do czynienia z dwiema ofiarami, zmarłymi na skutek podpalenia, w dodatku w odległości kilku kilometrów od siebie, ale działy się już dziwniejsze rzeczy. Może jakiś wariat zobaczył informację o wczorajszej sprawie w telewizji i uznał, że ta biedna kobieta zasługuje na podobny los.

— Z tego co wiemy, Tilda Frieburg raczej nie miała wrogów — powiedziała detektyw Garnet. — Nie była związana z żadnym mężczyzną... ani kobietą. Jej jedyna bliska znajoma twierdzi, że na gruncie prywatnym z nikim się właściwie nie kontaktowała.

— To smutne.

— Pewnie tak — mruknął Jack. — Jak nierozdziewiczona naczelniczka poczty: zwrot do nadawcy bez otwierania.

— Ale przez to jeszcze trudniej zrozumieć tę sprawę — stwierdziła detektyw Gamet. — Wygląda na to, że wybrano ją przypadkowo... podobnie jak panią Benfield.

— No cóż, teraz wy musicie spróbować się dowiedzieć, dlaczego stało się to, co się stało — powiedział Jack — a my skoncentrujemy się na tym, jak do tego doszło.

Podczas gdy Val Minelli sypała proszek daktyloskopijny na drzwi i kafelki na ścianach w poszukiwaniu odcisków palców, Ruth i Jack pobierali próbki z kółek znajdujących się po wewnętrznej stronie wanny. Zebrali też całą szarą maź z dna i powycinali kawałki z wiszącej nad wanną zasłonki, bo rodzaj zmian w strukturze bladoturkusowego winylu mógł im dostarczyć informacji o intensywności ognia i prędkości jego rozprzestrzeniania się.

Ruth porozmawiała z dozorcą — zezowatym mężczyzną z wielką pożyczką na głowie i nastroszonymi siwymi wąsami. Spytała, czy widział kogoś kręcącego się wokół osiedla, niekoniecznie podejrzanie wyglądającego, ale raczej sprawiającego wrażenie, jakby nie miał tu nic do roboty.

Nie widział.

Zapytała, co poczuł najpierw, kiedy otworzył drzwi do mieszkania Tildy Frieberg.

— Grilla — odparł.

— Nic chemicznego? Metalicznego? Nic przypominającego benzynę, terpentynę albo rozpuszczalnik? Niczego takiego nie wyczuł.

♦ ♦ ♦

Gdy dotarła do domu, było już po wpół do ósmej. Zadzwoiła wcześniej do Craiga i poprosiła, żeby rozmroził chili, które zrobiła dwa tygodnie temu, i kiedy otwierała drzwi, natychmiast poczuła jego zapach.

Na stoliku do kawy leżał otwarty laptop, a Craig siedział na kanapie. Sprawiał wrażenie zmęczonego i udręczonego, włosy lepiły mu się do potylicy.

— Co słychać? — spytała Ruth, stojąc za kanapą i masując mu kark.

— Syf. Eagle Estates przedstawiło projekt budowy dwunastopartamentowego osiedla we Frankfort...

— To chyba dobra wiadomość.

— Byłaby, gdyby nie zaznaczyli, że oprócz mnie jest jeszcze pięciu innych oferentów i muszę obniżyć ceny. A ja już i tak chodzę na rękach, żeby oszczędzać podeszwy.

— Sprawdź chili — powiedziała.

Poszła do kuchni, a Tyson pocłapał za nią. Otworzyła kuchenkę i wyjęła z niej szklaną formę do zapiekanek. Zamieszała i spróbowała dania. Było niemal gotowe, jednak w jedzeniu przeszkadzała jej myśl o Tildzie Frieburg, leżącej na dnie wanny, ojej zwęglonej twarzy i zaciśniętych w pięści czarnych dłoniach, jakby przed śmiercią walczyła z całym światem.

— Jak twój dzisiejszy pożar? — zapytał z pokoju Craig.
Ruth otworzyła puszkę dla Tysona, który oblizywał się łąkowie i podrygiwał na podłodze, stukając o nią ogonem, jakby stepował.

— Był... dziwny — odparła, po czym wygarnęła psie jedzenie do miski i wróciła do salonu. — Ofiara spaliła się w wannie, a kiedy zaczęła się palić, wanna była pełna wody.

— Jak można podpalić kogoś w wodzie? — zdumiał się Craig.

— Tego właśnie chciałabym się dowiedzieć. Woda cała się wygotowała.

— Ale to nie było samoistne zapalenie się, czy jak tam to nazywacie? To, o czym mówił ci Jack.

— Samozapłon ludzkiego ciała? — Ruth pokręciła głową. — Nie wierzę w coś takiego. Ciało dorosłego człowieka składa się w siedemdziesięciu procentach z wody. Wyobrażasz sobie coś mniej podatnego na zapalenie?

Craig zawołał Amelię i usiedli do kolacji. Telewizor w salonie był włączony — na ekranie migotał któryś z odcinków *Old Christine* — lecz z wyłączonym głosem. Ruth zmuszała się do jedzenia, jednak każdy kęs stawał jej w gardle. Amelia też zdawała się nie mieć apetytu — siedziała oklapła i dziobała widelcem fasolę.

— Nie smakuje ci chili? — spytała ją w końcu Ruth. — Może wydaje ci się zbyt ostre?

— Moim zdaniem jest wspaniałe — stwierdził Craig, który skończył już jeść i wycierał talerz tortilla. — Naj-

lepsze, jakie kiedykolwiek zrobiłaś. *Muypicante*, dokładnie takie, jak lubię.

— Właściwie nie jestem głodna — powiedziała Amelia i odłożyła widelec. — Mogę wstać od stołu?

— Skarbie, dobrze się czujesz? Chyba znowu się czymś martwisz?

— Nic mi nie jest. Po prostu nie mam apetytu.

Craig zamierzał coś wtrącić, ale Ruth przyłożyła palec do ust. Dziewczynka poszła na górę, a Ruth i Craig sprzątnęli ze stołu i powkładali naczynia do zmywarki.

— Może się zakochała? — mruknął Craig. — Ta fala gorąca, jaką poczuła w szkole... może to hormony?

— Nie sędzę. Nie słyszałam, żeby hormony paliły papier.

— Założę się, o co chcesz, że się zakochała. Może w swoim nauczycielu matematyki.

— A widziałeś go? Wygląda jak Pee Wee Herman.

♦ ♦ ♦

Dała Amelii dwadzieścia minut, po czym poszła na górę. Kiedy zbliżała się do jej pokoju, zza drzwi dobiegały słowa piosenki, którą dziewczynka napisała:

Ciekawe, dokąd on idzie

Z tym uśmiechem na twarzy.

Ciekawe, czy wie, że zaraz zacznie padać...

Zapukała.

— Możesz wejść — odpowiedziała po chwili Amelia.

W pokoju było ciemno, rozświetlało go jedynie pomarańczowe światło ulicznej latarni migoczącej zza lipy przy podjeździe. Amelia stała przy oknie i wyglądała na ulicę.

Ruth podeszła do niej.

— Co się dzieje? — zapytała.

— Mówiłam ci już. Drzwi są otwarte i ludzie próbują przez nie przechodzić.

— Mówiłaś, pamiętam, ale w dalszym ciągu nie do końca rozumiem, o co chodzi.

Amelia odwróciła się i popatrzyła na matkę. Cienie liści tańczyły po jej twarzy i sprawiały, że co chwila wydawała się zmieniać: z uśmiechniętej na rozzłoszczoną, z rozłoszczoną na obojętną, a potem znowu na roześmianą. Nie wiadomo, dlaczego Ruth bardzo to irytowało.

Dziewczynka machnęła ręką, jakby kogoś do siebie przywoływała.

— To tak samo jak wtedy, gdy ty albo tata wchodzicie do mojego pokoju z dołu. Stamtąd właśnie przychodzą: z dołu.

— Z jakiego dołu? Tutaj z dołu? Z dołu naszego domu?

Amelia pokręciła głową.

— Wszędzie z dołu. Z dołu, gdzie jest gorąco. Tam jest ich miejsce, teraz jednak chcą przejść. Ktoś otworzył drzwi i przeszedł przez nie, więc inni chcą zrobić to samo.

Ruth nic na to nie odpowiedziała. W dalszym ciągu nie rozumiała, o czym Amelia mówi, ale widziała, że córka jest bardzo poruszona, i nie chciała pogarszać sprawy pytaniami, o jakie drzwi chodzi, o jakich ludzi i czego chcą.

Postanowiła zapytać o to doktora Feldsteina — jutro. Pod koniec ubiegłego roku, kiedy Amelia zaczęła bać się wychodzenia na ulicę, między ludzi, zaproponował psychoterapię, jednak Ruth się na nią nie zgodziła. Amelia i tak nie mogła robić wielu rzeczy z powodu genetycznej wady serca oraz trudności z przełykaniem pokarmów i Ruth nie chciała, aby czuła się jeszcze bardziej wyalienowana. Wiedziała, że wielu młodych ludzi z zespołem Williamsa często odczuwa różnego rodzaju lęki i niepokój, ale wynikało to z *hyperacusis* — zwiększonej wrażliwości na dźwięki, będącej także przyczyną niechęci do wychodzenia na ulicę. Jednak Amelia zawsze była towarzyska i pewna siebie — dopiero od kilku dni zaczęła mówić, że się czymś niepokoi.

Ale nawet pomijając wszystkie inne sprawy, Ruth wątpiła, czy z powodu trudnej sytuacji, w jakiej znalazła się firma Craiga, będzie ich stać na psychoterapeutę.

— Ci ludzie... tak naprawdę nie są prawdziwi — powiedziała, próbując uspokoić córkę.

— Są. W każdym razie... byli.

— Jak to: „byli”? Chyba nie masz na myśli duchów.

— Coś w tym stylu. To zależy.

— Ammy, duchów nie ma. Krążą o nich różne historie, ale wszystkie są wysane z palca. To, o czym mówisz, też tak brzmi. Opowiadasz o ludziach przechodzących przez wyimaginowane drzwi, przychodzących z dołu. Nie rozumiem, po co to robisz. Może trzeba ci na nowo ustawić leki. Uwierz mi, to wszystko dzieje się tylko w twojej głowie.

— W takim razie co z nim? — zapytała Amelia, wskazując na okno.

Ruth wyjrzała na zewnątrz. Obok lipy znowu stał chłopiec w czarnym T-shircie i czerwonych dżinsach i patrzył na dom.

— Z nim? On nie jest duchem. To zwykły chłopiec i powoli mam dość jego wystawiania pod naszym oknem.

Odwróciła się i zbiegła na dół. Przeszła szybko przez hol i pchnęła drzwi frontowe.

— Hej! Ruth? Ruthie, co się dzieje? — zawołał Craig z salonu.

Nie zatrzymała się, aby mu odpowiedzieć. Zbiegła po schodach i przez trawnik ruszyła do drzewa. Tak samo jak poprzednim razem i na South McCann Street chłopca nigdzie nie było widać. Zaczęła się rozglądać i nasłuchiwać, ale wokół panowała cisza.

Ulicą powoli nadjeżdżał stary czarny buick riviera, cicho gulgocząc silnikiem. Kiedy ją mijał, zwolnił i Ruth napotkała wzrok siedzących w środku trzech mężczyzn, którzy przyglądali się jej uważnie. Okna samochodu pokrywała gruba warstwa brunatnego pyłu, ale mimo to zauważyła, że twarze mężczyzn były bardzo białe — jakby mieli na nich maski.

Cofnęła się od krawężnika, a buick przyspieszył i odjechał. Gdy zwolnił na skrzyżowaniu z North Courtland Avenue, zapaliły się światła hamowania, zaraz jednak zgasły, auto skręciło w prawo i zniknęło.

Z domu wyszedł Craig. Kiedy Ruth spojrzała na okno



pokoju Amelii, zauważyła, że córka wygląda na zewnątrz. Pomachała jej, ale dziewczynka nie odmachwała.

— Co ty wyprawiasz? — spytał Craig. — Chyba nie widziałas znowu Wstrętnego Chłopaka?

— Był tu! Przysięgam!

Craig rozejrzał się wokół.

— A gdzie jest teraz?

— Nie mam pojęcia. To musiało być złudzenie optyczne.

— Może powinienem wezwać gliny?

— Nie trzeba, szkoda czasu.

— Jak chcesz, ale jeśli znowu go zobaczysz...

Wrócili do domu. Zanim Ruth zamknęła drzwi, wyjrzała jeszcze na zewnątrz. Mogłaby przysiąc, że przy drzewie znowu stoi szczupła postać, ale równie dobrze mogła to być gra światła albo iluzja składająca się ze skrzynki pocztowej i cienia rzuconego przez żywopłot sąsiadów.

Poszła do pokoju Amelii. Dziewczynka zaciągnęła już zasłony i wyjmowała ubranie na następny dzień: porozciągany czerwony sweter i długą brązową spódnicę.

— Nie było go — powiedziała Ruth. — Kiedy doszłam do drzewa, zniknął.

— Nie powinnaś się do niego zbliżyć.

— Dlaczego? Uważasz, że jest niebezpieczny?

— Wszystko dzieje się z jego powodu. Właśnie dlatego drzwi się otworzyły i dlatego ci wszyscy ludzie chcą przez nie przejść.

— Ammy...

Dziewczynka podeszła do niej. Miała łzy w oczach. __
Mamo, nie umiem tego wyjaśnić. Wiem, że to się
dzieje, ale nie wiem dlaczego. — Przycisnęła dłoń do
szu —-1 taki P^r/y t^{'m} J^{est} hałas! Mnostwo osób mówi
jednocześnie, krzyczy, płacze i próbuje się przecisnąć...
Ruth objęła ją mocno.

__ Nie martw się, skarbie. Bez względu na to, co
to jest, wymyślimy jakiś sposób, aby ponownie zamknąć
te drzwi.

Spojrzała w stronę korytarza. Stał na nim Craig.
Nic nie mówił, ale miał uniesione brwi i współczująco
kręcił głową.

Rozdział 8

Usiedli w salonie z dużymi kieliszkami shiraza. Craig oglądał *CSI: Kryminalne zagadki Miami*, a Ruth próbowała rozwiązać skomplikowaną krzyżówkę z „Kokomo Tribune”.

— Więc mówisz, że Ammy... sama nie wie, dlaczego jest niespokojna? — zagaił Craig w przerwie na reklamy.

Ruth zdjęła okulary.

— Być może to sprawa leków. Nasza córka dojrzewa, a doktor Feldstein zawsze mnie ostrzegał, że u dziewcząt z zespołem Williamsa następuje to nieco szybciej. Poza tym jest inna. W jej wieku człowiekowi bardzo zależy na tym, aby nie odstawać od przeciętnej.

— Może powinnaś porozmawiać z doktorem Feldsteinem o jakiejś terapii?

— Porozmawiać oczywiście mogę, ale pozostaje pytanie, czy byłoby nas na nią stać.

Wróciła do krzyżówki. Craig przez dłuższą chwilę przyglądał jej się w milczeniu.

— Co jest? — spytała w końcu.

— Nic. Przykro mi tylko oglądać ją w takim stanie. Nikt nie próbował jej dokuczać?

— Z tego co wiem, to nie. Daj spokój, Craig, przecież zawsze wiedzieliśmy, że to nie będzie łatwe. Możemy ją wspierać, słuchać, co ma do powiedzenia, i uczyć, jak zamieniać swoje braki w silne strony.

Craig milczał przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

— Sądzę, że Bóg nie robi nic bez powodu, nawet obdarzając kogoś zespołem Williamsa.

— Pewnie tak, choć czasem bardzo chciałabym wiedzieć, co to mogą być za powody, do cholery.

— Ruth... — mruknął z dezaprobatą Craig.

Jego ojciec był pastorem metodystów, więc w domu nikomu nie wolno było przeklinać.

Ruth wzięła pilota, włączyła głos i znowu wróciła do swojej krzyżówki, do hasła: „Martwe ciało w pojeździe”.

— Czemu on zawsze musi się tak wygłupiać? — zapytał po minucie albo dwóch Craig.

— Kto?

— David Caruso. Gość, który gra Horatia. Dlaczego przybiera taką dziwną pozę: z okularami podniesionymi na czoło i dłońmi opartymi na biodrach? Co byś powie działa, gdybym to ja przybierał takie pozy?

— Żyjemy w wolnym kraju, ale pewnie udławiłabym się ze śmiechu.



Zanim Craig zdążył jej odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

— Pani Cutter? — zapytał jakiś mężczyzna. — Przy aparacie Kelly Farjeon z policji drogowej. Przykro mi, ale mieliśmy dziesięć-pięćdziesiąt na Davis Road, przy skrzyżowaniu z Jewel Road, z udziałem pani syna Jeffreya.

— O Boże! Co się stało? Jest ranny?

— Na szczęście nie, proszę pani. Tylko przemoczony. Chyba pękło mu coś w kolumnie kierowniczej, bo zjechał z autostrady i wpadł do jeziora.

— Gdzie teraz jest?

— Właśnie przyjechała pomoc drogowa, będą wyciągać samochód z wody. Jak tylko skończą, przywieziemy pani syna do domu.

— Dziękuję.

— Ucierpiała tylko jego duma, proszę pani.

♦ ♦ ♦

Przywieziono Jeffa jakieś dwadzieścia pięć minut później. Był owinięty grubym brązowym kocem i miał u nasady nosa potężnego purpurowego siniaka, ale poza tym chyba nic mu się nie stało. Oddał koc policjantowi drogówki, który go przywiózł, po czym poczłapał do swojego pokoju.

— Co z samochodem? — spytał Craig.

— Obawiam się, że odholowano go na parking przy Carter Street — odparł funkcjonariusz. Miał na myśli

trzydziestoakrowe złomowisko we wschodnim Kokomo, tuż przy torach. — Powinni państwo tam jutro wpaść i porozmawiać z brygadzystą. Jeśli będziecie mieli trochę szczęścia, da wam dwudziestaka.

— Dzięki za wszystko — powiedziała Ruth. — Najważniejsze, że Jeffowi nic się nie stało.

— Też tak uważam, proszę pani. Ale kilka kaczek na jeziorze mocno się przestraszyło.

Kiedy policjant sobie poszedł, oboje weszli na górę i Craig zapukał do drzwi pokoju syna.

— Jeff? Wszystko w porządku?

Ponieważ chłopak nie odpowiedział, nacisnął klamkę i razem z Ruth weszli do środka. Jeff leżał na łóżku, ubrany w ciemnoczerwoną bluzę z kapturem i dresowe spodnie, ze słuchawkami od i-Poda w uszach, i pisał SMS-a.

Zaczekali, aż wysła wiadomość, po czym Craig pokazał mu gestem, że mógłby wyjąć z uszu słuchawki.

— Nic mi nie jest, jasne? — warknął Jeff.

— Miło to słyszeć — odparł Craig. — Nie miałbyś nic przeciwko temu, aby nam powiedzieć, co dokładnie się stało?

— Naprawdę was to interesuje? Jechaliśmy Davis Road na południe i właśnie zamierzałem skręcić w prawo, w Jewel, kiedy rozległo się głośne BANG! Wypadliśmy z drogi, przejechaliśmy przez krzaki i wpadliśmy do tego pieprzonego jeziora, które nie wiadomo kto w tym miejscu zgubił.

— Pohamuj język! — skarciła go Ruth.

— Chciałabyś usłyszeć lepszy? Szkoda, że nie słyszałaś, co razem z Lenniem krzyczeliśmy, kiedy zaczęliśmy tonąć. Gdyby tam było głębiej niż metr, utopilibyśmy się.

— Jezioro miało tylko metr głębokości?

— Mimo to było w nim mnóstwo wody.

Ruth popatrzyła na męża. Z trudem powstrzymywała śmiech, ale Craig miał poważną minę. Usiadł w nogach łóżka syna.

— Przykro nam z powodu tego, co ci się przydarzyło, i naprawdę się cieszymy, że nic się wam nie stało — powiedział. — Powinniśmy ci sprawić lepszy samochód.

— Daj spokój, tato — odparł Jeff. — Wiem, że nie macie kasy. Jak sam mówiłeś, po prostu będę musiał poszukać sobie pracy.

— Uwierz mi, Jeff, gdybyśmy mieli trochę pieniędzy...

— Wiem, tato. Kupilibyście mi nowego mustanga bul-lita, czarnego, z przyciemnianymi szybami i wydechem Magnaflow, prawda? Niestety, ich nie macie i nie możecie tego zrobić, więc zapomnijmy o tym.

Craig posiedział jeszcze przez chwilę na łóżku, ale Jeff znowu włożył słuchawki w uszy i zamknął oczy. Ruth wyraźnie widziała, że mąż czuje się bardzo zraniony. Dotknęła siwego włosa, który rósł mu na karku.

— Chodź — powiedziała w końcu. — Wracajmy na dół. Chyba nie chcesz stracić *Prawa i porządku!*

♦ ♦ ♦

Tuż przed świtem Craig przysunął się do Ruth, wsunął dłoń pod jej koszulę nocną i zaczął przesuwac w górę uda. Delikatnie pogłaskał jej krocze palcem i włożył go do środka. Ruth natychmiast poczuła, że robi się mokra.

— Craig... — szepnęła, całując go w oczy, usta i uszy.

Zaczął podciągać jej koszulę, a ona mu pomogła, unosząc biodra. Położył się na niej, całując ją w taki sam sposób jak na pierwszej randce.

— Jesteś piękna... — westchnął. — Bardzo cię Kocham...

Kiedy spróbował w nią wejść, okazało się, że nie jest wystarczająco twardy. Sięgnęła ręką, ścisnęła mu penisa i zaczęła poruszać dłonią w górę i w dół, coraz mocniej i mocniej, ale nie chciał stwardnieć.

Po kilku chwilach Craig sturlał się z niej i ciężko opadł na poduszkę.

— Przepraszam — wymamrotał. — Chyba jednak nie jestem bogiem miłości.

Przytuliła się do niego.

— Musisz przestać się zadreć, to wszystko. To z powodu stresu. Możemy potem spróbować jeszcze raz.

— Do niczego się nie nadaję, prawda? Nie umiem utrzymać firmy, nie stać mnie na spłacenie hipoteki i nawet nie potrafię kochać się z własną żoną.

Pogłaskała go po klatce piersiowej.

— Jesteś najlepszym mężczyzną, jakiego mogłaby pragnąć kobieta. Najlepszym mężem świata. Najlepszym ojcem. A także najlepszym kochankiem.

— Naprawdę? Nie zarabiam, dałem ci córkę z zespołem Williamsa i syna, który uważa się za współczesnego Fonzie. I nawet mi nie staje.

— Ciii... zaczynasz działać na mnie przygnębiająco. Choć był bliski płaczu, roześmiał się.

— Masz rację. To naprawdę dość przygnębiające. Na szczęście jestem optymistą!

Rozdział 9

O ósmej rano było jeszcze tak ciemno, jakby zbliżał się koniec świata i słońce nigdy nie miało się pokazać. Z południowego zachodu dął potężny wicher, a ulicę zalewał deszcz, który studzienki ledwie wchłaniały. Gałęzie lipy na podjeździe waliły o siebie, jakby drzewo oszalało i próbowało wyrwać z ziemi korzenie.

Ruth załatwiła sobie dwie godziny wolnego, aby razem z Amelią odwiedzić doktora Feldsteina. Przed wyjściem z domu zadzwoniła do Jacka, żeby się dowiedzieć, jak posuwają się badania próbek pobranych z wanny Tildy Frieburg.

— Jest nieźle — oświadczył. — Zacząłem analizować osad z dna wanny i za kilka godzin powinienem znać jego skład. Ale próbki z zastonek prysznicowych wprowadzają w błąd. Jeśli ogień był na tyle gwałtowny, aby wygotować wodę i skremować ciało tej nieszczęśliwej młodej damy, powinien całkowicie je stopić.

— Też tak myślę. Masz na ten temat jakąś teorię?

— Mogę tylko podejrzewać, że ogień był bardzo skoncentrowany i poza wannę promieniowało niewiele ciepła. Nie mam zielonego pojęcia, jak coś takiego miałyby wyglądać... chyba że rzeczywiście doszło do reakcji egzotermicznej wyzwolonej przez sól albo magnez. Badań osadu z dna wanny prawdopodobnie to wyjaśnią.

— No dobrze, Jack. Będę w pracy koło południa.

— Nie musisz się śpieszyć. Amelia jest najważniejsza. Aha, i jeszcze jedno: dzwonił do mnie detektyw Magruder. Potwierdzono tożsamość ofiary. To rzeczywiście Tilda Frieburg. Gliniarze są teraz u niej w pracy i przepytują kolegów i koleżanki.

— Dzięki, Jack. Do zobaczenia później. Zostało mi trochę kruchego ciasta z truskawkami z wczorajszej kolacji... przynieść ci kawałek?

— Kiedy umrzesz, szefowo, na pewno zrobią z ciebie anioła.

Ruth pomogła Amelii zapiąć jaskrawożółtą przeciwdeszczową kurtkę, a sama założyła czarny płaszcz i wciągnęła na głowę kaptur. Trzymając się za ręce, pobiegły przez smagane deszczem podwórze. Gdy wsiadały do samochodu, rozległa się ogłuszająca kanonada grzmotów. Amelia zaczęła krzyczeć i wpiła się w ramię matki. Nawet Tyson zaczął szczekać.

— Zbliżają się... — wysapała Amelia. — Czuję to! Zbliżają się!

— Spokojnie, Ammy. To tylko burza. Zaraz przejdzie.

— Wydarzy się coś złego. Coś bardzo złego.
— Skarbie, nie daj się opanować przez histerię. Pamiętaj, że słyszysz wszystko znacznie głośniejsze niż inni ludzie.
— To nie tylko hałas. Czuję ich...
— Daj spokój, Ammy. Jedźmy do doktora Feldsteina. Na pewno coś na to poradzi.

Dziewczynka wpatrywała się w Ruth wielkimi zielonymi oczami.

— Nie wiedzieli, że mogą wrócić — wyszeptwała. — Zawsze myśleli, że będą musieli zostać na dole, teraz jednak się dowiedzieli, że wcale nie muszą.

Ruth pochyliła się i objęła córkę, która tak bardzo drżała, jakby zbyt długo przebywała w zimnej wodzie. Nie miała pojęcia, jak ją uspokoić. Przekonywanie Amelii, że „oni” to jedynie złudzenie, najwyraźniej nie miało sensu. Mogła jedynie spróbować ją przekonać, że nic im nie grozi.

Pocałowała Amelię w czoło.

— Już dobrze? Możemy jechać?

Dziewczynka kiwnęła głową, ale kiedy Ruth wyjeżdżała na ulicę, znowu huknęła seria grzmotów i Amelia skuliła się na fotelu, zakrywając dłońmi uszy.

W tym samym czasie na North Jay Street, naprzeciwko parku Bon Air, Neville Ferris pchał siedzącą na wózku inwalidzkim panią Idę Mae Lutz ścieżką prowadzącą z jej domu do białego autobusu Spirit of Kokomo, który czekał przy krawężniku.

Pani Lutz mogła sama chodzić, jednak poranek był tak mokry i wietrzny, że Neville przewoził wszystkich swoich pasażerów na wózku. Miał już ich siedmioro. Troje musiał zawieźć do szpitala Świętego Józefa, dwoje do kliniki okulistycznej Fewell, jedną osobę do kościoła Zjednoczonych Metodystów, a jedną na obiad do ośrodka dla emerytów.

— Straszny dzień, prawda? — powiedziała pani Lutz.

Należała do najbardziej dziarskich podopiecznych Neville'a i mimo iż miała siedemdziesiąt siedem lat, zachowała ślady dawnej urody. Kiedyś była aktorką telewizyjną (choć nie żadną tam gwiazdą) i zawsze ubierała się bardzo dystyngowanie, ale tego poranka miała na sobie jaskrawoczerwony plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy i taki sam kapelusz.

— Nie zapowiadano tej burzy — odparł Neville. — Chyba zaskoczyła także meteorologów.

Zatrzymał wózek przed autobusem i otworzył drzwi, po czym pomógł pani Lutz wejść po schodkach i zająć jej stałe miejsce.

— Dzień dobry wszystkim! — zawołała starsza pani, zdjęła kapelusz i potrząsnęła swoimi bujnymi siwymi włosami. — Paskudny dzień, czyż nie?

— Cześć, Ido! — odpowiedzieli zgodnym chórem pozostali pasażerowie z wyjątkiem pana Thorsona, który z powodu raka krtani mógł wydawać z siebie jedynie chrapliwy skrzek.

Neville złożył wózek, wstawił go na przewidziane regulaminem miejsce i ruszył do swojego fotela.

— Trzymać się mocno! Pierwszy przystanek: klinika okulistyczna Fe-well!

Ruszając spod krawężnika, nie zauważył nadjeżdżającego z tyłu buicka riviery, który go wyprzedził i zablokował, zatrzymując się skosem tuż przed maską. Neville gwałtownie zahamował. Pani Berty Petersen, lat osiemdziesiąt cztery, spadła na podłogę, a pan Carradine uderzył zębami w oparcie przedniego fotela.

— Co to ma... — zaczął Neville, ale urwał i odwrócił się do pasażerów. — Nikomu nic się nie stało? Ktoś jest ranny? Pani Petersen, czy wszystko w porządku?

Wstał, przeszedł na tył autobusu i pomógł pani Petersen wrócić na fotel. Na podłodze znalazł jej okulary i ostrożnie założył je staruszce na nos.

— Nic mi nie jest — uspokoiła go. — Tylko uderzyłam się w kolano.

— Pan Carradine? Krwawi pan z ust.

— Nie martw się, Neville. Po prostu przygryzłem sobie wargę. Jeśli potrzebna mi jakaś pomoc, z pewnością udzielą mi jej u Świętego Józefa.

Neville wrócił na przód autobusu, otworzył drzwi i wyszedł na ulicę, osłaniając dłoniąwarz przed zacinającym deszczem. Buick — z włączonym silnikiem — stał tam, gdzie się zatrzymał. Był to stary model, z 1969, a może 1970 roku — z płetwami na tylnych błotnikach. Niemal pionowa tylna szyba sprawiała, że nie można było dostrzec, kto siedzi w środku.

Neville podszedł do drzwi kierowcy i zapukał w boczną szybę.

— Co pan wyprawia? Mam w autobusie seniorów, dwoje z nich się potłukło! Zabieraj z drogi tę kupę złomu, zanim wezwę policję!

Odpowiedziała mu cisza. Strumyki deszczu spływały po szybach buicka i nawet kiedy Neville przetarł boczne okno dłonią, nie widział wyraźnie kierowcy.

— Słyszysz pan, co mówię? Zjeżdżaj z drogi! — po wtórzył. — Jeśli nie, natychmiast wzywam gliny!

Rozległa się kolejna kanonada grzmotów i drzewa w parku Bon Air wygięły się pod naporem wiatru. Zanim łoskot zamilkł, kierowca buicka odwrócił głowę i wbił wzrok w Neville'a. Jego twarz była śnieżnobiała i pokazywał zęby w szerokim uśmiechu.

— Ja piernicę... —jęknął Neville i cofnął się szybko.

Drzwi buicka otworzyły się i kierowca wysiadł. Był wysoki, miał na sobie długi czarny płaszcz przeciwdeszczowy i czarne skórzane rękawiczki, a kiedy się wyprostował, Neville zobaczył, że ma na twarzy maskę. Krople deszczu uderzały w nią i spływały po policzkach, co wyglądało, jakby mężczyzna jednocześnie śmiał się i płakał.

— Nie wiem, czego chcesz, człowieku, ale najlepiej będzie, jeśli sobie pojedziesz — oświadczył Neville. — Mam w autobusie seniorów i ostrzegam, że jeżeli cokolwiek im się stanie, będziesz miał poważne problemy.

Mężczyzna w uśmiechniętej masce podszedł bliżej i Neville znowu się cofnął.

— Uspokój się, bambusie... —powiedział Uśmiechnięty stłumionym, tekturowym głosem. — Nie chcemy sprawiać



kłopotów. Zamierzamy tylko przeprowadzić małą ce-
remonię,

s — Ceremonię? O czym ty gadasz? I jacy „my”?

— Musimy przeprowadzić egzorcyzm.

— Słucham?

— Egzorcyzm. Na pewno wiesz, co to jest, bambusie.

i Na pewno widziałeś film. Z Lindą Blair, której głowa
kręci się wokół szyi jak szalona, a ona dźga się kru-
cyfiksem w cipę.

— Zwariowaliście — stwierdził Neville. — Radzę wam
stąd odjechać, zanim zrobicie coś, czego będziecie żałować.

— Nie czas już na żale — powiedział Uśmiechnięty. —

Czas na wszelkie żale dawno minął, poważne czy nie.

Więc może wróć do swojego autobusu i poinformuj

swoje

geriatryczne owieczki, że zaraz zamierzamy się u nich
zjawić i bez względu na to, o co poprosimy, najlepiej
będzie, jeśli zechcą z nami współpracować, bo inaczej źle
się to dla nich skończy.

— Nie mogę tego zrobić — odparł Neville. — Od-
powiadam za bezpieczeństwo tych ludzi i jeśli sądzisz, że
pozwolę cię się do nich zbliżyć, to jesteś bardziej szalony,
niż wyglądasz.

— To bardzo szlachetne — mruknął Uśmiechnięty, po-
czym odwrócił się do swoich towarzyszy. — Nie sądzicie,
że to bardzo szlachetne?

Obaj mężczyźni — również w białych maskach, jeden
w wyszczerzonej, a drugi w obojętnej — pokiwali
głowami.

— Bardzo, bardzo szlachetne — odparł Wyszczierzony i zachichotał.

Uśmiechnięty ponownie podszedł do Neville'a, który zaczął się cofać — aż w końcu dotknął plecami boku autobusu.

Głos zamaskowanego mężczyzny ledwie przebijał się przez łoskot deszczu.

— Masz tylko jedną szansę, aby przeżyć, bambusie: musisz robić, co ci każemy, i nie zadawać pytań. Mówię jasno?

Neville spróbował uderzyć go hakiem od dołu — ciosem, który pozwolił mu zdobyć tytuł Złotych Rękawic Juniorów Indiany. Ale wtedy miał siedemnaście lat, a teraz pięćdziesiąt cztery, więc był znacznie wolniejszy i przeciwnik sparował cios, zanim jego pięść zdążyła pokonać pół drogi.

Uśmiechnięty z całej siły uderzył Neville'a w brzuch, tuż pod mostkiem. Jego plecy uderzyły o karoserię autobusu i osunął się na jedno kolano.

— Mam powtórzyć? — spytał zamaskowany mężczyzna, jednak nagle dostał ataku kaszlu i potrzebował kilku sekund, aby móc znowu mówić. Neville również z trudem łąpał powietrze. W końcu Uśmiechnięty odzyskał oddech i oświadczył: — Jeśli nie zrobisz wszystkiego, co ci każemy, bambusie, to naprawdę będziesz tego bardzo żałować.

Podszedł do nich Wyszczierzony i pchnął Neville'a wnętrzem dłoni w bark.

— Nie chciałbyś chyba krzyczeć falsetem, prawda? — zapytał.

— No, wstawaj — powiedział Uśmiechnięty. — Musimy zacząć nasz egzorcyzm.

Ulicą jechała w ich stronę biała furgonetka z blaszaną budą, na której boku dużymi czerwonymi literami wymalowano napis: ELI'S ELECTRICS. Kiedy się do nich zbliżyła, kierowca zwolnił i opuścił boczną szybę. Sprawiał wrażenie, jakby zamierzał zapytać, czy nie potrzebują pomocy, ale gdy Wyszczierzony i Obojętna Mina odwrócili się i wbili w niego wzrok, najwyraźniej zmienił zdanie, bo szybko odjechał.

„Wezwij gliny!” — chciał zawołać za nim Neville, jednak z jego gardła wydobył się tylko cichy, niewyraźny skrzek.

Wyszczierzony i Obojętna Mina stanęli po obu jego stronach i podnieśli go pod pachy, a potem zmusili do wejścia do autobusu. Pasażerowie przyglądali się temu z niepokojem.

— O co chodzi, Neville? — spytała pani Lutz. — Co to za ludzie? Co się dzieje? Wszystko w porządku?

— Czy to napad? — spytał pan Kaminsky.

— Nie, proszę pana — odparł Uśmiechnięty. — To nie napad.

— Nie? Jeśli nie, to dlaczego macie na twarzach maski?

— Neville, co się dzieje? — spytała pani Elwood, przyglądając się intruzom zza okularów. Sięgnęła do torebki

i wyjęła telefon. — Mam zadzwonić pod dziewięćset jedenaście?

— Nikt do nikogo nie będzie dzwonił — oświadczył Uśmiechnięty.

Skinął głową na Wyszczerezonego, którzy natychmiast przeszedł w głąb autobusu i wyrwał aparat z dłoni pani Elwood.

— Co pan wyprawia?! — krzyknęła z oburzeniem.

Wyszczerezony uderzył ją otwartą dłonią w skroń.

— Zostaw ją w spokoju, ty zasrany tchórze! — zapiszczał pan Kaminsky.

Chciał wstać, jednak Wyszczerezony podszedł do niego szybko i również go uderzył. Starszy pan opadł na fotel i tak mocno walnął głową w szybę, że z okularów wypadło mu jedno szkło.

— Dawać komórki! Wszyscy! — rozkazał Wyszczerezony.

— Mowy nie ma! — zawołała pani Tiplady.

Na prawym oku miała klapkę i wąsik nad górną wargą. Przed laty była dyrektorką prywatnej szkoły dla dziewcząt i nadal budziła respekt.

Kiedy Wyszczerezony trzasnął ją pięścią w twarz, rozległ się trzask pękającej kości. Z nosa starszej pani trysnęła krew, popłynęła jej po policzkach i spłynęła na płaszczy. Pani Tiplady zasłoniła twarz dłońmi i zaczęła jęczeć z bólu, a Wyszczerezony otworzył jej torebkę i wysypał zawartość na siedzenie obok.

— Dawać komórki, bando wysuszonych dziadów! — warknął. — Natychmiast!

Pozostali pasażerowie zaczęli grzebać w kieszeniach i torebkach w poszukiwaniu telefonów. Wyszczierzony brał je od nich po kolei, rzucał na podłogę i miażdżył obcasem.

— Świnie! — wrzasnęła pani Elwood. — Wstrętne świnie!

Wyszczierzony wrócił w głąb autobusu i ponownie uderzył ją w twarz. Dwa razy. Pani Elwood zaczęła płakać.

— Ktoś ma jeszcze coś do powiedzenia? — spytał Wyszczierzony. — Jeśli tak, proszę bardzo, ale znacznie skróci to wasze życie. Chyba mówię jasno, prawda? A ty, bambusie, siadaj i zapalaj silnik. Jedziemy do parku.

Neville dygotał ze złości. Miał dbać o tych ludzi, chronić ich — ale nie był w stanie.

— Nic z tego — oświadczył, próbując zachować resztki godności. — Mowy nie ma.

— Nóż — powiedział Uśmiechnięty.

Obojętna Mina sięgnął do kieszeni i podał mu duży składany nóż. Uśmiechnięty rozłożył go. Zakaszłał i uniósł nóż na wysokość twarzy Neville'a.

— Jeśli jeszcze raz nam się sprzeciwisz, bambusie, wydlubię ci oko i nabiję na ten nóż... będziesz mógł je sobie wtedy oglądać drugim, zdrowym. Potem wydlubię ci drugie oko. A jeszcze później zacznę odcinać plasterki z twojego oklapłego czarnego fiuta i każę ci je zjadać. Jeśli mi nie wierzysz, oto próbka...

Obrócił nóż w dłoni, uniósł go i wbił ostrze w czoło kierowcy. Kiedy Neville krzyknął z bólu i zasłonił czoło ręką, Uśmiechnięty dźgnął go w dłoń.

— Wierzysz teraz, że nie żartuję? — spytał zachrypniętym, astmatycznym głosem.

— Neville! Zrób, co ten człowiek ci każe! — krzyknął pan Kaminsky. — Proszę! Nie chcemy, żeby cię okaleczyli!

Uśmiechnięty odwrócił się do pasażerów.

— Chyba kazałem się wszystkim zamknąć, prawda? Ale to dobra rada, dziadku. Nie chcielibyśmy przecież oglądać naszego przyjaciela bez oczu i kutasa.

Wyszczierzony wysiadł z autobusu i poszedł do buicka. Neville siedział jak sparaliżowany na swoim fotelu, nie zwracając uwagi na cieknące mu po twarzy strużki krwi. Po chwili uruchomił silnik i zamknął drzwi. Deszcz jeszcze bardziej się nasilił, więc musiał włączyć wycieraczki.

Wyszczierzony również uruchomił silnik, przejechał buickiem przez krawężnik, przeciął chodnik i wtoczył się na teren parku Bon Air.

Neville rozejrzał się wokół, mając nadzieję, że jakiś przechodzień zauważy, iż dzieje się coś złego, ale w pobliżu nie było nikogo.

— Na co czekasz, bambusie? — zapytał Uśmiechnięty. — Jedź za nim i trzymaj się bardzo blisko.

Neville przejechał przez chodnik. Pasażerowie kiwali się na boki, ale nikt nie powiedział ani słowa. Pani Tiplady zakrywała nos zakrwawioną chusteczką, pani Elwood pochlipywała cicho, a pan Kaminsky próbował umocować szkło w oprawce okularów.

Buick powoli jechał między drzewami. Neville podążał za nim, nie pozwalając mu się oddalić na odległość

większą niż trzy metry. Deszcz dudnił o dach autobusu, a kiedy przejeżdżali pod gałęziami, spadały z nich całe kaskady wody.

Po kilku minutach, kiedy znaleźli się w głębi parku i nie było ich już widać z ulicy, buick zahamował. Neville zrobił to samo. Przez spływające po przedniej szybie strugi deszczu patrzył, jak Wyszczierzony wysiada, podchodzi do tyłu samochodu, otwiera bagażnik i wyjmuje z niego wielką szarą torbę na brudne ubrania. Po chwili podszedł z nią do autobusu.

— Otwórz drzwi, bambusie — powiedział Uśmiechnięty.

Wyszczierzony wszedł do środka, rozwiązał supeł sznurka, którym była owinięta torba, i wysypał jej zawartość na podłogę — były to różne części szpitalnych ubiorów w lawendowe wzory. Wszystkie rzeczy były poplamione zaschniętą krwią i odchodami, śmierdziały potem i kwaśnym brudem.

Uśmiechnięty pochylił się, podniósł jeden z elementów garderoby i pokazał go wszystkim pasażerom autobusu.

— Za chwilę zaczynamy ceremonię, a to wasze ceremonialne szaty — oświadczył.

— Chcecie, żebyśmy to pozakładali? — spytał pan Carradine. — To obrzydliwe!

— Dziadku, czy pozwoliłem ci się odzywać? — warknął Uśmiechnięty. — Czy pozwoliłem kwestionować nasze decyzje? Nie, więc się zamknij i rób, co każę. Nie zasługujecie na żadne wyjaśnienia, ale ich wam udzielię.

Pasażerowie patrzyli na niego rozszerzonymi strachem, pełnymi łez oczami. Nawet oczy pana Kaminsky'ego wypełniły się łzami — a nie płakał od pięciu lat, od chwili, kiedy zmarła mu żona.

— No więc zrobicie tak: będziecie udawać chorych z demencją starczą... przynajmniej ci, którzy jeszcze mają resztki mózgu. Ubierzecie się odpowiednio i zagracie. Kto odmówi, gorzko pożałuje.

— Nie może pan tego od nich wymagać! — krzyknął Neville. — Ci ludzie są całkowicie bezbronni!

— O to właśnie chodzi, bambusie — odparł Uśmiech nięty, kładąc mu dłoń na ramieniu. — Dokładnie o to chodzi.

Rozdział 10

Amelia siedziała na kanapie stojącej przy oknie gabinetu doktora Feldsteina i wyglądała na zalewaną deszczem ulicę. Grzmoty nieco się oddaliły, pomrukiwały teraz gdzieś w okolicy horyzontu, ale ich odgłos w dalszym ciągu zdawał się ją rozdrażniać. Nerwowo kręciła różową wstążką we włosach, a po każdym kolejnym uderzeniu grzmotu zaczynała bardzo szybko oddychać, jakby ogarniał ją atak paniki.

Doktor Feldstein pochylił się nad biurkiem i spojrzął na swoje notatki.

— Nie sądzę, aby te napady niepokoju były powodowane przez leki — powiedział do Ruth. — Benzodiazepina bardzo dobrze na nią działa i nie zaburza trawienia, a dicykloweryna zapobiega kolce. Czy w dalszym ciągu bierze telcagepant na migrenę?

Kiwnęła głową.

— Jest lepszy od zomingu, bo nie wywołuje mdłości.

Jeśli jednak to nie leki wywołały u niej te napady lęku, nie mam pojęcia, co to mogłoby być.

Doktor Feldstein wstał. Był wysoki, miał mniej więcej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, sterczące na wszystkie strony czarne włosy i orli nos, na którym tkwiły okulary w grubych rogowych oprawkach. Zawsze interesował się stanem zdrowia Amelii i tak uważnie śledził wszystkie nowinki dotyczące zespołu Williamsa, że niemal stał się ekspertem w tej dziedzinie.

Położył wielką owłosioną dłoń na ramieniu dziewczynki i popatrzył na nią z uśmiechem.

— Może to dlatego, że dorastasz, Amelio. Mnóstwo młodych kobiet miewa ataki lęku, kiedy ich hormony zaczynają szaleć, a ty jesteś znacznie bardziej wrażliwa na zmiany zachodzące w dojrzewającym organizmie. Może powinnyście porozmawiać z doktor Beech? Może ona coś na to poradzi albo przynajmniej powie, jaka jest przyczyna?

— Ale przecież doktor Beech jest psychiatrą — powie działa Ruth. — Naprawdę pan sądzi, że moja córka potrzebuje psychiatry?

— Nie wiem. Wyniki badań są bardzo dobre, więc poza nierównowagą hormonalną nie widzę żadnej fizycznej przyczyny tych lęków. Rozmowa z doktor Beech na pewno nie zaszkodzi Amelii, a może pomóc.

Znowu huknęły grzmoty — na północnym wschodzie, gdzieś za lotniskiem. Dziewczynka popatrzyła na lekarza rozszerzonymi ze strachu oczami, a jej oddech znowu wyraźnie przyspieszył.

L

— Nie bój się, młoda damo. Wkrótce poznamy przy czynę twojego stanu i będziesz się z tego wszystkiego śmiać — oświadczył doktor Feldstein, po czym podszedł do biurka i wcisnął przycisk interkomu. — Zeldo, jesteś w tej chwili wolna? To doskonale. Chciałbym, żebyś kogoś poznała.

Po kilku minutach drzwi gabinetu się otworzyły i do środka weszła doktor Beech. Miała około trzydziestu pięciu lat, mnóstwo loków na głowie i trójkątną twarz. Była ubrana w obcisłą czarną sukienkę i szarą jedwabną bluzkę rozpiętą przynajmniej o dwa guziki niżej, niż odważyłaby się to zrobić Ruth, ale w odróżnieniu od niej miała bardzo małe piersi i nawet nie uważała za konieczne zakładać biustonosza.

— Zeldo, to jest Amelia — powiedział doktor Feldstein. — Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o bystrej młodej damie z zespołem Williama? To właśnie ona i jej mama Ruth.

— Hej, miło mi was poznać! Pracuje pani w straży pożarnej, prawda? Przedwczoraj czytałam o pani w „Tribune”! To musi być fascynująca praca.

— Zazwyczaj bardzo nudna — odparła Ruth. — Najczęściej mamy do czynienia z próbami wyłudzenia ubezpieczenia, zwłaszcza ostatnio. Zbankrutowani właściciele restauracji zostawiają zapalony gaz, pośrednicy handlu nieruchomościami wrzucają niedopałki do koszy na śmieci i tak dalej.

— W ubiegłym tygodniu w mojej dzielnicy spaliła się

pralnia — powiedziała doktor Beech. — W Sparkleen, na Home Avenue. Straciłam wtedy dwie sukienki i mój ulubiony biały sweter. Pani to badała?

— Nie powinnam tego mówić, ale pożar w Sparkleen był podpaleniem. Właściciel rozlał trójchloroetylen, po nieważ jednak opary tego środka nigdy nie zapalają się samoistnie, od razu było wiadomo, że to celowe działanie.

— W takim razie powinnam iść z tym do sądu — stwierdziła doktor Beech. — Mogłaby pani być moim świadkiem i...

— Amelia odczuwa jakiś dziwny, nieuzasadniony niepokój — przerwał jej doktor Feldstein. — Prawda, moja droga?

Dziewczynka pokiwała głową. Nadal siedziała na kanapie pod oknem, ściskając w dłoniach wyszywaną poduszkę. Doktor Beech usiadła obok niej.

— Czym się tak niepokoisz, kochanie? — zapytała.

Amelia nie od razu odpowiedziała.

— Ludzie przechodzą — wyszeptła w końcu.

— Rozumiem... Jacy ludzie?

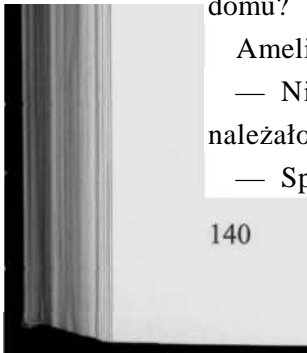
— Z dołu. Do tej pory nie wiedzieli, że mogą wrócić, ale teraz wiedzą.

— Mówiąc „z dołu”, masz na myśli parter waszego domu?

Amelia znowu przez chwilę się zastanawiała.

— Nie — odparła. — Właściwie zamiast „z dołu” należałoby mówić „spod spodu”.

— Spod spodu czego? Tego pokoju? Spod podłogi?



— Spod wszystkiego. Powinni tam pozostać, ale na uczyli się stamtąd wychodzić.

— Wiesz, kto to jest? Widziałaś ich?

— Jednego. Chłopaka. Wczoraj i przedwczoraj stał pod naszym domem. Ma na sobie czarny T-shirt i czerwone dżinsy. Nazywam go Wstrętnym Chłopakiem, bo jest paskudny.

— Ja też go widziałam — wtrąciła Ruth. — We wtorek na South McCann Avenue, gdy badałam sprawę pożaru, który tam wybuchł, a potem jeszcze dwa razy... wtedy, kiedy widziała go Amelia. Nic nie robił, tylko stał i gapił się na nasz dom.

— Więc ten Wstrętny Chłopak to żywa istota?

— Tak, ale za każdym razem, kiedy chciałam go zapytać, o co mu chodzi, znikał bez śladu. Na South McCann zrobiłam mu nawet zdjęcie, jednak aparat go nie zarejestrował.

Doktor Beech ponownie odwróciła się do Amelii.

— Czy ten chłopak to jedyna osoba spośród tych wszystkich ludzi „spod spodu”, którą zobaczyłaś? Innych nie widziałaś?

Amelia pokręciła głową.

— No dobrze... a gdybyś kogoś z nich ujrzała, skąd wiedziałabyś, że to właśnie jeden z tych ludzi?

— Ponieważ wiem, że tu są. Ponieważ ich czuję i słyszę.

— Jakie wywołują w tobie odczucia? Mogłabyś je opisać?

Amelia na moment zamknęła oczy i powoli potarła przedramiona.

— Niektórzy są szorstcy.

— Co dokładnie masz na myśli? Są gburowaci i niedelikatni?

— Właściwie nie, chociaż popychają się nawzajem. Próbują przejść i przepychają się tak samo jak ludzie wchodzący na stadion, którzy chcą zająć lepsze miejsca. Mają po prostu szorstką skórę. Suchą i łuszczącą się.

— Czy wiesz dlaczego? Cierpiana jakąś chorobę skóry?

— Nie mam pojęcia.

Doktor Beech przez chwilę patrzyła na Amelię, marszcząc czoło i zastanawiając się nad czymś.

— Powiedziałaś, że tylko niektórzy są szorstcy. A jacy są inni? I ilu ich jest?

Amelia wzruszyła ramionami.

— Mnóstwo. Są bardziej jak pył, a nie ludzie. I szepecą. SZU-SZU-SZU. Jakby wszyscy jednocześnie szeptali. Przypomina to przesypywany przez wiatr piasek.

— Przesypywany przez wiatr piasek... — powtórzyła doktor Beech w zamyśleniu. — Od kiedy masz te odczucia? — zapytała po chwili.

— Od niedawna. Od wtorku. Kiedy zadzwonił wujek Jack i mama musiała jechać do pożaru przy South McCann Street, poczułam, że nie powinna tego robić. Naprawdę mocno poczułam, że nie powinna tam jechać.

— Dlaczego?

— Ponieważ wtedy ci wszyscy ludzie dowiedzieliby się, kim jest, a tego nie chciałam.

— Uważasz, że mogliby stanowić dla niej jakieś zagrożenie?

— Nie wiem. Tak. Przerażają mnie. Nie mam pojęcia, co zamierzają, ale wiem na pewno, że to coś strasznego.

— A potem ile razy miałaś takie odczucia?

— Dwa albo trzy razy dziennie. Może nawet częściej. Ale przez cały czas wiem, że nadchodzą. Cały czas.

Doktor Beech ujęła jej dłonie i uśmiechnęła się do niej uspokajająco.

— Chyba wiem, jak można ci pomóc — stwierdziła i odwróciła się do Ruth. — Może się pani na to nie zgodzić i gdyby miała pani jakiegokolwiek wątpliwości, proszę o wszystko pytać, ale ubiegłej jesieni spotkałam na szkoleniu w Chicago młodego mężczyznę, który przeżywał coś bardzo podobnego. „Mężczyźni i kobiety przybywają spod spodu”. Użył dokładnie takich samych słów jak Amelia.

— Naprawdę?

Doktor Beech kiwnęła głową.

— Właśnie, jednak nie tylko o to chodzi... Ten mężczyzna również mówił o chłopcu, który obserwował jego dom. Sprawiał wrażenie racjonalnego i prawdopodobnego człowieka, ale z przykrością muszę stwierdzić, że nie potraktowałam go wtedy zbyt poważnie. Podczas tego typu szkoleń spotyka się bardzo wielu dziwnych ludzi, zwłaszcza w kularach. Ludzi, którzy uważają, że rośliny mają świadomość albo że osoby z zespołem Downa mogą komunikować się z kosmitami. Teraz jednak... jeśli pani nie ma nic przeciwko temu, uważam, że należałoby spróbować skontaktować się z tym mężczyzną i sprawdzić,

czy mógłby pomóc Amelii zrozumieć, skąd się biorą napady jej dziwnego lęku.

— Nie wiem — odparła Ruth. — Mówił coś więcej o tym „przybywaniu spod spodu”? Nie chcę, żeby stan Ammy się pogorszył. Czy ten człowiek traktował to jak halucynację, czy też uważał, że to było realne?

Doktor Beech wzruszyła ramionami.

— Prawdę mówiąc, rozmawiałam z nim tylko pięć minut. Jak już mówiłam, z początku przypuszczałam, że to kolejny dziwak, ale twierdził, że napisał o tym książkę. Nie pamiętam tytułu... dziewięć kręgów czegoś tam... Sekundeczkę, mam jego nazwisko i numer telefonu w notesie.

Kiedy poszła do swojego gabinetu, Ruth popatrzyła na doktora Feldsteina.

— Co pan o tym sądzi, doktorze? — zapytała. — Nie chcę, aby ktokolwiek wmawiał Ammy, że ci wszyscy ludzie są realni... jeśli nie są. I tak ma dość problemów.

Doktor Feldstein uniósł dłonie w obronnym geście.

— Ruth, doskonale rozumiem twoje obawy, ale Zelda Beech jest bardzo odpowiedzialnym lekarzem. Nigdy nie zrobiłaby niczego, co naraziłoby któregokolwiek z jej pacjentów na niepotrzebny stres czy zagroziło jego stabilności psychicznej. Zresztą ja sam nie pozwoliłbym, aby zdenerwowała twoją córkę, dobrze o tym wiesz. Jesteś moją szczególną pacjentką, prawda, Amelio?

— Ale jeżeli ten człowiek ma takie same przywidzenia...

— Nie wiemy na pewno, czy to przywidzenia, prawda?

Sama powiedziałaś, że widziałaś przynajmniej jednego z nich... jak Amelia go nazwała? Aha, Wstrętny Chłopak. Może mężczyzna, którego poznała doktor Beech, rzuci nieco światła na to, co tak niepokoi twoją córkę? Nie sądzę, aby spotkanie z nim i porównanie objawów mogło jej zaszkodzić. Poza tym Amelia nie da się tak łatwo ogłupić. Kto sam nie umie kłamać, zawsze wie, kiedy ktoś inny to robi. Wróciła doktor Beech.

— Znalazłam — oświadczyła. — Martin Watchman, sześć-sześć-siedem-cztery West Byron Street, Chicago. Mam też jego numer telefonu.

Ruth podeszła do Amelii i usiadła obok niej.

— Musisz sama zdecydować... Czy chcesz spotkać się z człowiekiem, który tak samo jak ty uważa, że ludzie wychodzą spod spodu?

— Nie musisz tego robić, Amelio — powiedziała doktor Beech. — Sądzę jednak, że jeżeli się spotkacie i porozmawiacie o swoich obawach, uda mi się może spojrzeć na twój stan z nieco innej perspektywy. Nadać mu, że tak powiem, inny wymiar... jak przy tomografii komputerowej.

— Czy Martin Watchman też ma Williama? — spytała Amelia.

— Nie ma.

— Ale nie pomyśli, że jestem dziwna?

— Nie, ponieważ ty wcale nie jesteś dziwna. Jesteś tylko trochę inna.

Amelia popatrzyła na poduszkę, którą ścisnęła w dłoniach. Wszyty był na niej napis: BĄDŹ ZAWSZE SOBĄ. Za oknami znowu załomotały grzmoty, tym razem znacznie bliżej, a deszcz jeszcze bardziej się nasilił.

• • •

W parku Bon Air również lało jak z cebra i nie było w nim żywej duszy. Nikt nie spacerował z psem, żadne dziecko nie bawiło się na huśtawkach, nie było patrolujących okolicę policjantów ani parkowych strażników. Między drzewami stały jedynie stary buick riviera i autobus z emerytami.

Uśmiechnięty szedł przejściem między fotelami i rzucał starszkom brudne szpitalne ubrania.

— Chcecie wiedzieć, skąd są te rzeczy? Ze Świętego Bartłomieja w Barrettstown, gdzie posyła się belkoczących, śliniących się i sikających pod siebie dziadków, aby spędzili tam swoje ostatnie dni... ci ludzie nie wiedzą już, czy jest dzień, czy noc, nie poznają członków swojej rodziny, nie wiedzą nawet, kim sami są.

Przysunął się tak blisko pani Tiplady, że niemal dotknął maską jej twarzy.

— A ty jeszcze wiesz, kim jesteś, babciu? Może tobie też wszystko już się rozmyło?

Pani Tiplady buntowniczo uniosła głowę.

— Pieprz się, frajerze. Doskonale wiem, kim jestem — oświadczyła. — A czy ty możesz to samo powiedzieć

O sobie? Ja przynajmniej nie boję się pokazywać swojej twarzy i nie muszę jej chować za idiotyczną karnawałową maską.

Uśmiechnięty milczał przynajmniej przez kilkanaście sekund i ciężko oddychał, a potem ponownie uderzył panią Tiplady w twarz. Z nosa staruszki znowu zaczęła lecieć krew.

Mężczyzna w uśmiechniętej masce popatrzył na pozostałych pasażerów.

— Ktoś jeszcze chce zaprotestować? Nie mam nic przeciwko temu. Bawi mnie to. — Zaczekał chwilę, ale nikt się nie odezwał. — Te ubranka, które wam właśnie rozdałem, noszą ci, którzy utracili resztki człowieczeństwa. Ci, których mózg opuścił swoją siedzibę, więc zamienili się w zombi. Chyba wiecie, co się dzieje w filmach o zombi? Wszyscy rozrywają się nawzajem na kawałki. Właśnie tak. Rozrywają się na kawałki gołymi rękami.

Chodził przejściem tam i z powrotem, bębnił obciążonymi rękawiczkami palcami w poręcz półki na bagaże i od czasu do czasu pohukiwał: „Jip! Ło!”.

Za każdym razem, kiedy mijał staruszków, odwracali się od niego ze strachem. Pani Carradine zasłoniła nawet twarz szalem i założyła na wierzch okulary, co sprawiło, że wyglądała jak Niewidzialny Człowiek.

Uśmiechnięty uniósł wysoko kciuk i zawirował na pięcie, jakby chodził po linie.

— No dobrze... A teraz się rozbierajcie i zakładajcie

szpitalne szmaty, które wam dałem. Chyba chcecie wyglądać autentycznie, prawda?

— Mamy się rozebrać? — obruszyła się pani Elwood. — Tutaj? W autobusie?

— Właśnie, proszę pani. I to szybko!

— Mowy nie ma! Mam siedemdziesiąt trzy lata i nigdy nie rozbierałam się publicznie! Nigdy!

— Jeśli rzeczywiście tak było, stara nietoperzyco, prawdopodobnie wyświadczyłaś ludziom przysługę — stwierdził Uśmiechnięty i pochylił się nad nią, niemal dotykając nosem jej twarzy. — Dziś jednak zrobisz to, co ci każe: pokażesz gołą dupę. I to szybko!

— Prędzej umrę! — krzyknęła.

— Naprawdę? Proszę bardzo. Twój wybór.

Złapał panią Elwood za głowę i szarpnął ją w bok. Zrobił to tak szybko, że choć wszyscy pasażerowie usłyszeli charakterystyczny trzask pękających kręgów, jedynie pan Kaminsky widział, co się naprawdę stało, ponieważ siedział tuż za ofiarą. Do pozostałych dotarło to dopiero wtedy, gdy pani Elwood przewróciła się na bok i zsunęła z siedzenia na podłogę jak marionetka, której przecięto sznurki. Rozległy się głośne westchnienia i przerażone krzyki.

— Alice! Nie!

— Od was samych zależy, co będzie dalej — oświadczył Uśmiechnięty. — Proszę jedynie o odegranie małego przedstawienia dla przebłagania bogów złego losu. Jeżeli nie zechcecie tego zrobić... no cóż, jak powiedziałem,



wszystko zależy od was samych. Jeśli odmówicie, czeka was to samo co tę starą nietoperzycę. Bogowie złego losu nie traktują zbyt łagodnie tych, którzy nie zamierzają spełnić ich życzeń.

Pierwsza wstała pani Lutz. Rozpięła swój czerwony plastikowy płaszcz i zawołała:

— Ruszajcie się, moi drodzy! Życie jest ważniejsze od skromności, a większość z nas i tak już wszystko widziała, prawda?

Zdjęła płaszcz i rzuciła go na siedzenie obok, po czym skrzyżowała ramiona i ściągnęła przez głowę gruby zielony sweter. Jej natapirowane siwe włosy stanęły dęba, co upodobniło staruszkę do nastroszonej papugi. Powykrzywianymi reumatyzmem palcami rozpięła perłowe guziki bluzki i również ją zdjęła.

Neville wstał ze swojego fotela.

— Pani Lutz, niech pani tego nie robi! — krzyknął. — Niech pani...

Uśmiechnięty uciszył go kilkoma lekkimi dźgnięciami noża.

— Hej, bambusie! Nie chcesz chyba zmuszać tej miłej staruszki do oglądania, jak przeżywasz swoją męskość? — spytał.

— Nie ma sprawy, Neville! — odkrzyknęła pani Lutz. — Czasami lepiej jest dać się kopnąć parę razy w tyłek, niż walczyć.

— Jesteście nienormalni — powiedział Neville, patrząc na swojego prześladowcę. — Wszyscy.

Uśmiechnięty dźgnął nożem powietrze przed jego nosem i kierowca szarpnął całe ciało do tyłu, zasłaniając głowę lewym ramieniem.

— Chyba nie napracowałam się zbytnio przy tobie, bambusie — stwierdził Uśmiechnięty i roześmiał się głośno. — Wygląda na to, że nie masz jaj, więc twój kutas też pewnie nie jest za duży...

Pani Lutz rozpięła suwak czarnej spódnicy i zsunęła ją na podłogę autobusu. Miała teraz na sobie jedynie cienkie satynowe majtki, biustonosz i grube czarne rajstopy. Kiedy zaczęła zdejmować ostatnie części garderoby, w autobusie panowało całkowite milczenie.

Skończyła się rozbierać i popatrzyła buntowniczo na Uśmiechniętego.

— Proszę bardzo — powiedziała.

Choć miała nieco zaokrąglony brzuch, a jej piersi już dawno zrezygnowały z walki z grawitacją, jak na kobietę po siedemdziesiątce miała wyjątkowo dobrą figurę.

— Wie pani co? Gdybym miał osiemdziesiąt lat, chyba mógłbym na panią polecieć — stwierdził Wyszczierzony. A gdybyśmy mieli trochę więcej czasu i znaleźli jakieś miejsce, żeby się położyć, pewnie bym panią wydymał.

Obojętna Mina podał pani Lutz szpitalną koszulę. Jej przód pokrywały żółte i zielone plamy po jedzeniu, a z tyłu widniała wielka brązowa plama krwi — poprzedni właściciel tego stroju musiał dostać silnego krwotoku z odbytu. Pani Lutz wzięła głęboki wdech, wsunęła ręce w rękawy i nieporadnie zaczęła zawiązywać troczki na plecach.

— A teraz pozostali — rozkazał Uśmiechnięty. — Ty też, bambusie! Zobaczmy, co tak naprawdę jest z twoimi jajami.

Pojękując i szurając nogami, staruszkowie wstali i zaczęli się rozbierać. Pani Petersen miała trudności z rozwiązaniem ciasnego różowego gorsetu, którym zawsze zajmowała się jej opiekunka, więc pomogła jej pani Lutz. Uklękła też przed panem Carradinem, żeby pomóc mu zdjąć buty i skarpetki, bo nie mógł się pochylić i dosięgnąć stóp. Kiedy pan Thorson zdjął spodnie, okazało się, że ma pod spodem pieluchę.

— Zdejmij to gówno! — krzyknął Wyszczierzony.

Pan Thorson przycisnął palce do wylotu tkwiącej w szyi rurki tracheotomijnej.

— Nie mogę — wychrypiał. — Nie trzymam moczu.

— Guzik mnie to obchodzi, dziadku. Zdejmuj!

Neville także się rozebrał. Miał łzy w oczach i mocno zaciśnięte usta. Było mu okropnie wstyd. Nie z powodu własnej nagości, ale dlatego, że nie potrafił ochronić przed poniżeniem ludzi, którymi miał się opiekować.

Uśmiechnięty dźgnął go nożem w czubek penisa.

— To nieprawda, co mówią o was, czarnuchach. Moim zdaniem twój mały jest byle jaki. Załóż tę koszulę. Nie chcesz chyba, żeby panie zaczęły się śmiać z twojej fujary.

— Co jeszcze każecie nam zrobić? — zapytał drżącym głosem pan Kaminsky. — Zamordowaliście biedną Alice. Każecie nam ubierać się w te obrzydliwe rzeczy... nie dość nas już upokorzyliście?



— O, nie... — odparł Uśmiechnięty. — To dopiero początek zabawy. Teraz, kiedy już wszyscy wyglądacie jak dziadki z demencją, zaczniecie się również zachowywać jak dziadki z demencją.

Wskazał panią Petersen.

— Uderz ją — rozkazał staruszkowi.

— Słucham?

— Chciałeś wiedzieć, co masz robić. Właśnie to. Uderz ją.

— Nie zrobię tego — oświadczył pan Kaminsky.

— W takim razie będę musiał ją zabić... — stwierdził Uśmiechnięty. — Tak samo jak tamtą starą nietoperzycę.

Ruszył w stronę pani Petersen z uniesionym wysoko nożem.

— Nie! Nie może pan tego zrobić! Nie! — krzyknął pan Kaminsky.

Próbował złapać Uśmiechniętego za ramię, ten jednak zamachnął się nożem i ciął go w policzek. W ranie ukazała się kość, a przód szpitalnej koszuli staruszka zalała krew.

— Kazałem ci ją uderzyć! — ryknął Uśmiechnięty i tak gwałtownie zaczął kaszleć, że musiał się złapać oparcia jednego z foteli. Kiedy odzyskał oddech, głęboko wciągnął powietrze. — Kazałem ci ją uderzyć. Jeśli tego nie zrobisz, poderżnę jej gardło. Podetnę je tak głęboko, że zobaczysz wewnątrz szyi. Wyrażam się jasno?

Pan Kaminsky przyciskał dłoń do policzka, zbyt przerażony, aby cokolwiek powiedzieć. Spomiędzy jego palców wypływała krew i skapywała na koszulę.



— Uderz ją — powtórzył Uśmiechnięty. — To twoja ostatnia szansa, dziadku, bo jeśli tego nie zrobisz, będę musiał ją zabić i poprosić cię, abyś uderzył kogoś innego. Jeżeli tego także nie zrobisz, zabiję tę osobę... i tak dalej, i tak dalej.

— Oszalałeś! — krzyknął Neville. — Nie możesz kazać mu jej bić! Ona jest chora na serce, na Boga!

— Posłuchaj, bambusie: to jest egzorcyzm, jasne? Eg-zor-cyzm. Ceremonia, którą należy przeprowadzić z odpowiednim szacunkiem, bo inaczej ci przekłęci bogowie nie zostaną przebłagam, a wtedy będzie znacznie gorzej!

Był tak wściekły, że drżała mu dłoń, a klatka piersiowa gwałtownie unosiła się i opadała.

— Jeśli nie zaczniecie się nawzajem bić, będę musiał was wszystkich powyrzynać, a jeżeli to zrobię, ci cholerni bogowie nie zostaną przebłagani i będziemy musieli znaleźć następny autobus pełen starych dziadów i powtórzyć całe przedstawienie! Chcesz kogoś uratować? Jeśli tak, to rób, co ci się każe, i walnij tę staruchę!

Pan Kaminsky niepewnie klepnął panią Petersen w obwisły policzek. Staruszka jęknęła, ale bardziej z zaskoczenia niż z bólu.

— No cóż — mruknął Uśmiechnięty. — Nie było to może nic specjalnego, jednak na początek może być. — Popatrzył na panią Petersen i powiedział: — A teraz ty.

— Nie rozumiem... — wymamrotała staruszka.

— Nie rozumiesz, tłusta babo? Masz mu oddać, walnąć go. Ale znacznie mocniej.

— Nie mogę.

— Możesz, bo jeśli go nie uderzysz, poderżnę mu gardło... dokładnie tak samo, jak zamierzałem to zrobić tobie. Patrzyłaś kiedyś komuś do wnętrza szyi? Można tam zobaczyć różne niezwykle rzeczy...

— No już, Margot — powiedział pan Kaminsky. — Na pewno sobie poradzisz. Nie martw się o mnie. Jestem twardy jak stara podeszwa. Byłem w Hofen z Butler's Blue Battlin' Bastards i dwa razy mnie ranili.

Pani Petersen podeszła do niego i zaczęła go walić pięściami w klatkę piersiową.

— Tak już lepiej — stwierdził Uśmiechnięty. — Teraz jej oddaj, dziadku. Jeszcze mocniej!

Pan Kaminsky dwa razy uderzył panią Petersen w twarz. Odpowiedziała mu ciosem w lewy policzek, który zamaskowany mężczyzna rozciął nożem. Staruszek jęknął z bólu i walnął ją tak mocno, że zatoczyła się do tyłu, straciła równowagę i upadła na podłogę. Pan Kaminsky stanął nad nią okrakiem, ścisnął kościstymi kolanami i zaczął szarpać za włosy. Pani Petersen próbowała się uwolnić, a kiedy jej się to nie udało, sięgnęła pod szpitalną koszulę, chwyciła staruszka ręką w kroczu i z całej siły ścisnęła.

— Aaaghrrr! — zacharczał pan Kaminsky i pięścią uderzył kobietę w pierś.

Puściła jego krocze, zaraz jednak wbiła pomalowane na ciemnoczerwono paznokcie w ranę na policzku i mocno szarpnęła w dół. Kiedy staruszek poczuł, że rozrywa mu skórę, ponownie ją uderzył.

Uśmiechnięty złapał panią Lutz za ramię i pociągnął ją kilka siedzeń dalej.

— Teraz ty — polecił panu Thorsonowi.

Pan Kaminsky i pani Petersen turlali się po podłodze, walcząc ze sobą coraz zaciekłej — po części ze strachu, że jeśli przestaną się bić, któremuś z nich może zostać poderżnięte gardło, a po części z narastającej w nich obojgu histerycznej wściekłości.

Pan Thorson zbulgotał:

— Nie zmusisz mnie do tego...

— Chyba się mylisz. A może wolisz, żebym poobcinał jej cycki i poderżnął gardło? Co na to powiesz?

— Jesteście chorzy.

— Chorzy? Jesteśmy chorzy? Ja jestem chory? Popatrz na siebie, dziadku. Masz raka krtani. Jak się go dorobiłeś? Dzięki trzem paczkom papierosów dziennie? No już, uderz ją!

— Niech mi Bóg wybaczy... — jęknął pan Thorson i grzbietem dłoni pacnął panią Lutz w twarz.

♦ ♦ ♦

Przerażenie pasażerów autobusu, złość i obrzydzenie do samych siebie zamieniło się w niekontrolowane szaleństwo. Popychali się i szarpali, ciągnęli za włosy, walili głowami współpasażerów o kanty foteli i ramy okien, rozbijali sobie okulary. Nawet Neville przyłączył się do tego szaleństwa i raz po raz uderzał pana Kaminsky'ego. Miał cichą nadzieję, że staruszek szybko straci przytomność i nie

będzie musiał go dłużej bić, ale jednocześnie bał się, że jeśli przestanie, zamaskowani napastnicy wyłupiąmu oczy i wykastrują go.

Walcząc ze sobą, pasażerowie pojękiwali, wrzeszczeli i zawodzili niczym chór potępieńców. Kiedy po jakichś dziesięciu minutach przestali, pięcioro z nich leżało nieprzytomnych albo półprzytomnych na podłodze, posiniaczonych i zakrwawionych. Neville jeszcze stał, podobnie jak pani Lutz i pan Carradine, ale miał podrapane przedramiona i twarz, jakby został zaatakowany przez pumę, pani Lutz miała opuchnięte usta i oczy, a z ucha pana Carradine'a kapłała krew i stracił przedni górny ząb.

— I co teraz? — spytał Neville Uśmiechniętego. — Zadowolony jesteś? Patrz, co sobie porobili!

— Nie możemy już dłużej... — wyjęczała pani Lutz. — Błagam... idźcie sobie i zostawcie nas w spokoju...

Uśmiechnięty podszedł do niej i tak mocno pchnął ją nasadą dłoni, że opadła na fotel.

— Zostawić was w spokoju? Przykro mi, ale nie możemy. Bogowie złego losu nie pozwolą nam na to. Musimy ich przebłagać, a jeszcze dużo do tego brakuje.

— Wynoście się! — krzyknął Neville. — Wynoście się i zostawcie tych biednych ludzi w spokoju! Co wam zrobili?

Uśmiechnięty zakaszłał.

— Nic... poza tym, że *znaleźli* się pod ręką w chwili, gdy trzeba było przeprowadzić egzorcyzm. Mówiłem już, że jest mi przykro, ale po każdym dniu musi zapaść noc. Ciemność zawsze nadchodzi, bracie. Zawsze.



_ Nie nazywaj mnie bratem, skurwielu. Nie jesteś moim bratem.

— Ojej, przecież wszyscy jesteśmy braćmi... zajrzyj do Biblii, bracie. Do Dobrej Księgi. Co pierwszy brat uczynił drugiemu? — zapytał Uśmiechnięty.

Cofnął się, wykonał półobrót, po czym z uniesionym ramieniem błyskawicznie odwrócił się do kierowcy i szybkim ruchem podciął mu gardło, z którego chlusnęła kaskada krwi.

Neville, który nawet nie zdążył zauważyć, że napastnik ma nóż, wybałuszył oczy i złapał się oburącz za szyję, ale wiedział już, że umiera. Zrobił krok do tyłu, potem jeszcze jeden i przewrócił się bokiem na fotel kierowcy, próbując chwycić kierownicę, aby nie zsunąć się na podłogę.

— Nie! — wrzasnęła pani Lutz. — Nie!!!

Wyszczierzony uderzył ją dwa razy w twarz, a potem rozerwał jej szpitalną koszulę.

Popatrzyła na niego z nienawiścią.

— Bóg was za to ukarze — powiedziała. — Będziecie smażyć się w piekle.

Zerwał z niej koszulę i kopniakiem posłał zmięty materiał w głąb autobusu.

— Już się smażyłem, droga pani...

Rozdział 11

Ruth dotarła do laboratorium w porze lunchu. W dalszym ciągu grzmiało, a na zewnątrz było tak ciemno, że Jack pozapalał wszystkie światła. Siedział na stołku, czytał wiadomości sportowe w „Tribune” i jadł kanapkę z szynką i serem provolone.

— Cześć. Jak poszło? — spytał. — Doktor odkrył, czemu Amelia jest taka niespokojna?

Ruth zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku, po czym zdjęła beret i strzepnęła z niego krople deszczu.

— Uważa, że leki są właściwie ustawione, więc może chodzić jedynie o burzę hormonów. Rozmawialiśmy także z psychiatrą, panią doktor Beech... Zaproponowała, żeby Ammy spotkała się z pewnym młodym człowiekiem, który ma podobne problemy.

Jack podniósł plasterkę pomidora, który spadł na zdjęcie Caleba Abbotta, zawodnika drużyny Kokomo Knights.

— Znam Zeldę Beech — powiedział. — Jest bardzo dobra. Leczyła Lois.

Nie dodał nic więcej, a Ruth nie naciskała. Wiedziała, że pierwsza żona Jacka miała załamanie nerwowe i popełniła samobójstwo, ale nie znała szczegółów i uważała, że jeżeli Jack nie chce o tym mówić, ma do tego prawo.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby Ammy spotykała się z kimś, kto odczuwa te same lęki — mruknęła. — Nie chcę, żeby jej stan się pogorszył.


— Zelda Beech nie jest zwykłym psychiatrą. Stosuje różne metody terapii. Jeśli uzna, że pacjentowi coś może pomóc, wypróbujecie to... nawet jeśli ma pewne wątpliwości. Weźmy na przykład hipnozę. Zawsze podchodziła do niej bardzo ostrożnie, ponieważ nie podobały jej się efekty uboczne: koszmary nocne, pocenie się, dygot. Mimo to zahipnotyzowała Lois, co pomogło jej przetrwać najgorszy okres i w pewnym stopniu pozwoliło zrozumieć świat. Chociaż według mnie świat w ogóle nie ma sensu.

— Całkowicie się z tobą zgadzam. No dobrze, a co słyszeć w sprawie Tildy Frieberg?

Odłożył kanapkę i klasnął w dłonie.

— Zamierzałem do ciebie dzwonić, ale wolałem nie przeszkadzać ci podczas wizyty u lekarza. Poza tym chciałem zobaczyć twoją minę, kiedy się tego dowiesz...

Wstał, poszedł w głąb laboratorium i po chwili wrócił



z próbką do połowy wypełnioną jasnoszarym proszkiem.

— Co to takiego? — zapytała Ruth.

— Materiał pobrany z dna wanny Tildy Frieburg. Wysuszony i zbadany.

Z uśmiechem popatrzył na Ruth, czekając na jej reakcję.

— Mów dalej! — ponagliła go. — Czemu mnie denerwujesz?

— Bo lubię dramatyzm. Ten proszek ma taki sam skład jak prochy po kremacji. Profesjonalnie przeprowadzonej kremacji... Jest bardzo podobny do popiołu znalezionego w materacu, na którym spaliła się Julie Benfield. Więcej: są tu takie same drobne fragmenty kości, jakie znajdowały się w pierwszej próbce. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że obie próbki pochodzą z tego samego, niezbyt skutecznego krematorium.

— Żartujesz sobie?

— Nie. W dalszym ciągu czekamy na analizę DNA pierwszej próbki, o ile w ogóle da się wyodrębnić... Tę próbkę również będę musiał posłać do analizy.

— Wyszuszyłeś cały osad?

Kiwnął głową.

— Po wysuszeniu ważył około kilograma. Trochę więcej, niż uzyskaliśmy z materaca.

— Czyli także i w tym przypadku mogło to być dziecko?

— Nie wiem, szefowo. Na razie to tylko zgadywanki.

— Jeśli to jednak prawda, oznaczałoby, że w obu przypadkach kremowane były również ciała dzieci.

— Właśnie dlatego uważam, że świat nie ma sensu — mruknął Jack.

♦ ♦ ♦

Spędził resztę dnia na analizie pozostałych próbek pobranych w łazience Tildy Frieburg — fragmentów gąbki, mydła, ręczników i szlafroka. Ruth wgrała do komputera zrobione przez siebie zdjęcia i na ich podstawie odtwarzała rozprzestrzenianie się ognia.

Koło piątej zadzwonił telefon.

— Morrow — rzucił Jack do słuchawki. — Tak, rozumiem. Aha, dziękuję. — Kiedy się rozłączył, odwrócił się do Ruth i powiedział: — To był Aaron Scheinman. W próbce znajdowały się fragmenty zęba, więc udało mu się określić DNA. Tajemnicze szczątki należą do osobnika płci męskiej, prawdopodobnie pochodzącego z pomocnej Europy. Aaron prześle nam pełny raport e-mailem.

Ruth nie odrywała wzroku od ekranu swojego komputera. Wprowadziła już do niego dane dotyczące związków chemicznych wykrytych w łazience Tildy Frieburg — cząsteczek węgla z jej gąbki oraz chlorowodoru, który wniknął w ręczniki i szlafrok — ale przyczyna pożaru w dalszym ciągu pozostawała zagadką. W osadzie zebranych z dna wanny znajdowały się śladowe ilości różnych pierwiastków, nie było jednak wśród nich magnezu ani sodu, czego

należałoby się spodziewać w przypadku reakcji egzotermicznej. Jack zajrzał jej przez ramię.

— No i? Co odkryłaś? — zapytał.

— Nadal nie mam pojęcia, jak ten ogień powstał. Na pewno nie było tam żadnych środków zapalających. Żadnych chemikaliów, które mogły wejść w reakcję z wodą. Tylko kadm i ołów, a ponieważ oba te metale pozostają po spaleniu PCW i mamy tu do czynienia ze skremowanymi ludzkimi szczątkami, zakładam, że pochodziły z farby, którą maluje się trumny.

— Ale to nie wyjaśnia także, dlaczego ogień był tak gwałtowny ani czemu płonął tak krótko. Ani dlaczego objął tylko wannę.

— Wykonam parę komputerowych symulacji. Jeśli nic nie wyjaśni, przeprowadzimy kilka eksperymentów na świńskich truchłach.

— A jeśli to był samoistny zapłon?

— Jack... już ci mówiłam, że nie wierzę w samoistny zapłon ciała ludzkiego. Ludzie nie zapalają się sami z siebie, bez powodu. Zwłaszcza w wypełnionej wodą wannie.

— Nie zapominaj o tym, co powiedział Sherlock Holmes: „Kiedy wykluczyłeś niemożliwe, cokolwiek pozostanie, bez względu na to, jak bardzo wydawałoby się nieprawdopodobne, musi być prawdą.

— Samoistny zapłon jest niemożliwy.

— Może tak, może nie, ale w tej chwili nie przychodzi

mi do głowy nic innego, co mogłoby sprawić, że Tilda prieburg została jednocześnie ugotowana i upieczona.



Pani Lutz otworzyła jedno oko. Drugie miała tak opuchnięte, że nic nim nie widziała. Leżała na podłodze autobusu, a obok majaczyła czyjaś twarz, jednak znajdowała się zbyt blisko, aby mogła rozpoznać rysy.

Leżała bez ruchu i nasłuchiwała. W autobusie ktoś pochlipywał, prawdopodobnie była to pani Tiplady. Ktoś inny pojękiwał — pan Kaminsky? Ale pani Lutz próbowała usłyszeć głosy ich prześladowców — Uśmiechniętego, Wyszczерzonego albo Obojętnej Miny. Gdyby któryś z nich był w pobliżu, zamierzała udawać nieprzytomną.

Czuła, że jest cała poobijana i ma siniaki na szyi, ramionach, plecach i nogach. Jej lewa dłoń była wetknięta pod tułów jak złamane skrzydło, a bolała tak bardzo, że nadgarstek musiał być złamany. Czuła też bolesne pulsowanie między nogami.

Minęło pięć minut. W oddali przewalały się grzmoty, o dach autobusu wciąż bębnił deszcz, jednak poza tymi odgłosami i szlochaniem nie było słycać nic więcej. Może te trzy potwory naprawdę sobie poszły? Najdziwniejszy w tym wszystkim był brak jakiegokolwiek powodu. Przerazające okrucieństwo, z jakim ich potraktowano, wydawało się stanowić cel samo w sobie. Pani Lutz nie wierzyła, aby któremuś z zamaskowanych mężczyzn mogło sprawiać przyjemność gwałcenie wychu-



dzonej siedemdziesięciosiedmioletki o zwiotczonych piersiach i kościstych kolanach.

Odrobinę uniosła głowę i spróbowała przesunąć łokieć, ale kości w jej nadgarstku zazgrzytały, a ramię przeszło taki ból, że zawyła jak zranione zwierzę.

Opadła na plecy i czekała, aż ból ucichnie. Nie była w stanie się poruszyć. Mogła jedynie mieć nadzieję, że jakiś przechodzień zauważy stojący w dziwnym miejscu autobus i wezwie pomoc.

Zacząła odmawiać modlitwę, której nauczyła się w dzieciństwie:

*Drogi Jezu, gdy przechodzisz krajem I
mijasz wszystkich, którzy Cię otaczają
Odwróć głowę i ujrzyj łzy moje Przymul
mnie i zabierz to, czego się boję...*

W tym momencie do jej monologu dołączył inny głos. Był to lekko schrypnięty, ale głośny i wyraźny chłopięcy głos:

*Drogi Panie Jezu, światło daj mi też
I uchron mnie od nocy straszniejszej niż grzech.*

Pani Lutz ponownie uniosła głowę.

— Kto to? Kto tu jest? Nie dość nas już udęczyliście?

Zapadła cisza. Po chwili w polu widzenia starszej pani pojawiły się chude nogi w spłowiałych czerwonych dżinsach i znoszonych sportowych butach. Kiedy udało jej się

unieść głowę nieco wyżej, zobaczyła twarz chłopca. Był bardzo blady, miał potargane ciemne włosy i wielkie ciemne oczy.

— Babcia? — spytał, po czym ukląkł i delikatnie dotknął ramienia leżącej. — Babciu, co ci się stało?

— Synku, posłuchaj mnie... Musisz sprowadzić pomoc.

— Co się stało, babciu? — powtórzył chłopiec. — Jesteś ranna?

— Proszę cię... musisz sprowadzić pomoc. Wyjdź na zewnątrz i poszukaj kogoś dorosłego. Powiedz mu, że potrzebujemy karetki i policji. Wiesz, gdzie jesteśmy, prawda? Park Bon Air, niedaleko pawilonu. Powiedz, że ratownicy muszą się pośpieszyć.

Ale chłopiec sprawiał wrażenie, jakby tego w ogóle nie słyszał. Głaszcząc panią Lutz po barku, powiedział:

— Nie martw się, babciu, zajmę się tobą. Cokolwiek ci zrobili, nie pozwolę, aby zrobili to ponownie.

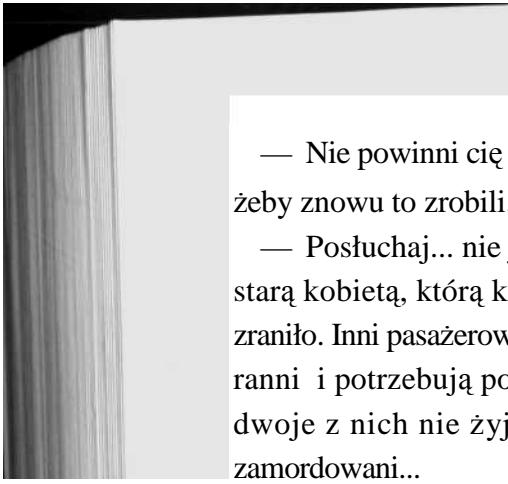
— Proszę cię... wezwij pomoc. Nie zwlekaj... proszę...

— Wszystko będzie dobrze, babciu. Pamiętasz, jak spadłaś ze schodów i złamałaś sobie staw biodrowy? Pamiętasz, jak zrobiłem ci wtedy naleśniki? Dobre były, prawda? Mówiłaś, że smakowały tak wspaniale, jakby piekły je anioły w kuchni Pana Boga.

Pani Lutz wzięła trzy głębokie oddechy, próbując się uspokoić.

— Jak masz na imię, synku?

Chłopiec popatrzył na nią, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi.



— Nie powinni cię byli zabierać, babciu. Nie pozwolę, żeby znowu to zrobili.

— Posłuchaj... nie jestem twoją babcią. Jestem tylko starą kobietą, którą kilku bardzo złych ludzi poważnie zraniło. Inni pasażerowie tego autobusu także są poważnie ranni i potrzebują pomocy lekarskiej, a przynajmniej dwoje z nich nie żyje, rozumiesz? Nie żyją, zostali zamordowani...

— Nie powinni cię zabierać, babciu. Nic złego by się nie stało, gdyby cię nie zabrali.

Pani Lutz westchnęła ciężko. Czemu ze wszystkich ludzi, którzy mogli ich znaleźć, musiał to być akurat jakiś niedorozwinięty dzieciak?

— Idź po pomoc! — wrzasnęła, choć wywołało to nieznośny ból w klatce piersiowej. — Poszukaj kogoś, kto nam pomoże!

Pani Tiplady najwyraźniej słyszała ich rozmowę, bo zaczęła głośno jęczeć. Po chwili dołączył do niej pan Kaminsky, a pan Thorson bulgotał przez swoją rurkę tracheotomijną.

Chłopiec uśmiechnął się i pogłaskał panią Lutz po włosach.

— Zawsze mówiłaś, że mnie kochasz, prawda? Nie powinni cię zabierać. Zajmę się tobą, obiecuję. Nie odeślę cię.

Pani Lutz opuściła głowę na podłogę. Czuła się pokonana.

— Synku... — wyszeptała. — Posłuchaj mnie, synku...

Chłopiec pochylił się, przez cały czas uśmiechając się do niej. Patrzyła mu w oczy i zastanawiała się, czy jest niedorozwinięty, czy po prostu stroi sobie z niej żarty. Może bandyci w maskach kazali mu tu przyjść, aby dał im fałszywą nadzieję? Może to również był element jakiegoś sadystycznego i poniżającego przedstawienia?

— Synku...

— Tak, babciu?

Wzięła kolejny głęboki wdech.

— Sprowadź pomoc, synku. Natychmiast.

Zignorował jej słowa, położył się przy niej na podłodze i objął ją mocno.

— Ja ci pomogę, babciu. Jestem jedyną pomocą, jakiej potrzebujesz. Kocham cię, babciu. Zawsze będę cię kochał.

— Idź po pomoc. Sprowadź pomoc. Idź i sprowadź pomoc!!!

— Jesteś taka zimna, babciu... Mogę cię rozgrzać.

Pani Lutz patrzyła na niego bezradnie. Może był głuchy? A może po prostu jej nie rozumiał albo... nie chciał zrozumieć?

— Potrzebujemy pomocy... — jęknęła z rozpaczą. — Potrzebujemy pomocy...

— Jesteś zimna, a przecież nie musisz taka być.

Objął ją jeszcze mocniej — i ścisnął z taką siłą, że miała wrażenie, iż zaraz ją zgniecie.

— Przestań! Sprawiasz mi ból! Boże, sprawiasz mi ból... przestań...

Nagle chłopiec buchnął płomieniami, jakby nasączono

go benzyną i podpalono. Patrząc na panią Lutz szeroko otwartymi oczami, zaczął wrzeszczeć z przerażenia i bólu.

Pani Lutz również wrzeszczała. Choć była cała posiniaczona, kopała i wierzgała, próbując się uwolnić z objęć małego intruza, ale udało jej się tylko przewrócić na bok. Chłopiec płonął z taką siłą, że skóra staruszki zaczęła się marszczyć i zwijać. Po chwili zapaliły się jej włosy i siwy tapir wyglądał jak płonąca pochodnia.

Twarz pani Lutz poczerwieniała i zaraz potem poczerwieśniała. Całe jej ciało zaczęło dygotać, nagie pięty dudniły o podłogę. Kiedy spaliły się zakończenia nerwowe, obydwie ramiona uniosły się wysoko w górę i objęły chłopca, jakby rzeczywiście był ukochanym wnuczkiem.

Już nic mnie nie boli, pomyślała pani Lutz. Już nic nigdy mnie nie będzie bolało. Jestem taka szczęśliwa... Ujrzała obok siebie swojego zmarłego męża, jakby znowu szli razem wzdłuż jeziora Mississinewa, od którego powierzchni odbijały się jaskrawe promienie słońca. „Ted...” — wyszepiała (a przynajmniej tak jej się wydawało), po czym umarła.

Ogień przeskoczył na znajdujące się obok fotele i po kilkunastu sekundach wewnątrz autobusu wypełniło się czarnym trującym dymem. Pozostali jeszcze przy życiu pasażerowie zaczęli kaszleć i krztusić się. Panu Thorsonowi udało się wstać i kilka razy uderzyć w szybę obcasem buta, był jednak zbyt słaby, aby wybić okno, i po chwili osunął się na podłogę.

Pan Kaminsky doczołgał się do przednich drzwi autobusu, ale były zamknięte, a on nie miał pojęcia, jak je

otworzyć. Gdy otoczyły go kłęby dymu, znieruchomiał ze zwisającą w dół głową.

Ogień coraz bardziej się rozszerzał, autobus wyglądał jak stos ofiarny. Płomienie wystrzeliwały ponad pięć metrów w górę, pomiędzy gałęzie drzew.

Płonący autobus został w końcu zauważony przez spacerującego z psem człowieka. Kiedy mężczyzna wzywał straż pożarną, jego brązowy spaniel jak zauroczony wpatrywał się w ogień, którego odbicia tańczyły mu w ślepiach.

Rozdział 12

Craig postukał nożem w kieliszek.

— Proszę wszystkich o ciszę! — zawołał. — Chcę coś ogłosić!

Siedzieli przy stole kuchennym i jedli kurczaka w orzeszkach ziemnych z puree ziemniaczanym i kapustą. Ruth postanowiła, że tego wieczoru zjedzą kolację razem, i nie uległa ani Jeffowi wybierającemu się z Lenniem na kregle, ani Amelii zamierzającej w swoim pokoju dokończyć kolejną smutną piosenkę o chłopaku, który nie wiedział, że wkrótce zacznie padać i że zostawiła go dziewczyna.

Chciała mieć całą rodzinę wokół siebie, bo czuła, że w powietrzu coś wisi — coś bardzo złego. Niepokoiła ją dziwna natura pożarów, które badała — nie mogła przestać się zastanawiać, jak do nich doszło i czemu mimo tak gwałtownego przebiegu nie spowodowały większych szkód. Kolejnym powodem do niepokoju był stan Ammy, jej fantazje o „przybywających spod spodu ludziach” i poja-

wianie się Wstrętnego Chłopaka — choć zupełnie nie mogła pojąć, dlaczego ten nastolatek tak bardzo ją rozstraja. Craig ponownie zastukał w kieliszek.

— Ciiicho, proszę! Słuchajcie!

— Tylko przypadkiem nie mów, że zbankrutowaliśmy i będziemy musieli przeprowadzić się do Sycamore Stump — powiedział Jeff.

Nazywano tak ogromny, pusty w środku pień uschniętej sykomory liczącej ponoć ponad tysiąc pięćset lat, który był atrakcją turystyczną Highland Park.

— Nie — odparł Craig. — Wieści są znacznie lepsze. Dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla ciebie, Jeff. Dziś rano, panie i panowie, podpisałem umowę na wyposażenie ośmiu kuchni w Logansport.

— Skarbie, to wspaniała wiadomość! — zawołała Ruth. — Może wreszcie wszystko znalazło się na dobrej drodze!

— Miejmy nadzieję. Osiem kuchni to tylko osiem kuchni, ale zawsze lepiej niż ani jedna kuchnia. Najważniejsze jednak, że rozmawiałem z kierownikiem budowy, Gusem Probertem, i opowiedziałem mu o wypadku Jeff a...

— Super. Założę się, że śmiałyście się do rozpuku.

— Nie będę cię okłamywał, trochę się śmiałyśmy, ale kiedy przestaliśmy, Gus powiedział, że właśnie zamierzał sprzedać samochód żony i może chciałbym wziąć go w rozliczeniu. Wygląda na to, że gdybym się zgodził, dostałbym sporą ulgę podatkową.

Ruth podała Amelii koszyk z chlebem.

— Czy to oznacza, że samochód będzie stanowił część zapłaty?

— Tak. Gus wpisze jego wartość w koszty transportu albo coś w tym stylu.

— A co to za samochód? — spytał podejrzliwie Jeff. — Pewnie jakaś babska toyota.

— Nie... pontiac grand prix SE z dziewięćdziesiątego dziewiątego, biały. Gus uważa, że auto jest w świetnym stanie. Ma dziesięć lat, a na liczniku tylko sto siedemnaście tysięcy.

Jeff odgarnął włosy z oczu.

— I mógłbym go dostać?

— Jeśli chcesz.

— Jeśli chcę? Żartujesz sobie ze mnie... Kiedy?

— Mogę go odebrać od Gusa jutro po południu.

Jeff nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Patrzył na ojca i matkę, z niedowierzaniem potrząsając głową. Amelia zrobiła niewinną minkę.

— Może od razu nie wpakujesz go do jeziora...

◆ ◆ ◆

Po kolacji, kiedy sprzątnęli ze stołu i załadowali zmywarkę, Ruth spojrzała na męża.

— Kogoś dziś bardzo uszczęśliwiłeś — stwierdziła.

Craig przytulił ją i pocałował w czoło.

— Od czego są ojcowie? — mruknął.

— Mnie też sprawiłeś wielką przyjemność. Taka jestem zadowolona z tego kontraktu w Logansport...

— Po to właśnie są mężowie.

— A kochankowie? Po co istnieją kochankowie?

Ponownie ją pocałował.

— Czasami wszystko wygląda, jakby już nic nie miało się udać. Wiesz, co mam na myśli? Człowiek czuje się wtedy, jakby tkwił na dnie studni, jak ta dziewczyna w *Kręgu*, i ma wrażenie, że nigdy się stamtąd nie wydo stanie. Postanowiłem jednak spróbować... bez względu na to, jak bardzo będzie to trudne. Mam ciebie, mam Jeffa i Ammy i nigdy nie zrezygnuję. Nigdy.

Dotknęła blizny na jego policzku. Oczy Craiga przypominały szare deszczowe chmury.

— Cieszę się, że cię poznałam — powiedziała. — Jesteś dla mnie wszystkim, wiesz?

— Co powiesz na to, żebyśmy napili się jeszcze wina? Może weźmiemy je do łóżka i pooglądamy telewizję albo coś w tym stylu?

— Chętnie. „Coś w tym stylu” brzmi zachęcająco.

Zaczęła owijać resztki kurczaka folią spożywczą, a Craig otworzył butelkę zinfandela i napełnił nim dwa duże kieliszki. Gdy zamierzali wyjść z kuchni, wpadł do niej Jeff.

— Mogę iść do Lenniego? Chciałbym powiedzieć mu o samochodzie.

— Nie możesz zadzwonić albo SMS-ować? Leje jak z cebra.

— Mowy nie ma. Muszę zobaczyć, jak mu opada szczęka, kiedy się dowie, że będę miał pontiaca grand prix.

— No dobrze, ale wróć przed jedenastą—ustąpiła Ruth.

Słowa syna przypomniały jej, co powiedział Jack po odkryciu w wannie Tildy Frieburg prochów jakiegoś drugiego człowieka: „Chciałem zobaczyć twoją minę, kiedy ci o tym powiem...”.

Kiedy Jeff otworzył drzwi frontowe, do holu wpadł silny podmuch wiatru, zatrasnął je i w domu ponownie zapadła cisza. Słyszeć było jedynie śpiew Amelii.

— Chodź do naszej sypialni — powiedział Craig.

Na górze Ruth usiadła w garderobie przy stoliku do makijażu i wbiła wzrok w swoje odbicie w lustrze. Była zmęczona, ale słowa męża poprawiły jej samopoczucie. „Postanowiłem jednak spróbować... bez względu na to, jak bardzo będzie to trudne”. Może dzięki nowemu zleceniu ich życie wróci do poprzedniego stanu, może wszystko znowu się poukłada.

Gdy zmywała makijaż, zaterkotał telefon. Craig podniósł słuchawkę.

— Słucham? Aha. Jasne, Jack. Oczywiście, już ją daję. Ubrany tylko w koszulę i skarpetki przyszedł do garderoby i podał jej aparat.

— Dzwoni Jack Morrow — powiedział.

— Jack? Co się stało? — zapytała.

Sądząc po hałasie w tle, znajdował się gdzieś na zewnątrz. Słyszeć było dudnienie silników Diesla i pokrzykiwanie ludzi.

— Przepraszam, że zakłócam ci wieczór, szefowo, ale w parku Bon Air mieliśmy przykrą sprawę. Spalił się autobus z emerytami, jest sporo ofiar śmiertelnych.

Na moment zamknęła oczy.

— W porządku, Jack — powiedziała. — Daj mi kwadrans.

— Ile tylko zechcesz, szefowo. Ci ludzie donikąd się nie wybierają.

♦ ♦ ♦

Kiedy dotarła do parku Bon Air, było w nim pełno radiowozów, samochodów strażackich, ambulansów, samochodów należących do biura koronera hrabstwa County, wozów transmisyjnych telewizji, samochodów prasowych i ponad stu policjantów, strażaków, ratowników medycznych, inspektorów śledczych, reporterów, kamerzystów i gapiów.

Choć deszcz jeszcze bardziej się nasilił, między drzewami snuł się dym. Światło wirujących na dachach pojazdów kogutów zabarwiały krople deszczu na czerwono i niebiesko, co sprawiało, że z daleka park wyglądał jak wesołe miasteczko. Ruth zostawiła samochód na North Jay Street i z przyklejonym do pięt Tysonem ruszyła po mokrej trawie w stronę centrum wydarzeń.

Jack czekał na nią za policyjną taśmą. Miał na sobie błyszczącą od wilgoci nieprzemakalną kurtkę w kolorze khaki. Z kaptura wystawał mu jedynie nos, co upodabniało go do postaci z *Władcy pierścieni*. Obok niego stał detektyw Ron Magruder z dwoma kolegami — wszyscy mieli ponure miny i byli przemoczeni.

— Gdzie Bob? — spytała Ruth.

— Już tu jedzie. Był na pogrzebie w Muncie.

— Wygląda na to, że tym razem mamy do czynienia z sześcioma ofiarami, jednak prawdopodobnie jest ich więcej — poinformował ją Magruder.

Ruth przeszła pod policyjną taśmą i ruszyła w stronę spalonego autobusu. Tuż za nią szli Jack i Magruder. Tyson uniósł łeb i zaczął węszyć, ale kazała mu warować.

Szkielet autobusu owinięto szarymi płachtami, bo ulewny deszcz mógł w ciągu kilku minut splukać wszystkie ważne dowody — popiół, resztki substancji zapalających i ślady węgla mające istotne znaczenie dla zrozumienia, jak doszło do wybuchu pożaru i w jaki sposób ogień się rozprzestrzenił.

— Gliniarze mają sprowadzić namiot do przeprowadzania badań — powiedział Jack. — Kiedy go przywiozą, będziemy mogli wejść do środka i dokładniej się rozejrzeć.

Choć autobus został przykryty, bez trudu można było dostrzec, że niemal całkowicie się spalił. Opony były zwęglone, a eksplozja zbiornika paliwa zamieniła tył pojazdu w groteskową rzeźbę przypominającą ludzką postać z wyciągniętymi wysoko nad głowę rękami.

— To był specjalny bezpłatny autobus Spirit of Kokomo dla emerytów — powiedział Magruder. — Posłałem już do ratusza jednego z moich ludzi, żeby sprawdził listę rezerwacji. Poznamy wtedy nazwiska i adresy pasażerów oraz planowaną trasę, więc będziemy mogli wydedukować, kto wsiadł, zanim autobus skręcił do parku, a kto miał szczęście i nie zdążył.

— Mogę do niego zajrzeć? — spytała Ruth.

— Jasne — odparł Magruder.

Przyniósł aluminiową drabinkę i oparł ją o bok autobusu, po czym podciągnął róg plandeki, aby Ruth mogła poświecić latarką do środka.

Wnętrze autobusu przypominało pociąg z upiorami. Na siedzeniach, które przepaliły się aż do sprężyn, siedziały cztery ludzkie postacie pochylone pod różnymi kątami. Każda z nich unosiła ramiona i szczyrzyła zęby w szerokim uśmiechu.

Ruth nie wierzyła w życie po życiu, czasami jednak zadawała sobie pytanie, czy martwym ludziom zależy na tym, aby ich ciała były traktowane z szacunkiem. Kiedyś miała do czynienia ze zmumifikowanymi szczątkami trzyletniej dziewczynki znalezionymi w skrytce pod schodami domu stojącego niedaleko parku Houston. Natrafiono na nie dopiero po tym, jak dom się spalił. Być może dziewczynka przed wielu laty bawiła się w chowanego, ale nie potrafiła wyjść ze swojej kryjówki i umarła z pragnienia, kiedy nikt jej nie odnalazł. Ruth często o niej myślała — musiała być bardzo samotna, nawet po śmierci.

— Na podłodze są jeszcze trzy, może cztery ofiary — powiedział Jack. — Wszystkie spalone na podobnym poziomie, dwa na skali CGS. Prawdopodobnie ogień zaczął się w drugim albo trzecim rzędzie siedzeń... tam, gdzie podłoga i fotele są najbardziej zniszczone.

— Jakież koncepcje? — zapytała.

Jack popatrzył na Magruderę i wzruszył ramionami.

— Daj spokój, szefowo, przecież wiesz, że nie lubię spekulować.

— Może jednak masz jakąś hipotezę?

— No cóż... nie wygląda to na awarię układu elektrycznego, pęknięcie przewodu paliwowego ani inne uszkodzenie mechaniczne. Ogień zaczął się między fotelami pasażerów i myślę, że do chwili wybuchu zbiornika paliwa palił się przez jakieś pięć albo dziesięć minut.

Ruth zeszła z drabinki, a Magruder z powrotem zaciągnął płachtę.

— To nie był wypadek — mruknął. — Co oni robili pośrodku tego cholernego parku?

— Może chcieli popełnić zbiorowe samobójstwo? — zasugerował Jack. — Kto wie, może grupa staruszków postanowiła odejść z wielkim BUM?

— Na razie jestem gotów uwierzyć niemal we wszystko — odparł Magruder.

Po trawniku jechała policyjna furgonetka, podskakując na nierównościach. Na pace wiozła aluminiowe tyczki i wielkie płachty białego plastiku. Kiedy się zatrzymała, policjanci i strażacy natychmiast zaczęli ją rozładowywać. Wkrótce wokół autobusu zaczął wyrastać ogromny namiot. Na ziemi — dla zachowania odcisków stóp — rozłożono aluminiowe płyty. Plastik głośno łopotał na wietrze.

Ruth cofnęła się kilka kroków do Tysona. Pies był bardzo niespokojny i zdenerwowany, popiskiwał i wpatrywał się w swoją panią.

— Co jest, chłopaku? Czujesz coś?

Labrador głośno warknął.

— Wygląda na to, że coś poczuł — stwierdził Jack. — Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby tak się zachowywał.

Z początku Ruth sądziła, że Tyson zwęszył zapach środka zapalającego nawiewany od strony autobusu, ale pies wyciągał łeb w stronę drzew. Walił przy tym wściekle ogonem i warczał tak samo jak wtedy, gdy do ich domu zbliżał się ktoś obcy.

Wyteżyła wzrok, nie dostrzegła jednak niczego podejrzanego. Pod drzewami było ciemno i przechodziły między nimi dziesiątki ludzi. Ale jeśli autobus został podpalony, może podczas ucieczki podpalacz rzucił gdzieś tam pusty pojemnik po środku zapalającym i Tyson go wyczuł.

— Idę to sprawdzić — powiedziała i puściła obrozę psa. — Chłopaku, szukaj!

Zwykle w takim przypadku Tyson ruszał w stronę źródła zapachu jak wystrzelony z armaty, teraz jednak nawet nie drgnął. Warczał, ale najwyraźniej nie miał ochoty wejść między drzewa.

— No, Tyson... — zachęcała go. — Szukaj!

Labrador zrobił kilka kroków i znieruchomiał. Szczeknął dwa razy, popatrzył na Ruth i znowu szczeknął. Nigdy nie słyszała, żeby szczekał w taki sposób. O Boże, on jest przestraszony, uświadomiła sobie nagle. Chce mi przekazać, że się boi...

Powoli ruszyła w kierunku drzew. Deszcz szeleścił w liściach, za plecami słyszała szcęk aluminiowych

elementów składanego namiotu, ale pod drzewami było dziwnie cicho. Czuła się, jakby weszła do kaplicy i ktoś zamknął za nią drzwi.

Uniosła latarkę i rozejrzała się wokół. Nigdzie nie było widać żadnego pojemnika, który mógłby zawierać środek zapalający. Żadnej puszki czy butelki. Oczywiście zawsze pozostawała możliwość, że podpalacz wylał gdzieś resztę przyniesionego przez siebie środka — gdyby udało się pobrać próbkę ziemi z tego miejsca, mogłoby to ułatwić namierzenie sklepu, w którym go kupiono. Problem polegał na tym, że jedynie Tyson mógł wywęszyć to miejsce. Gdyby sama zaczęła krążyć na czworakach między drzewami, obwąchując cały teren, nic by nie znalazła.

— Tyson! — zawołała, ale pies opuścił łeb i nie ruszył się. — Tyson, do mnie! No, chodź! Szybko!

Labrador zrobił dwa kroki w jej stronę, po czym znowu się zatrzymał i zaszczeakał.

— Tyson! Niedobry pies! Chodź szybko!

Ruszyła w jego stronę, jednak po chwili uświadomiła sobie, że między drzewami, nie więcej niż dziesięć metrów od niej, stoi jakaś postać. Kiedy poświeciła na nią latarką, krzyknęła z przerażenia.

Był to Wstrętny Chłopak — blady, chudy dzieciak w spłowiałym T-shircie i czerwonych dżinsach. Ten sam, którego widziała na South McCann Street, ale nie mogła sfotografować. Ten sam, który stał pod ich domem w cieniu lipy.

Poświeciła mu latarką prosto w twarz. Uniósł dłoń, aby zasłonić oczy, jednak ani się nie odwrócił, ani nie podszedł bliżej.

— Hej... Kim jesteś? Co tu robisz? — zapytała, starając się panować nad głosem, ale słowa wydobywające z jej ust zabrzmiały piskliwie i niepewnie.

Chłopiec na to nie odpowiedział. Nadal stał bez ruchu między drzewami, zasłaniając sobie dłonią twarz. Odślonił ją dopiero wtedy, gdy Ruth opuściła latarkę.

— Kim jesteś? Co tu robisz? Śledziłeś mnie?

Chłopak w dalszym ciągu milczał i nie poruszał się.

Podeszła do niego tak blisko, że mogłaby go dotknąć. W jego wzroku malowało się ogromne znużenie, zmęczenie życiem. Widywała podobny wyraz oczu u starych ludzi, ale nigdy u dzieci. Zauważyła, że lekko drży.

Wyglądał dość niezwykle. Miał dziwnie wydłużoną głowę, a jego gęste, ciemne, potargane włosy były tak źle ostrzyżone, że mogło to być jedynie dzieło matki albo jego samego. Miał też szeroko rozstawione oczy i pełne czerwone wargi wygięte jak u dziewczyny.

— Jak się nazywasz? — spytała Ruth, tym razem znacznie łagodniej.

Chłopiec przez kilkanaście sekund się nie odzywał, ale kiedy Ruth zamierzała ponownie zadać mu to samo pytanie, powiedział łamiącym się głosem:

— Nie rozumisz? Nie rozumisz? Musisz dać mi spokój.

— Słucham? Co to ma znaczyć?

Znowu zapadła dłuższa cisza, a potem chłopiec oświadczył:

— Jak mi nie dasz spokoju, bendo kłopoty.

— O czym ty mówisz? Jakie kłopoty?

— Przecie mówię: jeśli mnie nie zostawisz, narobi się strasznie!

— Szefowo! — zawołał z oddali Jack. — Namiot gotowy! Przyjdiesz do nas?

Nie odpowiedziała na to zaproszenie, ale ponownie zwróciła się do chłopca:

— Jak możesz żądać, żebym ci dała spokój, skoro nic ci nie robię? Nawet nie wiem, kim jesteś. To ty za mną chodzisz.

— Nie bende ostrzegął ponownie. Chyba że chcesz, by straszliwo się narobiło.

— Szefowo! — krzyknął Jack.

Ruth odwróciła się w jego stronę i pomachała latarką.

— Zaraz idę! — odkrzyknęła.

Kiedy się odwróciła, Wstrętnego Chłopaka już nie było.

— Hej! — zawołała. — Gdzie jesteś? Musimy porozmawiać!

Poświeciła latarką, ale nikogo między drzewami nie zobaczyła. Wokół słychać było jedynie szelest deszczu, podmuchy wiatru i pokrzykiwania robotników rozstawiających w namiocie reflektory. Po chwili zaterkotał generator i wszystko zagłuszył. Ruth poczekała jeszcze trochę, po czym zgasła latarkę i ruszyła w stronę spalonego autobusu. Dołączył do niej Tyson, patrząc na nią przepaszająco. Pochyliła się nad nim i pociągnęła go za uszy na znak, że mu wybaczyła.

— Nie ma sprawy, chłopaku. Wiem, że się bałeś.
Mówiąc szczerze, ja też.

Weszli do jasno oświetlonego wnętrza autobusu. Namiot wydymał się na wietrze jak balon, o plastik dudnił deszcz. Doliczyli się ośmiu zwłok — czterech na siedzeniach i czterech na podłodze — niemal zupełnie spalonych. Uwagę Rum zwróciły kupki zwęglonych ubrań porzucanych na fotelach.

Wzięła do ręki pomarszczone resztki różowego gorsetu.

— Popatrzcie na to — powiedziała. — Tu jest spódnica... tu sztruksowe spodnie... a tu biustonosz. Zanim zaczął się pożar, ci wszyscy ludzie musieli się rozebrać.

Val Minelli przyjrzała się uważnie popalonym strzępom niebieskiej bawełny z lawendowym nadrukiem.

— Kiedy się palili, mieli na sobie tylko koszule szpitalne — stwierdziła. — To standardowy wzór firmy BMH Supplies. Wszystkie tutejsze szpitale używają takich koszul.

— Ale dlaczego mieliby się przebierać? — spytał detektyw Magruder. — To emeryci, po siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat. Nie sądzę, aby urządzali tu jakieś orgie.

— Prawdopodobnie zostali do tego zmuszeni — odparła Val Minelli. — Bóg jeden wie po co.

Uklękała, żeby sfotografować szczerzącą zęby czaszkę w pokrytych sadzą okularach. Potem zrobiła zdjęcie

następnej czaszki — z roztopionym aparatem słuchowym w miejscu, w którym kiedyś było ucho.

Ruth powoli szła między siedzeniami. Jack miał rację: wszystko wskazywało na to, że ogień zaczął się palić w drugim rzędzie, gdzie leżały najbardziej spalone zwłoki — przynajmniej na poziomie trzecim. Choć dolna część szkieletu się rozpadła, Val z kształtu miednicy wywnioskowała, że była to kobieta.

— Jeśli sądzić po stopniu zaawansowania osteoporozy, mogła mieć jakieś siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt lat — stwierdziła.

Tyson również chodził po autobusie. Po kilku sekundach wywęszył resztki benzyny ze zbiornika, ale w miejscu, w którym zaczął się pożar, nie wyczuł żadnych środków podpalających. Patrzył na Ruth, jakby przeproszał ją za to, że nie umie wyjaśnić, co się stało.

— Nie przejmuj się, chłopaku — uspokoiła go. — Zrobiłeś wszystko, co do ciebie należało. To nie twoja wina, że nie możesz niczego znaleźć.

Pomogła mu zeskoczyć z drabinki i zaprowadziła w róg namiotu, po czym wyjęła z kieszeni nagrodę.

— Dobry pies — powiedziała, klepiąc go po grzbiecie. — Jestem z ciebie dumna.

Kiedy wracała do autobusu, siedział z nietkniętą nagrodą przed łapami — jakby uważał, że na nią nie zasłużył, bo zawiódł swoją panią.

— Co się stało Tysonowi? — spytał Jack, pełznąc po podłodze autobusu i zbierając próbki popiołu. — Sprawia

wrażenie bardzo przygnębionego. Czy psy popadają w depresję? Kiedyś miałem papugę, która dostawała takiej depresji, że spadała z patyka w klatce.

— Znowu widziałam Wstrętnego Chłopaka, ale zamierzałam porozmawiać o tym z tobą, jak skończymy — powiedziała Rum.

Jack przysiadł na piętach.

— Tutaj?

— Właśnie. Między drzewami. Tyson musiał złapać jego zapach, jednak z jakiegoś powodu nie chciał się do niego zbliżyć. Chyba się bał.

— Bał? Czego?

— Nie mam pojęcia, ale wiesz, jaki on jest wrażliwy. Zostawiłam go wtedy, sama podeszłam do tego chłopaka i zapytałam, czego ode mnie chce.

— I co powiedział?

— Że powinnam zostawić go w spokoju, bo będą kłopoty.

— Zostawić go w spokoju? Przecież to chyba on za tobą chodzi.

— Też mu to powiedziałam, ale powtórzył tylko, że jeśli nie zostawię go w spokoju, narobi się strasznie. Właśnie takich słów użył: „narobi się strasznie”.

— Musisz koniecznie powiedzieć o tym Magruderowi. Co ten dzieciak tu robił? To już drugi pożar, w pobliżu którego się pojawił. Nawet dla dorosłego nie jest to przyjemny widok, a co dopiero dla kogoś w jego wieku...

— Nie mówiłam ci o tym, ale widziałam go też dwa razy pod moim domem.

— Pod twoim domem? To poważna sprawa. Tym bardziej musisz powiedzieć o tym Ronowi. Lepiej dmuchać na zimne. Chociaż to tylko dzieciak, może być groźny. Pamiętasz tego starszego gościa w parku Studebakera w ubiegłym roku? Zakłuł go nożem dziewięciolatek, któremu nie chciał odrzucić piłki baseballowej.

— Nie martw się. Powiem o tym Ronowi, ale nie chcę popadać w paranoję.

— Chyba sobie żartujesz. Na twoim miejscu dostałbym paranoi jak cholera. Mamy trzy przypadki bardzo podejrzanych pożarów, w których spalili się ludzie, a przy dwóch pojawia się ten sam chłopak. Już mówiłem, że dzieje się coś naprawdę dziwnego i może ten dzieciak jest w to zamieszany. Pamiętasz, co się mówi o podpalaczach? Że lubią wracać na miejsce pożaru, aby popatrzeć na swoje dzieło.

— Może masz rację, choć nie jestem pewna, czy... Ktokolwiek wywołał te pożary, na pewno nie był amatorem. Porozmawiamy o tym później, dobrze? Skończmy najpierw z autobusem.

— Jak sobie życzysz, szefowo — odparł Jack. — Ty tu rządysz, ale zapamiętaj moje słowa: powinnaś mieć oko na tego Wstrętnego Chłopaka. Jest naprawdę wstrętny.

Wrócił do zbierania próbek popiołu i wkrótce dotarł do zwęglonych zwłok kobiety przy drugim rzędzie siedzeń. Starając się nie dotknąć szczątków, poświecił latarką i zajrzał pod sąsiednie fotele.

— Szefowo! — zawołał po chwili. — Rzuć na to okiem!

Ruth podeszła do niego i uknęła. Dłoń kobiety była pozbawiona skóry i powyginana jak szpony myszołowa, a kilka palców odpadło. Ale Jack nie wskazywał na dłoń, tylko na leżącą pod nią kupkę bladoszarego proszku.

— Czy to jest to, co myślę?

Pobrał kartonową szpatułką próbkę proszku i ostrożnie wysunął się spod siedzenia, aby dokładniej przyjrzeć się swojemu znalezisku. Proszek był miękki i bardzo drobny, jednak kiedy Ruth roztarła go między palcami w lateksowych rękawiczkach, poczuła małe kawałeczki kości.

— To popiół z kremacji — powiedział Jack. — Będę go oczywiście musiał dokładnie zbadać, ale wygląda tak samo jak ten, który znaleźliśmy przy Julie Benfield i Tildzie Frieburg.

Ruth popatrzyła na niego.

— Jack... co tu się dzieje, do diabła?

— Nie mam pojęcia, szefowo, ale pamiętasz, co się zawsze mówi na pogrzebach? „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”. Może właśnie coś takiego miało miejsce w tym autobusie? Coś w rodzaju ceremonii pogrzebowej. Tyle że skremowano tu żywych ludzi.

Rozdział 13

Obudził ją terkot telefonu.

— Craig, skarbie... — wymamrotała. — Możesz odebrać?

Nikt jej nie odpowiedział, a telefon terkotał i terkotał.

— Na Boga, Craig! Proszę cię, odbierz telefon!

W końcu terkotanie ucichło. Ruth otworzyła oczy, usiadła i zamrugowała. W pokoju panował półmrok, ale zegarek przy łóżku wskazywał 10:17. Łóżko po stronie Craiga było puste, tylko wgniecenie na poduszce i skręcona kołdra wskazywały, że w ogóle tam spał.

Wstała z trudem. Całe ciało miała sztywne i posiniaczone, jakby spędziła zbyt wiele czasu na siłowni. Zdjęła z oparcia krzesła różowy szlafrok i zeszła na dół.

— Craig! Jeff! Ammy!

Dom był pusty. Niebo za oknami miało barwę grafitu, w dalszym ciągu lał deszcz. W kuchni pachniało kawą i tostami, a na stole leżała kartka.

POMYŚLAŁEM, ŻE BĘDZIESZ CHCIAŁA SIĘ WYSPAĆ,
WIĘC SAM ZABRAŁEM JEFFA I AMMY DO SZKOŁY.
DO ZOBACZYSKA.

CRAIG

Usiadła na stołku i przeciągnęła palcami przez włosy. Czuła się okropnie. Spędziła z Jackiem ponad siedem godzin na badaniu wnętrza wypalonego autobusu i wyjechali z parku Bon Air dopiero po wpół do czwartej rano. Zrobiła ponad trzysta zdjęć, pobrała mnóstwo próbek włókien, tworzyw i ludzkich szczątków, ale gdy opuszczali miejsce zdarzenia, w dalszym ciągu nie miała pojęcia, jak doszło do wybuchu pożaru ani jak szybko się rozprzestrzenił.

Zazwyczaj zaczynała wizualizować pożary od pierwszej chwili po dotarciu na miejsce zdarzenia. Niemal natychmiast potrafiła powiedzieć, czy ogień był przypadkowy, czy wywołany rozmyślnie. Jedną z pierwszych wskazówek był sam wygląd miejsca — zwłaszcza teraz, kiedy wiele firm miało problemy finansowe. Salony meblowe, sklepy jubilerskie, agencje nieruchomości, sklepy ze zdrową żywnością, księgarnie, sklepy z elektroniką — we wszystkich tych przypadkach istniało spore prawdopodobieństwo podpalenia przez właścicieli, gdy groziło im bankructwo. Najbardziej charakterystycznymi śladami były puste szafki, w których przechowywano dokumentację handlową, oraz brak przedmiotów o wartości materialnej i sentymentalnej, na przykład zdjęć rodziny. Musiała tylko sprawdzić, gdzie

zaczął się ogień, jak szybko się rozprzestrzenił i czy zablokowano drzwi, aby utrudnić dostęp strażakom.

Ale pożary, w których zginęły Julie Benfield i Tilda Frieburg oraz emeryci siedzący w autobusie Spirit of Kokomo, choć wydawały się ze sobą powiązane, nie należały do tej kategorii. W każdym z tych trzech przypadków brakowało motywu — nie była to zemsta, akt wandalizmu ani oszustwo ubezpieczeniowe — i każdy z nich był niemożliwy do wyjaśnienia. Wnętrze autobusu osiągnęło temperaturę ponad tysiąca pięciuset stopni Celsjusza — wystarczającą do stopienia stali, jednak nic nie wskazywało na to, by do rozpalenia ognia użyto jakiegokolwiek środka zapalającego. Z wyjątkiem niemal zupełnie zwęglonej kobiety w drugim rzędzie wszystkie ofiary przypominały kurczaki upieczone w piecu konwekcyjnym.

Zajrzała do ekspresu i stwierdziła, że Craig nasypał już do niego świeżej kawy, więc pozostawało jej tylko włączyć urządzenie. Była głodna, ale nie miała ochoty na wczorajszego kurczaka — po tylu godzinach zbierania łuszczących się próbek skóry z ośmiu spalonych zwłok nawet nie mogła na niego patrzeć. Wyjęła z lodówki jogurt jagodowy i oderwała folię z wierzchu pojemnika.

Kiedy podnosiła do ust pierwszą łyżeczkę, ponownie zadzwonił telefon.

— Cześć, szefowo — powiedział Jack. — Znowu leje. Kiedy zamierzasz przyjechać?

— Jak tylko na dobre się obudzę. Gdzie jesteś?

— W laboratorium. Właśnie dzwonił do mnie Aaron

Scheinman. Nie uwierzysz, ale popioły pobrane z wanny Tildy Frieburg są identyczne z tymi znalezionymi w materacu, na którym spłonęła Julie Benfield. Omal nie zakrztusiła się jogurtem.

— Słucham?

— Dobrze słyszałaś. Obie próbki popiołu pochodzą od tej samej osoby.

— Nie rozumiem... To by oznaczało, że sprawca po dzielił czyjeś skremowane szczątki i zostawił je w dwóch różnych miejscach, w których dokonano podpalenia. Dla czego? Po co?

— Nie pytaj, szefowo. *Es un misterio.*

Ruth zastanawiała się przez chwilę.

— W takim razie nie mówimy już o skremowanym dziecku, prawda? Mówimy o dorosłym płci męskiej.

— Tak przypuszczam.

— Posłałeś Aaronowi próbkę popiołu, który znaleźliśmy w autobusie?

— Oczywiście. Obiecał przysłać mi wyniki dziś wczesnym popołudniem. Może nawet wcześniej.

— Czyżbyś myślał o tym samym co ja?

— Chcesz powiedzieć, że popiół z autobusu może pasować do pozostałych dwóch próbek? Jeśli rzeczywiście by tak było, mielibyśmy do czynienia nie tylko z dorosłym mężczyzną, ale z bardzo dużym dorosłym mężczyzną.

— No cóż... mamy w tej chwili prawie dwa kilogramy prochów. Ile pozostaje po kremacji przeciętnego dorosłego mężczyzny? Jakies dwa i pół albo niewiele więcej, prawda?

Trzy kilogramy zostałyby po gigancie, po kimś takim jak Primo Carnera*.

— Od tego wszystkiego boli mnie już głowa — poskarżył się Jack.

— Daj spokój. Zastanów się. Pożary nie wybuchają bez powodu. Pamiętasz ten przy South Locke Street, wywołany przez słońce, którego promienie przechodziły przez szklany wazon do kwiatów? Potrzebowałam kilku miesięcy, aby odkryć jego przyczynę, ale w końcu odtworzyłam przebieg wydarzeń.

— Być może, szefowo, ale coś mi mówi, że tych pożarów nie da się wyjaśnić. No dobrze, zabieram się teraz do badania ubrań ofiar. Kiedy się zobaczymy?

— Wpół do pierwszej?

— Doskonale. *Hasta luego.*

Ruth odłożyła słuchawkę i podeszła do ekspresu, aby nalać sobie filiżankę kawy. Znowu zadzwonił telefon.

— Cholera... — wymamrotała pod nosem.

Miała ochotę go zignorować, jednak dzwoniący nie rezygnował, więc w końcu podniosła słuchawkę.

— Ruth? *Cześć*, doktor Beech przy aparacie.

— Witam, pani doktor. Proszę wybaczyć, że nie odbierałam... przepracowałam prawie całą noc i jeszcze nie do końca się obudziłam.

* Kiedy Carnera był czynnym zawodnikiem (lata 30. XX wieku), inni bokserzy ważyli prawie 30 kg mniej od niego i byli o 20 cm niżsi, więc nadano mu przydomek Chodzące Alpy.

— Przepraszam, jeśli przeszkodziłam, ale dzwonił Martin Watchman. Wyjechał już z Chicago i powinien być u nas po południu.

— No, no. Nie marnuje czasu.

— Całkiem możliwe, że ten młody człowiek cierpi na halucynacje i nic z tego, o czym mówił, nie działo się naprawdę. Jednak lęki Amelii również mogą mieć oma mowy charakter i wtedy porównanie ich z doznaniem Martina pomoże nam zrozumieć, co się dzieje.

— Rozumiem, oczywiście, ale zgodzę się na to spotkanie tylko wtedy, jeśli Ammy będzie chciała, a on nie wystraszy jej jeszcze bardziej.

— Powiedział, że przyjedzie jak najszybciej, ponieważ uważa, że sprawa jest bardzo pilna. Nie mam pojęcia, na ile poważnie powinniśmy to traktować, jednak Martin uważa, że odczucia Amelii wskazują na zbliżanie się katastrofy i nastąpi ona raczej wcześniej niż później.

— Katastrofy? Jakiego rodzaju? Tornada? Trzęsienia ziemi?

— Nie chciał mówić o szczegółach, twierdził, że musi najpierw porozmawiać z Amelią. Wiem tylko jedno: bardzo go zainteresował Wstrętny Chłopak. Powiedział, że ten dzieciak może być kluczem do wszystkiego.

— A powiedział, w jaki sposób? Albo dlaczego?

— Prawdę mówiąc, kiedy to usłyszałam, sama zaczęłam się zastanawiać, czy pomysł sprowadzenia Martina do

Kokomo nie był błędem... Może rzeczywiście ma trochę nierówno pod sufitem?

— Co sprawiło, że zmieniła pani zdanie?

— Zapytał, czy w okolicy miały miejsce jakieś dziwne pożary.

— Słucham?

— No właśnie... mnie też to zaskoczyło. Nie rozmawialiśmy o pożarach i nawet nie wiedział, że pani jest inspektorem wydziału do spraw podpaleń. Nie chodziło mu o pożary w ogóle, ale o pożary ze śmiertelnymi ofiarami. Wtedy mu powiedziałam, kim pani jest.

W czarnym szkle drzwiczek piecyka Ruth widziała odbicie swojej twarzy. Wyglądało to tak, jakby w środku uwieczony był duch.

— Wie pani o tym, że na początku tego tygodnia zajmowałam się dwoma pożarami, w których spłonęły dwie kobiety? Dziś w nocy byłam na miejscu trzeciego. W parku Bon Air spalił się autobus Spirit of Kokomo z ośmioma emerytami w środku. Wszyscy zginęli i na razie nie mamy pojęcia, w jaki sposób doszło do wybuchu tego pożaru.

— Dowiedziałam się tego dziś rano z wiadomości — odparła doktor Beech. — Jakies pięć minut przed telefonem Watchmana. Chyba właśnie to przekonało mnie ostatecznie, że warto z nim porozmawiać.

— O której ten człowiek może do nas dotrzeć?

— Powinien zjawić się tu o trzeciej, może wpół do czwartej. To zależy od ruchu na I-dziewięćdziesiąt. Po-

wiedział, że zarezerwował już sobie pokój w hotelu Courtyard. Ma do mnie zadzwonić, gdy tylko dojedzie na miejsce.

♦ ♦ ♦

Kiedy Ruth weszła do laboratorium, Jack badał zwęgloną tkaninę pobraną z siedzenia autobusu.

— Wyglądasz na wykończonego — stwierdziła. — Powinieneś wziąć sobie kilka godzin wolnego.

Pomasował czoło opuszkami palców, jakby czuł zbliżenie się ataku migreny.

— Im więcej mam danych dotyczących tych dziwnych pożarów, tym mniej rozumiem — mruknął. — I coraz bardziej mnie to wszystko niepokoi. Rozmawiałaś z Ronem Magruderem o Wstrętnym Chłopaku?

— Jeszcze nie, ale wkrótce to zrobię.

— Możesz znowu zobaczyć tego dzieciaka. Mam przeżucie, że to jeszcze nie koniec...

— Dlaczego tak uważasz?

— Bez żadnych racjonalnych powodów. To tylko przeżucie — odparł Jack i odwrócił się, jakby nie chciał, aby Ruth widziała wyraz jego twarzy.

Zaniepokoiło ją to.

— Jack, co się dzieje? — zapytała.

— Nic, jestem tylko zmęczony.

— Powiedz mi. Nie musisz się odwracać. Powiedz.

Jack milczał przez chwilę, a potem wymamrotał:

— Nigdy ci o tym nie mówiłem... właściwie nie mó-

wielem nikomu, ale... Lois odebrała sobie życie, polewając się benzyną i podpalając.

— Jezu, Jack...

— To już nie ma znaczenia. Bez względu na to, w jaki sposób by to zrobiła, podcięła sobie żyły, przedawkowała leki nasenne czy rzuciła się pod ciężarówkę, tak samo trudno byłoby mi się z tym pogodzić... Co za różnica?

— Przykro mi.

Jack odwrócił się do niej. Jego oczy były wypełnione łzami, ale próbował się uśmiechać.

— Poradziłem już sobie z tym... choć nie do końca. Kiedy wróciłem tamtego dnia do domu, wiedziałem, co się stało, zanim otworzyłem drzwi do kuchni, bo przecież wiem, jak pachnie spalone ciało. To jednak nie wszystko. Chodzi o to, co było potem...

— To znaczy?

— Została skremowana. Zakład pogrzebowy dokończył to, co sama zaczęła. Wziąłem prochy do domu i po stawie urnę na parapecie w oranżerii, żeby była blisko kwiatów i mogła słyszeć dobiegający z zewnątrz śpiew ptaków.

Ruth nie odzywała się. Jack nigdy jeszcze nie mówił o śmierci swojej żony, więc nie chciała mu przerywać.

— Jakiś miesiąc później wyjrzałem przez okno i... Jezus Maria, stała w ogródku. Patrzyła na dom. Miała związane z tyłu włosy i była ubrana w tę samą purpurową sukienkę, w której umarła. — Jack zamilkł na chwilę, po czym dodał: — Dziwne, ale się nie bałem. W końcu to

była tylko Lois... Jakoś nie docierało do mnie, że nie żyje i nie może stać w ogródku. Znowu zamilkł i otarł łzy kostkami dłoni jak małe dziecko.

— Co wtedy zrobiłeś?

— Wyszedłem, żeby z nią porozmawiać. Chyba byłem zły, że mnie zostawiła, ale jednocześnie miałem ochotę ją objąć i powiedzieć, jak bardzo za nią tęsknię. Kiedy ktoś, kogo kochasz, odbiera sobie życie, pojawia się mnóstwo pytań, na które nie ma odpowiedzi. Właśnie dlatego to jest takie trudne. Człowiek bez przerwy się zastanawia, czy to nie jego wina.

— Co się stało, kiedy wyszedłeś na zewnątrz?

Skrzywił się boleśnie.

— Nie było jej. Czego się spodziewałem? Obszedłem cały dom, ale choć nigdzie jej nie zobaczyłem, nadal nie mogłem uwierzyć, że to tylko złudzenie. Jej postać była zbyt wyraźna... w dodatku rzucała cień na taras.

— Mówiłeś komuś, że ją widziałeś?

— Nie mogłbym. Jestem przecież Panem Pragmatykiem. Gdyby szef się o tym dowiedział, prawdopodobnie zwolniłby mnie i posłał do wariatkowa.

— Jack, po utracie bliskiej osoby wielu ludziom się wydaje, że ją widzą. Kiedy umarł mój ojciec, ciągle widziałam mężczyzn, którzy wyglądali tak samo jak on. Na ulicy, w sklepie. Kilka razy zawołałam nawet za nimi: „Tato!”, jednak kiedy się odwracali, okazywało się, że to ktoś inny.

Jack pokręcił głową.

— To było coś innego. To nie była kobieta, która wyglądała jak Lois, ale to była Lois. Poza tym do mojego ogródka nie można dostać się inaczej jak przez oranżerię.

— Co chcesz mi przez to powiedzieć? Jaki ma to związek z Wstrętnym Chłopakiem?

— Widziałem ją ponownie. Jakiś tydzień później. Stała w tym samym miejscu, miała na sobie tę samą sukienkę i tak samo patrzyła na dom. Tego poranka była mgła, więc wyglądała jak duch. Nie wyszedłem na zewnątrz. Stałem i obserwowałem ją. Po jakichś pięciu minutach odwróciła się, przeszła przez trawnik i zniknęła za drzewem. Gdy wyszedłem na zewnątrz, nigdzie jej nie było. Zniknęła. *Desaparecido*. Tak samo jak Wstrętny Chłopak. Dwa dni później pojawiła się ponownie. Kiedy wszedłem do oranżerii, zobaczyłem ją za oknem. Patrzyła na urnę... jakby nie mogła uwierzyć, że to jej własne prochy. Stała tak blisko, że szyba zaparowała od jej oddechu. Podeszedłem do okna i popatrzyłem na nią, ale nie odwzajemniła spojrzenia... ani razu nie podniosła na mnie wzroku. Potem odeszła tak samo jak poprzednio i zniknęła za drzewem. Tym razem nie poszedłem za nią, bo wiedziałem, że jej nie znajdę.

— Co potem zrobiłeś?

— Nie uwierzysz, ale porozmawiałem z pastorem z parafii Świętego Łukasza, McConnellem. Potraktował mnie bardzo wyrozumiale i współczująco, choć prawdopodobnie uważał, że mam nie po kolei w głowie. Powiedział, że muszę sobie wybaczyć to, co się stało, i zamiast trzymać prochy Lois w urnie, powinienem ją uwolnić. Dodał, że

większość ludzi właśnie dlatego popełnia samobójstwo... dlatego, że w ich życiu istnieje coś, od czego bardzo chcą się uwolnić. Jeszcze tego samego dnia pojechałem z urną do publicznego ogrodu przy Ivy Tech. Lois lubiła to miejsce i zanim zachorowała, uprawiała w nim owoce i warzywa. Chodziłem po ścieżkach i dyskretnie wysypywałem prochy na grządki ziemniaków. Odmawiałem przy tym coś w rodzaju modlitwy, powierzając jej duszę Bogu. Lois nie była religijna, nie więcej niż ja, ale wiesz, nie chciałem pozbawiać jej tej możliwości... na wypadek gdyby jednak Bóg istniał i zechciał się nią zaopiekować. Ruth pokiwała głową i bez słowa czekała, aż skończy mówić.

— Nigdy więcej się nie pojawiła. Czasami żałuję, że rozsypałem jej prochy, bo mógłbym od czasu do czasu na nią popatrzeć, ale jeśli ten pastor miał rację, dałem jej to, czego szukała, czyli wolność.

— Sądysz, że coś podobnego dzieje się teraz? Myślisz, że Wstrętny Chłopak jest martwy i skremowany, ale pojawia się wśród żywych, ponieważ ktoś przechowuje jego prochy?

— Brzmi absurdalnie, prawda?

— Oj, prawda...

Jack przez chwilę zastanawiał się nad czymś.

— Masz rację — powiedział w końcu. — Muszę przez kilka godzin odpocząć. Rozgryziemy tę zagadkę. Może nie będą to promienie słoneczne przechodzące przez wazon, ale także nie zwidy, duchy czy martwe dzieciaki szukające swoich prochów.



Rozdział 14

Gdy rozległ się trzask drzwi stajni, Nadine kończyła czyścić Bronze Star wielkim gumowym zgrzebłem. Pogoda od rana była wietrzna, więc jej to nie zaskoczyło, ale ogier zarżał i załomotał kopytami o ziemię, jakby coś go mocno zaniepokoiło.

— Nie denerwuj się — powiedziała, klepiąc go po boku. — Nie ma się czego bać.

Bronze Star od urodzenia był bardzo nerwowy, więc nie nadawał się dla dzieci ani niedoświadczonych dorosłych i ubiegłej wiosny ojciec Nadine stwierdził, że powinni go sprzedać i pomyśleć o kupieniu spokojniejszego zwierzęcia. W końcu zarabiali na życie wynajmowaniem koni i dawaaniem lekcji jazdy. Bronze Star stanowił poważne ryzyko. Mogło na nim jeździć jedynie kilka osób, a trzeba go było karmić, leczyć i ubezpieczać jak każdego innego konia. Zrezygnował z tego pomysłu tylko dlatego, że kasztanowy ogier był ulubieńcem Nadine. Dziewczyna uważała, że

Bronze Star doskonale rozumie, co do niego mówi, i gdyby mógł, zawsze by jej odpowiadał.

Drzwi stajni znowu huknęły, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Nadine odłożyła zgrzebło do torby i zapięła ją, pocałowała swojego pupila w nos, po czym wyszła z boksu i zarygłowała drzwi.

Kiedy się odwróciła, w głębi przejścia zobaczyła trzech mężczyzn. Mieli na sobie sięgające niemal do ziemi czarne płaszcze i białe maski na twarzach — jedna była histerycznie uśmiechnięta, druga wyszczerzona, a trzecia bez wyrazu. Drzwi za przybyszami bujały się szaleńczo na wietrze, niebo na zewnątrz było ciemne i co chwila błyskało. Na ramionach mężczyzn migotały krople deszczu.

— Mogę panom w czymś pomóc? — zapytała.

Nie przestraszyła się, bo do stajni Weatherfield przyjeżdżało wielu ludzi w dziwnych kostiumach — zwłaszcza jeżeli szykowali się do wieczoru kawalerskiego lub jakiejś innej specjalnej imprezy. Nadine obsługiwała już klientów przebranych za Batmana, X-Mena i Jaskiniowców. W ubiegłym miesiącu pojawiła się nawet grupa mężczyzn poprzebieranych za gejsze.

— Pomóc nam? — powtórzył przybysz w uśmiechniętej masce, rozejrzał się wokół i zakaszłał. — To zależy...

— Słucham?

Zamaskowany mężczyzna powoli podszedł bliżej — tak blisko, że Nadine poczuła się nieswojo. Próbowwała dostrzec jego oczy, ale wycięcia w masce były czarne i puste.

— Powiedziałem, że to zależy. — Głos mężczyzny był

zachrypnięty, jakby przybysz chorował na astmę albo się przeziębził. — Zrobisz to, czego od ciebie chcemy, czy będziesz nam sprawiać kłopoty?

— Dlaczego miałabym sprawiać wam kłopoty?

— Nie wiem. Zastanów się. Mogłabyś na przykład zacząć krzyczeć. Wołać o pomoc.

Nadine sięgnęła do kieszeni swojej watowanej kamizelki i wyjęła telefon.

— Pozwoli pan, że zadzwonię do taty. Czegokolwiek pan sobie życzy, on załatwi to lepiej ode mnie. Ja tu tylko sprzątam.

Uśmiechnięty złapał ją za nadgarstek i wyrwał jej telefon.

— Daj spokój. Nie będziemy potrzebowali twojego starego. W tej sprawie tylko ty możesz nam pomóc, cukiereczku.

Nadine poczuła, że zaczyna ogarniać ją strach.

— O co chodzi? — zapytała. — Tata zaraz powinien się tu zjawić... na pewno panom pomoże. Zna na pamięć wszystkie ceny i ma prawo przyznawać zniżki, na przykład może wynająć wam trzy konie za cenę dwóch.

— No tak, tyle że my nie przyjechaliśmy tutaj po to, by wynająć konie.

— Więc czego panowie sobie życzą? Jeżeli mogę być w czymś pomocna, chętnie pomogę, ale jeśli nie, chyba lepiej będzie, jeżeli panowie sobie pójda.

Uśmiechnięty pochylił się w jej stronę, a ponieważ nie poruszył nogami, jego ciało przybrało pozycję, która wydawała się zaprzeczać prawu grawitacji.

— No, no... — mruknął. — Chyba jesteś z tych wrednych. — Zakaszłał. — Jasne loki, ładny, lekko zadarty nosek, oczy wielkie jak talerzyki. Wyglądasz tak apetycznie, że ma się ochotę cię zjeść.

Gardło Nadine zacisnęło się, a serce tak mocno waliło, że rozboleły ją żebra.

— Proszę sobie iść — powtórzyła.

Ojciec był w mieście na spotkaniu z księgowym i wiedziała, że nie wróci przez kilka godzin. Matka pojechała na trzy dni do Cleveland, do siostry. W domu zostali tylko służąca Córa i Duncan, który wprawdzie umiał wszystko naprawić, ale był bystry jak przegrodzony tamą potok.

— Nie, laleczko, nigdzie się nie wybieramy — odparł Uśmiechnięty. — Przynajmniej dopóki nie dostaniemy tego, po co tu przyszliśmy. A wygląda na to, że przyszliśmy po ciebie.

— Nawet nie wiem, kim jesteście, więc czego moglibyście ode mnie chcieć?

— Jesteś dziewczyną stajenną, prawda? A może raczej należałoby powiedzieć: „przystójenną”? W każdym razie jesteście dość podobne, choć muszę przyznać, że jesteś od niej znacznie ładniejsza. I ładniej pachniesz. Talkiem i świeżością. To przyjemniejsze od zapachu poru, końskich odchodów i niemytych włosów.

— Nie mam pojęcia, o czym ani o kim pan mówi, ale najlepiej będzie, jeśli sobie pójdziecie.

— O, nie... jeszcze przez chwilę zostaniemy. — Męż-

czyzna miał dziwny akcent, którego Nadine nie potrafiła umiejscowić. — Musimy przeprowadzić eg-zor-cyzm i nie możemy odejść, dopóki tego nie zrobimy, o nie, droga pani, juppi-ja-jaaa! Musimy pozwolić odnaleźć spokój kilku duszom i naprawić parę złych rzeczy. Bardzo złych... nawet nie jesteś sobie w stanie wyobrazić jak bardzo. Więc nic z tego, droga pani, nie odejdziemy.

— Kim jesteście? — zapytała.

Poczuła przypływ odwagi, bo narastała w niej złość i podniósł jej się poziom adrenaliny. Bronze Star rżał i kopał w ścianę boksu, najwyraźniej wyczuwając, że coś jest nie tak.

— To nieistotne, skarbie — odparł Uśmiechnięty. — W każdym razie dla ciebie. A teraz rozbierz się, moja droga.

— Oszalał pan? Nie będę się rozbierać! Idźcie sobie, zanim mój tata wróci!

Uśmiechnięty pokręcił głową.

— Wiemy, gdzie jest twój tata, cukiereczku, i wiemy, że nie zjawi się w domu szybciej niż za kilka godzin. Dlaczego więc nie chcesz zachowywać się jak grzeczna dziewczynka i nie rozbierzesz się szybciutko do naga, żeby zrobić przyjemność swoim gościom?

— Mowy nie ma! Nic z tego! Wyoście się stąd!

— Jak chcesz — odparł Uśmiechnięty i uniósł obie dłonie, jakby się poddawał. — Jeśli nie masz zamiaru z nami współpracować, będziemy musieli spróbować innej metody.

Trzasnął palcami i Obojętna Mina wyjął z kieszeni nóż kuchenny o wąskim ostrzu mającym przynajmniej dwadzieścia centymetrów długości.

— Nie! — krzyknęła Nadine. — Nie! Co robicie?!

Rzuciła się w lewo, a potem w prawo, zamierzając przebiec obok Uśmiechniętego, ale on błyskawicznie złapał ją za rękaw i odwrócił. Kiedy przyciągnął ją do siebie, poczuła mocny apteczny zapach.

— Naprawdę mi przykro — powiedział i znowu zaczął kaszleć. — Nie da się uniknąć tego, co musi zostać zrobione — stwierdził.

Obojętna Mina podszedł do boksu sześciolatniej orzechowej klaczy o imieniu Maggie May, złapał ją za grzywę i przyciągnął jej łeb. Klacz próbowała się cofnąć, ale Obojętna Mina szarpnął mocniej.

— Chodź do mnie, ty pieprzony czworonogi wrzodzie na dupie! — warknął i przystawił zwierzęciu nóż do tchawicy.


— Nie! — wrzasnęła Nadine.

Uśmiechnięty przysunął się do niej jeszcze bliżej — niemal dotykając maską jej twarzy.

— Twój wybór — wychrypiał. — Poprosiłem cię o współpracę, prawda? Prosiłem tylko, żebyś zachowywała się miło. Współpracuj z nami... proszę. Jeżeli się nie zgodzisz, nie zrobimy ci krzywdy, ale ta klacz zginie... i to w paskudny sposób.

Nadine zaczęła dygotać.

— Zimno ci? — spytał Uśmiechnięty. — Nie mów



tylko, że ci zimno. Chcemy, żebyś się rozebrała, więc nie możesz czuć zimna!

— Niech pan mnie puści...

— Dlaczego miałbym cię puścić?

— Proszę... — powtórzyła Nadine. Po jej policzkach spływały łzy i nie mogła powstrzymać rozpaczliwego szlochu. — Co ja wam zawiniłam? Rozbiorę się, skoro pan sobie tego życzy...

— Zrobisz też kilka innych rzeczy, o którychprawdopodobnie nigdy nie słyszałaś. A teraz powiedz mi: który koń jest twoim ulubieńcem?

Nie mogła się powstrzymać i zerknęła na Obojętną Minę. Kiedy to zauważył, powoli przeciągnął nożem po szyi Maggie May — nie na tyle głęboko, aby przeciąć tętnicę, ale wystarczająco, aby po szyi klaczy zaczęła spływać krew, co wyglądało, jakby miała na niej czerwony szal.

— Nie krzywdźcie jej! Proszę... zróbcie ze mną, co chcecie, ale jej więcej nie rańcie!

— Pytałem, który z tych koni jest twoim ulubieńcem.

— To nie są zwierzęta do towarzystwa. Nie mamy wśród nich ulubieńców.

— Daj spokój, musisz któregoś z nich lubić bardziej niż pozostałe. Co powiesz na tego ogiera? — Popatrzył na plakietkę z imieniem przybitą u szczytu boksu. — Bronze Star... Wygląda nieźle, prawda? Błyszczący jak buty handlowca. I ma niezłego ptaszka. Prawie tak dużego jak mój, kiedy mam odpowiedni nastrój.

— Przecież mówię, że nie mam żadnego ulubieńca — powtórzyła Nadine.

Bała się, że jeśli ujawni swoje uczucia wobec kasztanowego ogiera, zrobią mu krzywdę, a może nawet zabiją.

— To piękne zwierzę — stwierdził Uśmiechnięty. — Moglibyśmy zacząć od niego i iść przez całą stajnię, aż znajdziemy konia, którego najbardziej lubisz.

Dał znak Obojętnej Minie, by puścił grzywę Maggie May i podszedł do boksu ogiera. Bronze Star zarżał i zaczął kopać. Mężczyzna zatrzymał się i wyciągnął palec w jego stronę.

— Masz przestać się wygłupiać, rozumiemy się? — powiedział. — Musisz natychmiast się uspokoić.

Bronze Star zarżał i przewrócił oczami. Obojętna Mina nie przestawał celować w niego palcem, jakby miał do czynienia z niesfornym dzieckiem. Po chwili koń przestał kopać i szurać kopytami po ziemi i znieruchomiał z opuszczonym łbem. Obojętna Mina otworzył drzwi boksu i wszedł do środka.

Nadine patrzyła na to ze zdumieniem i niepokojem. Jeszcze nigdy nie widziała, aby ktoś tak łatwo i szybko spacyfikował Bronze Stara. Nawet doświadczeni koniarze bardzo długo musieli go obłaskawiać — przypochlebiać się mu, poklepywać go i przyzwyczajając do swojego zapachu.

— Mój przyjaciel doskonale umie sobie radzić z końmi — powiedział Uśmiechnięty. — A także z psami, nawet

pitbullami. Myślę, że chyba zwierzaki się go boją. Zresztą mnie też czasem przeraża.

Obojętna Mina uniósł dłoń z nożem i zatrzymał ostrze dwa centymetry od lewego oka konia. Bronze Star nawet nie drgnął, nie podniósł łba, nie odsunął się.

— Wiesz, co zrobię? — zapytał Obojętna Mina, patrząc na Nadine. — Najpierw go oślepię. Spanikuje, więc serce zacznie mu bić znacznie szybciej, a kiedy przetnę aortę, krew będzie tryskać jak z węża strażackiego.

Nadine wahała się przez parę sekund, po czym zdjęła kamizelkę i pozwoliła opaść jej na podłogę. Zaczęła rozpinać koszulę.

Uśmiechnięty obserwował ją uważnie.

— Nie przestawaj — ponaglił ją z kaszlnięciem, kiedy w końcu uporała się z mankietami koszuli i ściągnęła ją.

Sięgnęła na plecy i rozpięła biustonosz. Stała z obnażonymi piersiami i buntowniczo patrzyła na swojego dręczyciela.

— Niech pan tylko nie rani żadnego z moich koni, niczego więcej nie chcę — powiedziała.

— Nawet sobie nie byłabyś w stanie wyobrazić tego, co zamierzamy zrobić — odparł Uśmiechnięty.

— Masz małe cycki — stwierdził Wyszczierzony. — Nie to co jej. Jej były wielkie...

Uśmiechnięty uniósł dłoń, dając mu znak, że ma się uciszyć.

— Kontynuuj, skarbie — polecił Nadine.

Zdjęła kalosze, bryczesy i majtki. Miała dopiero siedem-



naście lat i do tej pory rozbierała się tylko przy jednym mężczyźnie — Peterze Vandermeerze, dwudziestoletnim studencie Ivy Tech. Ich związek trwał tylko dwa miesiące i potem już nigdy nie stała naga przed mężczyzną. Czuła złość, była zażenowana i jeszcze nigdy w życiu tak bardzo się nie bała.

Drzwi stajni ponownie załomotały o framugę i zimny wiatr wniósł do środka tuman trocin.

— To, co zrobimy za chwilę, nazywa się przetrzebieniem — powiedział Uśmiechnięty. — Wiesz, co to znaczy? Najogólniej mówiąc, chodzi o usunięcie nadmiaru zwierząt.

— Proszę nie ranić moich koni. Obiecał pan...

— *Moi?* Nie będę ranił twoich koni. Ty się tym zajmiesz. To jest odtworzenie, skarbie, i jeśli ma czemukolwiek posłużyć, musi zostać przeprowadzone dokładnie tak samo, jak było pierwotnie. Proszę o nóż.

Wyciągnął otwartą dłoń wnętrzem do góry, a Obojętna Mina położył na niej nóż.

Uśmiechnięty podszedł do Nadine i przysunął nóż do jej twarzy, zatrzymując go kilka centymetrów przed nią. Trzęsąc się z przerażenia, patrzyła na błyszczące ostrze i nerwowo przełykała ślinę, przekonana, że mężczyzna za chwilę ją zrani. Ale on odwrócił nóż rękojeścią w jej stronę.

<— Weź go — powiedział. — Weź, proszę.

Chwyliła nóż. Dygotała tak mocno, że omal nie wypuściła go z dłoni.

— Ile macie tu koni?

— Osiemnaście.

— Hmm... wygląda na to, że jest ich o siedem za dużo. Chcę, żebyś wybrała siedem i poderżnęła im gardła.

— Co?! Nie mogę! Nie może mi pan tego kazać! Nie mogę tego zrobić!

— Jeśli tego nie zrobisz, skarbie, umrzesz w najmniej przyjemny sposób, jaki będziemy w stanie wymyślić, więc wybór należy do ciebie. Konie albo ty. Daj spokój... wybaczą ci, kiedy dostaną się do końskiego nieba. Zrozumieją, że nie miałaś wyboru. A może nie? Nie są chyba zbyt mądre, bo inaczej nie pozwoliłyby pierwszemu lepszemu dupkowi włożyć sobie na grzbiet. A może tak? — Ujął Nadine za łokieć i podprowadził ją do kasztanowego ogiera. — Wystarczy jedno głębokie cięcie. Szybkie i głębokie. On nic nie poczuje.

Bronze Star stał bez ruchu z opuszczonym łbem, jakby Obojętna Mina go zahipnotyzował.

— Nie mogę... — jęknęła Nadine.

— Zrób to. Nie będzie miał ci tego za złe.

— Nie mogę!

— Więc miałem rację. To on jest twoim ulubieńcem.

W takim razie spróbujmy z innym koniem.

Trzymając Nadine za łokieć, poprowadził ją do innych boksów. Wyszczerezony i Obojętna Mina szli krok w krok za nimi.

— Co powiesz na tego starego pryka?

W następnym boksie stał czarny ośmiolatek z cienkim białym paskiem na nosie — był to Nightlight. Większość koni w stajniach Weatherfield miała powyżej pięciu lat,

bo starsze zwierzęta były spokojniejsze i rzadziej zrzucały jeźdźca przy przeskakiwaniu pierwszego płotu. Nadine pokręciła głową.

— Nie...

Wypuściła nóż z ręki, ale Uśmiechnięty natychmiast go podniósł i podał jej.

— Musisz to zrobić, nie rozumiesz? Inaczej egzorcyzm nie zadziała i będzie to twoja wina. Nie spodoba się to bogom złego losu. Trzeba ich przebłagać, bo inaczej może się nam przydarzyć coś strasznego.

— Nie mogę go zabić... — chlipnęła Nadine. — To taki piękny koń... nie mogę.

Wyszczersony przysunął się do niej i stuknął ją papierowym nosem w tył głowy. Poczowała na nagich ramionach dotyk guzików i szorstkiego materiału jego płaszcza. Obiema rękami złapał ją za piersi i ścisnął tak mocno, że krzyknęła z bólu.

— Posłuchaj mnie uważnie... — wydyszał jej do ucha. — Natychmiast poderżniesz temu koniowi gardło, bo jeżeli tego nie zrobisz, ja oderżnę ci cycki, posiekam je i każę ci zjeść na surowo.

Nadine odwróciła się do Uśmiechniętego, ten jednak tylko skinął głową, jakby potwierdzał, że Wyszczersony zrobi dokładnie to, co powiedział, a on nie zamierza mu w tym przeszkadzać.

— Dobrze... — wychrypiała.

Wyszczersony puścił ją. Wzięła od Uśmiechniętego nóż i schowała go za plecami. Powoli zaczęła podchodzić do



Nightlighta. Kiedy się przy nim znalazła, uniosła lewą dłoń i pogłaskała go po chrapach. Koń oblizał wargi, przyzwyczajony do tego, że za każdym razem, kiedy Nadine wyprowadza go z boksu, dostaje kostkę cukru.

— Tak mi przykro, mój kochany... — szepnęła Nadine. — Wiesz, że nigdy bym cię nie skrzywdziła, prawda?

Nightlight popatrzył na nią. Była pewna, że nie tylko rozumie, co do niego mówi, ale wie także, dlaczego musi zrobić to, co za chwilę zrobi. Całe życie spędziła wśród koni i wiedziała, że są odważne, mądre i gotowe do poświęceń dla ludzi, którzy je kochają i dbają o nie.

— Trafisz do wspaniałego miejsca, Nightlight, obiecuję ci — powiedziała. — Będziesz miał tam dużo słońca i mnóstwo kostek cukru... tyle, ile tylko zdołasz zjeść.

— Na Boga, stul dziób i bierz się do roboty! — warknął Uśmiechnięty. — Niedobrze mi się robi od tej twojej gadaniny.

Przycisnęła do siebie łeb Nightlighta i wspięła się na palce. Nos konia znalazł się tuż nad jej lewym barkiem i czuła na plecach ciepły oddech. Wiedziała, że musi być zdecydowana i szybka, bo wahanie tylko przedłuży cierpienie zwierzęcia. Zamknęła oczy i uniosła nóż na wysokość szyi konia.

— Proszę, wybac mi... — wyszeptała.

Wzięła głęboki wdech i przeciągnęła nożem przez bruzdę szyjną, przecinając tętnicę, żyłę i pień współczulny — wiązkę nerwów prowadzącą z mózgu do kręgosłupa. Nightlight zachrapał i jęknął głośno — przypominało to

ludzki krzyk — a potem pochylił łeb, oblewając Nadine szerokim strumieniem ciepłej krwi.

Straciła równowagę i poleciała do tyłu, uderzając barkiem o wystającą deskę. Nightlight zwałił się na nią, ale Wyszczierzony błyskawicznie pociągnął ją za ramię i uchronił przed przygnieleniem. Upadła na wysypaną trocinami betonową podłogę i przetoczyła się na bok.

Wstała z trudem cała rozdygotana. Kiedy popatrzyła na siebie, zobaczyła, że cała jest umazana krwią. Nightlight leżał w boksie, jego nogi ciągle jeszcze lekko drgały. Kilka razy spazmatycznie wierzgnął, ale dla Nadine było jasne, że go zabiła.

Uśmiechnięty poklepał ją po ramieniu.

— Dobra robota, cukiereczku! Doskonała! Podejrzewa łąbyś, że potrafisz coś takiego zrobić?

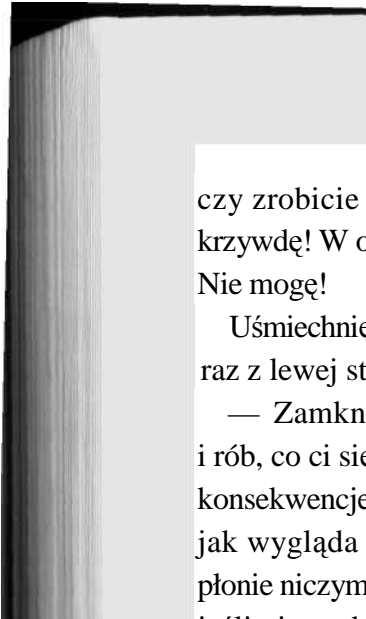
— Widzieliście, jak go zwała? — zawołał Wyszczierzony. — To było coś! Jakby dostał w łeb siekierą! Nigdy przedtem niczego podobnego nie widziałem.

— No dobrze — powiedział Uśmiechnięty. — To dopiero jeden, a zostało jeszcze sześć. Lepiej się pospieszmy, zanim tatuś Panny Słodziutkiwej wróci do domu i spróbuje popsuć nam zabawę!

Nadine pokręciła głową.

— Nie... nie mogę już zabijać. Nie każcie mi...

— Daj spokój — przerwał jej Uśmiechnięty. — Oczywiście, że możesz. Masz prawdziwy talent. Nie powinnaś pracować w stajni, ale w ubojni. Poza tym uśmiercenie siedmiu koni ma zasadnicze znaczenie. Musimy udob-



ruchać bogów złego losu, dziewczyno!
Musimy dać im to, czego pragną! Nadine
znowu zaczęła rozpaczliwie szlochać.

— Nie mogę! Nie interesuje mnie,
czy zrobicie mi
krzywdę! W ogóle mnie nie obchodzi, co ze mną zrobicie!
Nie mogę!

Uśmiechnięty podszedł i uderzył ją w twarz. Dwa razy —
raz z lewej strony i drugi raz z prawej.

— Zamknij ten swój pieprzony ryj! Zamknij mordę
i rób, co ci się każe! Nie wyobrażasz sobie, jakie byłyby
konsekwencje, gdybyś tego nie zrobiła! Chcesz zobaczyć,
jak wygląda piekło? Chcesz zobaczyć, jak cały świat
płonie niczym gigantyczny piec?! Bo to właśnie się stanie,
jeśli nie zrobisz tego, co ci się każe, i nie przestaniesz
jęczeć!

Stał nad nią, ciężko oddychając i z trudem powstrzymując
kaszel.

— Dogadaliśmy się? — zapytał po chwili. — Tak? No
to do roboty. Wybierz następnego zwycięzcę, lalka! To
lepsze od oglądania wyścigów w Indiana Downs!

Rozdział 15

Martin Watchman dotarł do kliniki Waltersa kilka minut po czwartej. Gdy jego poobijany srebrny taurus wjechał na parking pod gabinetem doktor Beech, Ammy powiedziała: „Jest! To on!”. Ruth i doktor Beech popatrzyły na siebie, ale żadna z nich nie spytała dziewczynki, skąd to wie.

W dalszym ciągu padało, a nisko wiszące chmury wydymały się na wietrze niczym brudny, szary cyrkowy namiot. Po chwili drzwiczki taurusa otworzyły się i wysiadł z niego wysoki mężczyzna w długim białym trenczu i brązowym kapeluszu z szerokim rondem. Idąc przez parking, przyciskał kapelusz do głowy, aby nie zwiął go wiatr, więc nie mogły zobaczyć twarzy. Poły jego płaszcza łopotały jak wielkie żagle. Kiedy podszedł do wejścia, zniknął im z oczu.

Po kilku minutach do drzwi gabinetu zapukała recepcjonistka Dora.

— Przyszedł pan Watchman, pani doktor.

Zanim doktor Beech zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Martin Watchman był już w środku. Wchodząc, uniósł kapelusz.

— Doktor Beech — powiedział cichym, nieco chrapliwym głosem, przyciskając kapelusz do piersi i wyciągając do lekarki prawą dłoń. — Nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę, że znowu mogłem panią zobaczyć!

Ruth oceniała go na jakieś trzydzieści pięć, trzydzieści sześć lat. Miał popielate włosy — sięgające do kołnierza i tak potargane, jakby właśnie wstał łóżka. Najwyraźniej nie golił się od trzech albo czterech dni. Był dość przystojny — jeśli komuś podobają się chudzielcy o zapadniętych policzkach — miał jasnozielone oczy o barwie morza na płyciźnie i znikającą już lekką opaleniznę.

Zdjął trencz i podał go Dorze.

— Mam go powiesić na wieszaku? — spytała.

— Nie, na łańcuszku. To burberry. Kupiony w Londynie.

Aha, i jeszcze kapelusz...

— To jest Ruth Cutter, matka Amelii — powiedziała doktor Beech. — A to Amelia.

Martin Watchman przeszedł przez pokój i uściśnął im dłonie.

— A więc pani jest inspektorem pożarowym... Miło mi panią poznać. I bardzo się cieszę, że doktor Beech zdecydowała się do mnie zadzwonić. Pamiętam, jak bardzo była pani sceptyczna, kiedy rozmawialiśmy w Chicago, ale wiem, że macie tu krytyczną sytuację. To naprawdę bardzo

poważna sprawa i trzeba się nią szybko zająć. Jeśli nie jest już za późno...

Ruth nie umiała umiejscowić jego akcentu. Na pewno był wykształcony, ale chyba nie studiował w Chicago. Wiele słów akcentował i wymawiał jak bostończyk.

— Może pan usiądzie, panie Watchman? — zaproponowała doktor Beech. — Kawy, coś zimnego do picia? Musiał pan mieć męczącą drogę.

— Poproszę wodę. Bez lodu.

— Tylko? Nic do jedzenia?

— Nie, dziękuję. I proszę mówić mi Martin.

Podszedł do jednego z foteli, podniósł go i postawił obok fotela Amelii, po czym usiadł i wbił w nią swoje zielone jak morska woda oczy. Dziewczynka uśmiechnęła się niepewnie i poprawiła w fotelu, jakby zrobiło jej się nieswojo.

Mimo potarganych włosów i szczeciny na twarzy w zachowaniu i sposobie ubierania się Martina Watchmana było coś ze starej szkoły. Jego jasnoszary dwurzędowy garnitur z szerokimi klapami nie był nowy ani modny, jednak kiedyś musiał sporo kosztować. Takie same były jego jasnobrązowe mokasyny: drogie, ale z poobijanymi noskami i pościeranymi obcasami. Nie miał obrączki, jedynie na trzecim palcu prawej ręki nosił gruby sygnet.

— Mówiłam już Ruth i Amelii o naszym spotkaniu na szkoleniu psychiatrycznym — powiedziała doktor Beech. — I o tym, co mi pan mówił o „ludziach, którzy przybywają spod spodu”.

Martin kiwnął głową, nie odrywając wzroku od Amelii.

— Pochlebia mi, że mnie pani pamięta, pani doktor. Podczas tych wszystkich szkoleń poznałam pani wielu pieprzonych świrów, prawda? Proszę mi wybaczyć mój język...

— No cóż, nie będę zaprzeczać, że pana także brałam za jednego z nich. W każdym razie na początku. Przepraszam.

— Nie musi pani. Niełatwo uwierzyć w to, co odkryłem. Przez długi czas sam w to nie wierzyłem... choć miałem dowody przed nosem.

— Wolałabym nie wypowiadać się na ten temat — odparła doktor Beech.

— Nie mam o to do pani pretensji, musi pani jednak przyznać, że jeżeli Amelia również mówi o ludziach przedostających się do nas spod spodu, jest to raczej dość dziwny zbieg okoliczności...

— Co się takiego stało, że musiał pan natychmiast do nas przyjechać?

Martin tak długo milczał, że doktor Beech powtórzyła swoje pytanie. W końcu odwrócił się od Amelii i powiedział:

— Pożary mnie do tego zmusiły.

— Pożary? — powtórzyła zdziwiona Ruth.

— Właśnie. Całkiem przypadkowo dowiedziałem się o jednym z nich z telewizyjnych wiadomości. O tym, w którym kobieta spaliła się w swojej wannie.

— Niech pan mówi dalej — ponagliła go Ruth.

— Tego rodzaju pożary mają bardzo określoną przyczynę i rzadko występują pojedynczo. Niemal zawsze jest ich cztery albo pięć, czasem znacznie więcej. Trzy lata temu w Indianapolis było aż osiemnaście. Kiedy szukałem informacji o nich w Internecie, dowiedziałem się, że kilka dni wcześniej mieliście w Kokomo bardzo podobny pożar. Teraz w autobusie spalili się emeryci... mówiono o tym w wiadomościach.

— No dobrze, ale w dalszym ciągu nie rozumiem, co te pożary mogą mieć wspólnego z tym, co Ammy mówi o „przychodzących spod spodu ludziach”, ani jaki jest między nimi związek — stwierdziła Ruth.

— Po każdym takim pożarze pojawia się ten sam chłopak, prawda? Doktor Beech powiedziała mi, że widziała go pani pod swoim domem.

— To prawda. Amelia nazywa go Wstrętnym Chłopakiem, nie mamy jednak pojęcia, kim on jest ani czego szuka.

— -Wstrętny Chłopak... — powtórzył Martin i uśmiechnął się lekko. — Muszę powiedzieć, że to bardzo trafny przydomek.

— Ale co on ma z tym wspólnego? Wciąż badamy te pożary, nie znaleźliśmy jednak niczego, co by mogło je ze sobą łączyć. Pierwszą ofiarą była młoda matka, porwana z parkingu przed supermarketem i spalona na materacu. Drugą kobieta, która została skremowana we własnej wannie. W trzecim pożarze zginęli emeryci. Każdy z tych pożarów został wywołany niezwykle intensywnym i bardzo

skoncentrowanym źródłem ognia, ale to ich jedyna wspólna cecha. Martin pokręcił głową.

— Myli się pani. Elementem, który je łączy, jest Wstrętny Chłopak. Dowodem na to jest fakt, że kręcił się pod pani domem. Wie, kim pani jest, wie, że próbuje pani poznać przyczyny tych pożarów, i nie chce do tego dopuścić. Na razie miała pani szczęście, jednak wkrótce może się pani znaleźć w prawdziwym niebezpieczeństwie.

— Widziałam go w parku Bon Air, po pożarze autobusu Spirit of Kokomo. Powiedział, że jeśli nie zostawię go w spokoju, przydarzy mi się coś strasznego, ale przecież to tylko dzieciak. Może i wstrętny, ale tylko dzieciak.

— Nie. Ten chłopak jest katalizatorem. Nie dostrzega pani tego? To właśnie on powoduje pożary.

— Nie rozumiem... Może mi pan to wyjaśnić?

Martin wstał, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Po chwili wrócił, stanął za fotelem Amelii i położył jej dłonie na barkach. Najwyraźniej dziewczynce wcale to nie przeszkadzało — odwróciła do niego głowę i uśmiechnęła się.

— Moja matka była medium — powiedział. — Umiała przepowiadać przyszłość oraz oczyszczać ze złych energii domy i pomieszczenia, w których kiedyś wydarzyło się coś niedobrego: samobójstwo, morderstwo lub jakiś nie szczęśliwy wypadek, w którym ktoś stracił życie. Mój dar jest znacznie skromniejszy... jeśli w ogóle można to nazwać darem. Prawdę mówiąc, czasem wydaje mi się, że to raczej

przekleństwo. W każdym razie zawsze byłem wrażliwy na wibracje, jakie pozostają w pomieszczeniach, w których doszło do jakiejś tragedii. Wyczuwam także ból, jaki odczuwali pacjenci w gabinetach lekarskich. Cierpienie zawsze odbija się echem, które może trwać całe lata.

Mam nadzieję, że nie marnujemy czasu, pomyślała Ruth. Ten człowiek zaczyna gadać jak świr. Albo jak szarlatan. Albo jak scjentolog. Albo jak wszyscy trzej naraz.

— Po raz pierwszy doświadczyłem tego, kiedy miałem pięć lat. Byłem wtedy razem z matką u dziadków w Maine. Obudziłem się w środku nocy i zobaczyłem wiszącego na drzwiach chłopca z kręconymi włosami, ubranego w białą koszulę nocną. Zacząłem krzyczeć i pobiegłem do pokoju mamy. Powiedziała mi, że to był tylko zły sen, ale kilka lat później przyznała, że jej młodszy brat Thomas przypadkowo powiesił się na pasku szlafroka i wyglądał tak samo jak chłopiec, którego opisałem. W miarę upływu lat miałem coraz więcej podobnych przeżyć. Bardzo rzadko widzę kogokolwiek... z Thomasem byłem spokrewniony i być może dlatego go zobaczyłem... ale czuję zmarłych ludzi, ich obecność, czasami też słyszę, co mówią.

— To tak samo jak ja! — zawołała Amelia. — Wchodzę do pokoju i od razu wiem, czy byli w nim smutni ludzie, czy komuś stało się tam coś złego, czy ktoś umarł. A ludzi, którzy przychodzą spod spodu, słyszę... Słyszę, jak szepczą. SZU-SZU-SZU. Przypomina to szelest piasku przesypanego przez wiatr.

Martin kiwnął głową.

— Widzi pani? Ja i Amelia jesteśmy niemal tacy sami. Wcześniej sądziłem, że wibracje ludzkie może odczuwać tylko jasnowidz albo medium, ale się myliłem. Nie ma to nic wspólnego ze zjawiskami nadprzyrodzonymi, jest wrodzoną umiejętnością fizyczną... albo wadą, w zależności od tego, jak się na to patrzy. Wprawdzie nie mam zespołu Williamsa jak Amelia, ale również stwierdzono u mnie pewne zmiany w strukturze chromosomów. Właśnie one sprawiają, że jestem wyczulony na rzeczy, których inni nie zauważają. To trochę tak jak umiejętność słyszenia przez niektórych ludzi gwizdków dla psów albo widzenia pod czerwieni.

— No dobrze — przerwała mu Ruth. — Ale co to ma wspólnego z pożarami?

— Zaraz do tego dojdę. W końcu nauczyłem się żyć z głosami, które słyszę, i bólem innych ludzi, który czuję. Jedno i drugie stało się dla mnie czymś w rodzaju hałasu w tle... jak dla człowieka mieszkającego w przeludnionym budynku, w którym wciąż słychać ryczące telewizory, kłócących się ludzi i trzaskające drzwi. Potem poznałem pewną dziewczynę i zakochałem się w niej. Miała na imię Susan. Była obdarzona wielkim talentem malarskim i nie zwykłym poczuciem humoru, była ładna i inteligentna i wkrótce zaczęliśmy rozmawiać o małżeństwie. Po siedmiu miesiącach i czterech dniach znajomości pojechaliśmy popływać w Rezerwacie Złamanego Serca niedaleko Saugus i Susan nagle zniknęła pod wodą. Było piękne letnie popołudnie, bezchmurne błękitne niebo, a ona po prostu

zniknęła pod wodą... Ratownik skoczył za nią i znalazł ją na dnie jeziora zaplątaną w wodorosty. Wyciągnął ją i próbował reanimować, ale było za późno. Do dziś nie wiem, co się właściwie stało. Może złapał ją skurcz?

— Rezerwat Złamanego Serca... — powtórzyła w za myśleniu doktor Beech. — To chyba dobra nazwa miejsca, w którym utraciło się miłość swego życia...

— W tym sęk, że wcale jej nie utraciłem — odparł Martin. — W każdym razie niecałkowicie. Jakiś miesiąc po pogrzebie, kiedy brałem prysznic, poczułem, że Susan mnie obejmuje. Omal nie wyskoczyłem ze skóry z przerażenia, ale kiedy zacząłem się rozglądać, nikogo przy mnie nie było, chociaż w dalszym ciągu ją czułem. Jej twarz, włosy, całe ciało... Stałem pod prysznicem prawie przez dwadzieś cia minut, obejmując ją, a kiedy zakręciłem wodę, zniknęła. Nie wiem, jak to opisać... jakby wyparowała. Potem niemal za każdym razem, kiedy brałem prysznic albo siedziałem w wannie, czułem, jak się do mnie przytula... choć ani razu jej nie widziałem. Gdy pewnego dnia włożyłem ręce do zlewu w kuchni, żeby wyciągnąć korek, poczułem, że znajdująca się pod wodą dłoń chwyta mnie za nadgarstek, jakby nie chciała, abym spuścił wodę. Bałem się, ale jednocześnie nie chciałem, żeby to się skończyło. Nie wiedziałem, czy mam do czynienia z duchem, czy powoli wariuję, jednak przynajmniej czułem, że nie straciłem mojej dziewczyny na zawsze.

Pogłaskał Amelię po włosach, a dziewczynka zamknęła oczy. Ruth miała ochotę krzyknąć, żeby zabierał łapy od

jej córki, ale dotyk Martina najwyraźniej uspokajał Amelię, więc postanowiła nie reagować.

— Któregoś dnia znowu pojechałem do rezerwatu i zacząłem pływać w tym samym jeziorze, w którym utonęła Susan. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem... być może chciałem w ten sposób przegonić dręczące mnie upiory. W połowie drogi przez jezioro Susan zaczęła wciągać mnie pod wodę. Powtórzyło się to jakieś pięć albo sześć razy, zanim dopłynął do mnie ratownik i pomógł mi się wydostać na brzeg. Mogłem wtedy utonąć, bo przez kilka szalonych sekund bardzo pragnąłem umrzeć... — Zamilkł na chwilę, po czym dodał: — Przynajmniej bylibyśmy z Susan razem.

Doktor Beech kiwnęła głową.

— Rozumiem to. Leczyłam wielu opłakujących swoich partnerów ludzi, którzy chcieli umrzeć w taki sam sposób jak oni. Przedawkowanie, powieszenie, rzucenie się pod pociąg... Niektórzy nawet modlili się o raka. Uważali, że stanowi to gwarancję, iż połączą się ze sobą w życiu pozagrobowym.

— Mieli rację — przyznał Martin.

— Słucham?

— Mieli rację — powtórzył. — Sposób, w jaki się umrze, ma zasadnicze znaczenie. Nie kiedy, nie dlaczego, ale jak. Ma wpływ na wszystko, co się dzieje z człowiekiem po śmierci. Od tego może też zależeć, czy będzie się spoczywać w pokoju, czy cierpieć wieczne katusze.

— Nie chcę być niegrzeczna ani arogancka i bardzo mi przykro z powodu pana straty, Martinie, ale nie sądzę, aby cokolwiek z tego nam pomogło. Moja córka miała już dość ataków lęku — stwierdziła Ruth i wstała. — Ammy, idziemy. Wezmę cię do Crazy J na potrójną czekoladę. Przykro mi, doktor Beech, wiem, że chciała pani dobrze, ale naprawdę nie mogę tego więcej słuchać.

Jednak Amelia wcale nie zamierzała z nią iść.

— Nie, mamu. Martin ma rację. Wiem, że ma. Chcę go wysłuchać do końca.

— Ammy, przecież to jakiś absurd. Kiedy ktoś nie żyje, to nie żyje.

— Tata tak nie uważa.

— Wiem, ale tata... ma inne poglądy. Szanuję je, lecz się z nimi nie zgadzam. To wielkie szczęście, że mamy życie, i powinniśmy je jak najlepiej wykorzystać, ponieważ kiedy się kończy, jest skończone.

— Ale nie jest pani tego stuprocentowo pewna, prawda? — spytał Martin.

— Nie rozumiem, co pan ma na myśli.

— Kiedy opowiadałem o Susan, zaczęła pani mrugać i szybciej oddychać. Nie przekonałem pani, to prawda, założę się jednak, że już się pani z czymś podobnym zetknęła. Albo ktoś opowiadał pani o ukochanej osobie, która do niego wracała, albo sama pani coś podobnego przeżyła, ale nie chciała w to uwierzyć.

Ruth z powrotem usiadła w fotelu.

— No dobrze... Rozmawiałam dziś rano ze swoim

kolegą z pracy, który twierdził, że odwiedzała go zmarła żona.

— Co pani sobie wtedy pomyślała?

— Pomyślałam... nie bardzo wiedziałam, co mam o tym sądzić... w końcu uznałam, że prawdopodobnie miał halucynacje wywołane cierpieniem.

— Jak zmarła jego żona?

— Popelniła samobójstwo. Podpaliła się.

— Mówisz o wujku Jacku? — spytała Amelia. — O wujku Jacku i cioci Lois? Ciocia Lois się zabiła?

— Przykro mi, skarbie, ale tak. Nie chciałam ci o tym mówić. Zresztą aż do wczoraj sama o tym nie wiedziałam.

— O Boże! Spaliła się! To straszne!

Ruth objęła córkę.

— Wszystko już jest dobrze, Ammy. Ciocia Lois nie będzie więcej wracać. Wujek Jack rozsypał jej prochy nad ogrodem Ivy Tech i znalazła spokój.

— Mądry człowiek — stwierdził Martin. — To najlepsza rzecz, jaką można zrobić.

Ruth popatrzyła na niego z niechęcią.

— Powie nam pan w końcu, o co w tym wszystkim chodzi? Chyba dość już mieliśmy problemów jak na jeden dzień.

Martin kiwnął głową.

— Oczywiście, Ruth. Bardzo przepraszam, ale jak już mówiłem, trudno w to wszystko uwierzyć i wielu rzeczy, o których mówię, sam nie rozumiem. — Usiadł obok Amelii i spojrzał na Ruth. — Po moim przeżyciu z Susan

zacząłem badać zjawisko pośmiertnych odwiedzin... przede wszystkim po to, aby udowodnić samemu sobie, że nie dojrzałem jeszcze do pokoju bez klamek. Skontaktowałem się niemal ze wszystkimi stowarzyszeniami zajmującymi się zjawiskami paranormalnymi... a jest ich w Stanach Zjednoczonych naprawdę dużo. W większości to zbieranina nadmiernie pobudzonych czubków z najnowszej generacji kamerami wideo albo wyjców w średnim wieku w poklejonych plastrem okularach, poznałem jednak także profesora z Uniwersytetu Madison w Wisconsin Fredericka Solwaya, który od ponad dwudziestu lat zajmuje się zjawiskiem pośmiertnych odwiedzin. Ma doktoraty z fizyki i historii nauki, a jego wiedza na ten temat sięga czasów starożytnych Greków i Rzymian.

— Pośmiertnych odwiedzin? Chodzi o duchy, tak? — spytała Ruth.

— Nie, ponieważ duchy nie istnieją.

— Więc czym są te „pośmiertne odwiedziny”?

— To pojawianie się pod postacią wibracji ludzi, którzy nie zakończyli życia w naturalny sposób. Umarli albo zostali zabici, ale nie spoczywają w pokoju, bo nie zostali uwolnieni. Ponieważ nie spodziewali się śmierci, mają niedokończone sprawy z żywymi.

— Niedokończone sprawy?

— Właśnie. I dlatego nie mogli podążać dalej. Mówiąc, że śmierć jest końcem, ma pani całkowitą rację. Jeśli umiera się spokojną, naturalną śmiercią, przypomina to odwrócenie narodzin. W jednej chwili człowiek jest świa-

domy, oddycha i stanowi część otaczającego go świata, a potem znika, wracając do ciemności, z której wszyscy pochodzimy. Jednak ludzie, którzy zmarli w sposób nie-naturalny, muszą wyrównać wszystkie rachunki, porozwiązywać swoje problemy, zakończyć różne sprawy. Nie mogą odejść w ciemność, dopóki tego nie zrobią. Są martwi fizycznie, ale nie duchowo. Dlatego wracają. Muszą wyegzorcyzmować swoją przeszłość.

Ruth wzięła głęboki wdech. Chciała powiedzieć Martinowi, że nie wierzy w ani jedno jego słowo, nie mogła jednak nie myśleć o słowach Jacka: „Jezus Maria, stała w ogródku. Patrzyła na dom. Miała na sobie tę samą purpurową sukienkę, w której umarła”. Dlaczego taki pragmatyk jak Jack Morrow miałby mówić coś takiego, jeśli nie było to prawdą?

— Co dokładnie chce mi pan powiedzieć? Że ci przychodzący spod spodu ludzie są jak zombi albo coś w tym stylu?

— Nie, nie jak zombi. W każdym razie nie jak zombi z filmów George'a Romero. Wyglądają dokładnie tak, jak tuż przed śmiercią.

— Żona mojego kolegi spłonęła, ale według niego nie przypominała spalonego człowieka.

— Ktoś, kto zginął pod kołami samochodu, także nie będzie poharatany. To wcale nie tak jak w opowiadaniu *Małpia łapa*, w którym chłopiec ginie w wypadku kopalnianym, jego ojciec modli się o przywrócenie mu życia, a kiedy zmartwychwstały chłopiec wraca i puka do drzwi,

jest cały połamany. Oczywiście jeśli ktoś dozna rozległych poparzeń, ale umrze dopiero później, z jakiegoś innego powodu, będzie wyglądał dość paskudnie.

— W dalszym ciągu niewiele z tego rozumiem — stwierdziła Ruth.

— Może więc spróbuję wyjaśnić to w taki sam sposób, w jaki wyjaśnił mi wszystko profesor Solway. Jeżeli człowiek nie rozstaje się z życiem w sposób naturalny, ale gwałtownie i nieoczekiwanie, przechodzi przemianę. We wczesnym chrześcijaństwie czas tej przemiany nazywano czyścieniem... było to miejsce, w którym pokutowało się za grzechy i przygotowywało do pójścia do nieba. Oczywiście tylko pod warunkiem, że ktoś nie był aż tak wielkim grzesznikiem, że w ogóle nie miał szans na uzyskanie przebaczenia i trzeba go było posłać do piekła. A jak ono wygląda? Jego koncepcja jako płonącego pieca prawdopodobnie powstała w umysłach średniowiecznych księży, doświadczających pośmiertnych odwiedzin ludzi, którzy zginęli w ogniu. Frederick Solway pokazał mi jednak dokumenty i naukowe dowody świadczące o tym, że każda postać gwałtownej śmierci ma swoje własne piekło. W ten sposób wpadłem na pomysł napisania książki pod tytułem *Dziewięć kręgów piekła*.

— Właśnie! — zawołała doktor Beech. — Wiedziałaś, że chodzi o dziewięć kręgów czegoś tam. Opublikowano ją? Martin pokręcił głową.

— Robiłem, co mogłem, aby ją opublikowano, ale dla wydawnictw naukowych było w niej zbyt dużo zabobonu,

dla religijnych okazała się niedostatecznie inspirująca, a wydawcy literatury popularnej uznali ją za bełkotliwe brednie. Nigdy nie twierdziłem, że jestem drugim Normanem Mailerem, więc prawdopodobnie nie jest najlepiej napisana, lecz nie ma w niej bredni.

— Więc niech nam pan opowie o tych dziewięciu kręgach piekła — poprosiła Ruth.

Była coraz bardziej zniecierpliwiona i zirytowana, ale starała się tego nie okazywać, bo Amelia najwyraźniej była zauroczona Martinem i słuchała go z ogromnym przejęciem. W końcu przywiozła ją tutaj po to, aby pomóc jej poradzić sobie ze Wstrętnym Chłopakiem i przybywającymi spod spodu ludźmi — niezależnie od tego, czy były to duchy, zombi czy pośmiertne odwiedziny.

— Frederick Solway jest przekonany, że dziewięć kręgów piekła rzeczywiście istnieje i wszystkie mają swoje miejsce w czasie i przestrzeni. Średniowieczni teologowie również wierzyli, że czyściec jest miejscem, które można odwiedzić... jeśli oczywiście komuś uda się go zlokalizować — odparł Martin. — Frederick Solway twierdził także, że dziewięć kręgów piekła istnieje w naszej bezpośredniej przyszłości, zawsze o ułamek sekundy przed naszym światem. Nie możemy się tam dostać, dopóki żyjemy. Ale po śmierci potrafimy cofać się o ułamek sekundy w czasie, co umożliwia nam odwiedzenie świata żyjących. Zmarli często to robią, zwłaszcza jeśli pozostawili jakieś niezakończony sprawy na tym świecie albo szukają

zemsty. Frederick Solway próbował mi to wyjaśnić, posługując się prawami fizyki. Podobno ma to jakiś związek z teorią względności Einsteina i czymś, co nazywa się transformacją czasu Lorentza, ale proszę nie pytać mnie o szczegóły, bo ni cholery nie zrozumiałem, o czym mówił. Przepraszam za język... W każdym razie mamy setki opisów, które dowodzą, że martwi odwiedzają żywych. Od trzynastego wieku po dziś dzień. Wiedzieliście, że nawet Johna Hancocka odwiedziła jego martwa matka Mary Hawke? Zimą tysiąc siedemset osiemdziesiątego czwartego roku widział ją dwa razy, raz u szczytu schodów i drugi raz w nogach swojego łóżka. Za radą pastora kazał ją potajemnie ekshumować i skremować, a prochy rozsypać nad rzeką Weymouth Fore.

— Nie wierzę w to — oświadczyła Ruth. — John Hancock, który podpisał Deklarację Niepodległości?

Martin zignorował ją.

— Frederick Solway dzieli mieszkańców piekła na dziewięć kategorii — kontynuował. — Wśród nich prawdo podobnie najwięcej jest ofiar chorób, na drugim miejscu są ofiary głodu i braku wody. Potem mamy ofiary mordstw oraz różnych wypadków, w tym także pożarów... i właśnie z nimi mamy teraz do czynienia.

— Ale czego chcą? — spytała Ruth. — Są martwi, prawda? Dlaczego wracają?

— Dlatego, że bardzo cierpią i chcą się wyzwolić. Zrobiliby wszystko, aby ich cierpienie wreszcie się skończyło i mogli zanurzyć się w ciemności.



— I w ten sposób to osiągają? Wracając do naszego świata i podpalając żywych ludzi?

— Prawdopodobnie tak. Zatrudniają zabójców, którzy odtwarzają okoliczności ich śmierci. Te pożary są jak egzorcyzmy albo misteria pasyjne. Wynajęci mordercy znajdują osobę, która jest podobna do pierwotnej ofiary pożaru, po czym odtwarzają jej śmierć. To coś w rodzaju składania ofiar z ludzi.

— Składania ofiar? Komu?

— Profesor Solway ma na ten temat pewną teorię... Uważa, że istnieją różnego rodzaju bogowie niższej kategorii, z którymi martwi ludzie mogą zawierać układy, kiedy chcą spocząć w pokoju. Ale jak już mówiłem, niewiele z tego rozumiem.

— A jaka w tym wszystkim miałyby być rola Wstrętnego Chłopaka? Twierdzi pan, że to właśnie on powoduje pożary. Że jest katalizatorem.

— Bo jest nim. Chyba najbardziej pasowałoby do niego określenie „anioł śmierci”. On również nie żyje.

— Jak to? Przecież widziałam go pod naszym domem i rozmawiałam z nim.

— Wiem. Amelia też go widziała, prawda? Ostrzegam jednak panią: proszę stąd uciekać jak najszybciej. Musi pani zabrać ze sobą Amelię i resztę rodziny, może także kolegów z pracy... Uciekajcie stąd, zanim piekło po was przyjdzie.

Rozdział 16

Nadine próbowała otworzyć oczy, ale miała skleione powieki. Czuła, że jest cała posiniaczona, i straszliwie bolała ją głowa — jakby walono nią o betonową podłogę.

Chciała usiąść, kiedy jednak spróbowała, zawyła z bólu. Opadła z powrotem na plecy i zapłakała. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest ani co się z nią działo, nie miała pojęcia, dlaczego wszystko tak bardzo ją boli.

— Tato! — zawołała. — Tato, gdzie jesteś?

Uniosła dłonie do twarzy. Miała lepkie palce, ale udało jej się na tyle przetrzeć oczy, aby powieki mogły się otworzyć. Popatrzyła na czerwone grudki na swoich palcach i w tym momencie uświadomiła sobie, że jej powieki były skleione zaschniętą krwią.

Z głębokim westchnieniem uniosła głowę. Była zupełnie naga, a całe jej ciało pokrywały ciemnoczerwone plamy. Ponownie spróbowała usiąść, jednak połamane zębra drapały płuca, sprawiając jej straszliwy ból. Bolało ją też

okropnie między udami — ból był tak silny, że mięśnie kurczyły się w niekontrolowanych spazmach, jakby została nabita na pal.

Z głośnym jękiem sięgnęła w dół i z przerażeniem stwierdziła, że została zgwałcona dwoma szczotkami Odługich rączkach, jakich używa się do sprzątania stajni, i napastnicy zostawili je w niej w środku.

— Tato! — krzyknęła znowu. — Tato, pomóż mi! Tato!

Płacząc, po kolei wyciągnęła trzonki, po czym przewróciła się na bok i przez kilka długich minut dygotała w szoku. Słyszała grzmoty i wałacy o dach stajni deszcz. Słyszała stąpanie koni nerwowo krążących po swoich boksach. Próbowwała sobie wmówić, że leży w łóżku i śpi, a wszystko, co ją spotkało, jest tylko sennym koszmarem, ale było oczywiste, że to nieprawda. Czuła zbyt wielki ból i doskonale pamiętała straszliwe trio w białych maskach.

Pamiętała, jak podcinała tętnice szyjne siedmiu koniom i jak za każdym razem zalewały ją wiadra krwi. Pamiętała, jak opadła na kolana, cała zakrwawiona i zbyt przerażona, aby zapłakać. Pamiętała wysokiego mężczyznę w uśmiechniętej masce, stojącego przed nią i unoszącego jej głowę.

„Weź go w usta!” — rozkazał.

Znowu zagrzmiało, trzasnęły drzwi stajni.

Musi się stąd jakoś wydostać i poszukać ojca. Po chwili udało jej się bardzo powoli przewrócić na brzuch i podpełznąć do najbliższego boksu. Trzymając się wiszącej przy wejściu uzdy, podciągnęła się i stanęła na nogach.

Stojący trzy boksy dalej Bronze Star zobaczył ją i zarżał.

— Dobry chłopak... — szepnęła.

Nie chciała się odwracać, bo za jej plecami leżały martwe konie, które kazał jej zaszlachtować Uśmiechnięty.

Pokuśtykała wzdłuż szeregu boksów, starając się z powodu złamanych żeber jak najpłycej oddychać. Przy boksie kasztanowego ogiera wisiała jasnobrązowa derka. Zdjęła ją i owinęła sobie wokół ramion, po czym, jęcząc z bólu przy każdym kroku, ruszyła w stronę wyjścia.

Na zewnątrz błysnęło, światła w środku zamigotały i pociemniały.

Brakowało jej nie więcej niż dziesięć metrów, kiedy nie wiadomo skąd pojawiła się jakaś postać — chłopak o bladej twarzy i kręconych włosach, ubrany w czarny T-shirt i czerwone dżinsy.

Owinęła się ciasniej derką i zatrzymała, aby odpocząć i złapać oddech.

— Freda? — zapytał chłopiec. Miał dość wysoki i melodyjny głos, więc zabrzmiało to, jakby śpiewał. — Freda, to ty? Co tu robisz?

— Potrzebuję pomocy...

— Co mówisz? Nie słyszą cie, Freda! Mów głośni!

Powoli osunęła się na kolana.

— Potrzebuję pomocy... naprawdę...

Chłopiec podszedł bliżej.

— Wyglądas okropni, Freda. Co tu robisz? Ty cała czerwona.

— Kazali mi zabić konie... trzech mężczyzn... kazali mi pozabijać konie, a potem mnie pobili...

Chłopiec podszedł jeszcze bliżej i ukląkł przy Nadine.

Jego głowa była nienaturalnie wydłużona, miał szeroko rozstawione oczy i bardzo czerwone usta, i w niczym nie przypominał innych dzieci.

Przechylił głowę na bok i uśmiechnął się.

— To nie twój wina, Freda, ni. Trochu ci tylko odbiło. Ni dziwota po tym, co te dranie ci narobili.

— Nazywam się Nadine Gardner. Musisz mi pomóc. Idź do domu i poszukaj kobiety, która ma na imię Córa. Prawdopodobnie znajdziesz ją w kuchni. Powiedz jej, że jestem w stajni i potrzebuję pomocy.

— To ni twój wina, Freda — powtórzył chłopiec, jakby w ogóle nie usłyszał tego, co mówiła. — Zawszy robili ci z życia piekło, te dranie.

— Proszę... — powiedziała błagalnie. — Proszę, idź do domu i sprowadź tu Córę. Każ jej także za wiadomić ojca.

Chłopiec pochylił się do przodu i popatrzył jej w oczy. Pachniało mu z ust cebulą.

— Tata zawszy mówił, żeś ty tuknienta, nu ja nigdy ni wierzył i nie wierzy tera. Cuś zrobiła, Freda, nie było twój wina, a zrobiłaś po to, coby im pokazać, nie? Nie dla siebie, ale jak to zrobiłaś, mozem razem ucic i się nigdy nie dowiedzy, dzie nas szukać.

— O czym ty mówisz? Nie rozumiem z tego ani słowa. Potrzebuję pomocy, to wszystko. Musisz iść do domu...

_Zawszyś mówiła, że mni kochasz, prawda, Freda? Zawszyś mówiła, że musimy uciec i nigdy nie wracać. Bo żadno z tych draniów nas nie rozumie, prawda? Dla nich była tuknienta iś sobi używała, ale oni ni wiedzieli, jak się kochamy, ni? Ni wiedzieli, że myślimy, coby mieć dzicko...

— Odejdź stąd! — krzyknęła Nadine. — Jeśli nie chcesz mi pomóc, to sobie idź!

Chłopiec wsunął dłoń pod końską derkę i ujął Nadine za lepkie od krwi ramię. Próbowwała go odepchnąć, ale złapał ją mocniej.

— Freda! Nie cofuj się tera! Zróbmy tak, jakiśmy zawsze planowali: ty i ja. Spadajmy stąd!

Nadine zamknęła oczy. Miała wrażenie, że wariuje. A może tylko ten chłopak był szalony? Ale z drugiej strony — jeśli mógł jej pomóc wydostać się z tego miejsca, to jakie znaczenie miało, czy wydaje mu się, że spotkał jakąś Fredę, która zgodziła się z nim uciec?

— W porządku — powiedziała. — Mógłbyś mi pomóc wstać?

— Oczywiście — odparł chłopiec.

Podniósł się, ujął Nadine za rękę i pociągnął. Był zadziwiająco silny. Dała się postawić na nogi i spróbowała utrzymać równowagę. Przed oczami latały jej ciemne plamki i miała wrażenie, że podłoga pod jej stopami się pochyla.

— Hej, Freda... wszystko dobre? Ni chcysz mi tu chyba znieprzytomnieć ani co?

— Nie, nie, wszystko w porządku. Złap mnie tylko za rękę i pomóż iść. To niedaleko.

— Iść? Nigdzie się nie dostaniesz, jak bydziem iść. Musimy wziąć jednego konia i uciec.

— Nie... w żaden sposób nie dam rady wsiąść na konia. Mam połamane żebra. Poza tym nie mam ubrania. Muszę tylko wrócić do domu, to wszystko.

— Musimy na konia — upierał się chłopiec. — Pomogę ci... jak zawsze. Który koń weźmiemy? Co powiesz na ten kasztanowy?

— Nie rozumiesz mnie? Nie mogę jechać konno. Jestem ranna.

— Pomogę ci. Zawsześ mówiła, co odjedziemy razem koniem, prosto na zachód słońcy. Zawszeć takś mówiła, powtarzała żeś raz za raz. Obiecałaś. Mówiłaś, że jak wszystko się pogorszy i ktoś spróbuje nas podzielić, wtedy to zrobimy. Tera możysz.

— W porządku, spróbuję, ale będziesz musiał mi pomóc. Jestem w zbyt kiepskim stanie, żeby sama poradziła.

— Pomogę ci. Nie martw się. Odjeździem razem, jak zawsześ mówiłaś.

Kiwnęła głową.

— Zgoda — szepnęła, ale nic nie wskazywało na to, że ją usłyszał, więc powtórzyła głośniej: — Zgoda.

— Który koń weźmiemy? Ten czarny?

— Tego — powiedziała Nadine, wskazując kasztanowego ogiera.

Choć mąciło jej się w głowie, wiedziała, że jest jedyną

osobą, której Bronze Star będzie posłuszny. Jeśli ten dzieciak spróbuje uciec nim, ogier natychmiast go zrzuci.

Chłopiec ujął ją za ramię i pomógł dokuśtykać do konia. Złapała ogiera za łeb, kiedy chłopiec poszedł po uzdę, derkę i siodło. Gdy zakładał je koniowi, mówiła mu, jak powinien to robić i jak ma ustawić przednie nogi konia, aby popręg nie wrzynał mu się w skórę.

Bronze Star patrzył na nich poważnie i Nadine mogłaby przysiąc, że koń czuje jej stan i gdyby mógł, z pewnością by do niej przemówił.

Chłopiec poprawił strzemiona i odwrócił się do Nadine.

— Choć, Freda, możesz wspinać się na pokład.

— Nie mogę... naprawdę. Za bardzo mnie wszystko boli...

— Ni wygłupiaj się, Freda... ni możesz mie zawieść. Uciekamy razem! Ty i ja, galop w dal! Możem jechać, gdzie nikt nie wie, kim my so, zacząć rodzinę i robić, co się nam podoba!

— Mógłbyś mi pomóc dojść do domu?

Złapał garść pokrytych zakrzepłą krwią włosów Nadine i pociągnął tak mocno, że krzyknęła z bólu.

— Żeś obicała, Freda, a cholerny obicanie to cholerny obicanie!

— Nie mogę... zostaw mnie w spokoju... Nie mogę...

Ściągnął z niej końską derkę i rzucił ją w głąb stajni.

Bronze Star parsknął i przesunął się trzy kroki w bok.

Nadine zaczęła drżeć z zimna, ale nie puszczała uzdy ogiera.

— Nie każ mi jechać... —jęknęła.

Chłopiec rozejrzał się po stajni. Na półce leżały szczypce do kopyt, obcęgi do wyciągania gwoździ i długi kowalski pilnik z ostrym jak dzida końcem. Wziął go i podszedł do konia, po czym przystawił czubek pilnika do boku ogiera.

— Moży żeś się dość ni nazabijała jeszcze dziś koni, Freda. Moży chcesz popatrzeć, jak pada jeszcze jedyn?! Widział ja już samochód z dziurą w masce, ale konia ni. Zawszy jest jednak „ten pirszy raz”, no ni?

— Zostaw go w spokoju! — krzyknęła Nadine.

— Zostawi, zostawi, jak zrobisz, co mówię, i więzisz na siodło.

— Dobrze... spróbuję, ale nie rób krzywdy koniowi.

Udało jej się wstawić stopę w strzemię, nie miała jednak dość siły, aby wskoczyć na grzbiet Bronze Stara.

— Powinnyś się widzie, Freda — powiedział chłopak. — Nizły widok, ni ma co!

— Pomóż mi wejść na konia! Sama sobie nie poradzę.

Zaszedł ją od tyłu i złapał za pośladki. Tak bardzo ją wszystko bolało, że kiedy pchnął ją do góry, omal nie straciła przytomności.

— No, Freda:.. raz, dwa, trzy!

Zawyła ze straszliwego bólu, ale po chwili była w siodle. Znieruchomiła z odchylną do tyłu głową i przyciśniętymi do żeber dłońmi. Bronze Star nerwowo drobił pod nią, sprawiając jej dodatkowy ból.

— Ni wyj, Freda! — zawołał chłopiec. — Ledwi co się

połapiesz, już nas tu ni bedzi i bedzimy szczęśliwi po zawsze! Bedzisz widzieć!

Przyciągnął przewrócone do góry dnem wiadro do karmienia koni i wspiął się na nie. Jedną ręką złapał udo Nadine, drugą tył siodła i wspiął się na ogiera. Usadował się wygodnie, po czym objął dziewczynę w pasie.

— Nie tak mocno! — krzyknęła. — Nie masz pojęcia, jak to boli!

— Ni marudzi! Zaopiekuj się tobą, obiecuję. A teraz zjeszamy, co?

Wzięła kilka szybkich, płytkich oddechów, po czym cmoknęła i powiedziała do konia:

— Idziemy, Star. Dobry chłopiec.

Zauważyła, że Bronze Star sprawia wrażenie zdezorientowanego. Wahał się. Nigdy przedtem nie jechały na nim dwie osoby i prawdopodobnie podejrzewał, że coś jest nie tak. Poza tym ona sama także zachowywała się teraz i brzmiała zupełnie inaczej: zawsze przemawiała do niego pewnym, zachęcającym głosem — teraz jednak miała ściśnięte gardło i mówiła tak cicho, że ledwie było ją słychać.

— Chodź, Star — powtórzyła nieco głośniejszym głosem. — Ruszaj, chłopaku.

Zaczęła wyprowadzać konia ze stajni. Odwracała głowę, aby nie widzieć ciał koni, które pozabijała, i pokrywającej podłogę krwi. Kiedy zbliżali się do drzwi, zobaczyła, że deszcz w dalszym ciągu pada, choć nie tak intensywnie jak dotychczas, i z ulgą stwierdziła, że grzmoty odeszły

na północny wschód. Słysząc było jedynie chlupot wody wylewającej się z rynien wokół dachu. Bronze Star pchnął drzwi nosem i wyszli na deszcz.

Z prawej strony, nie dalej niż dwieście metrów od stajni, znaj dowął się ich dom. Oj ciec j jeszcze nie wrócił—w każdym razie nie było widać jego explorera. W kuchni świeciło się jednak światło, tak samo w dwóch sypialniach na piętrze. Gdy Nadine ujrzała Córe stojącą w jasnobłękitnym fartuchu przed zlewozmywakiem, odetchnęła z ulgą. Znowu cmoknęła i pociągnęła za wodze, kierując ogiera w stronę podjazdu.

— Ni! — krzyknął chłopak piskliwym głosem. — Do kąd to?!

— Do domu, oczywiście. A jak sądzisz?

— Ni można! Ucikamy! Wrócimy do domu, to ukarzo nas! Stłuko na kwaśny jabko, te dranie! Ni pozwolą nam być razem, nigdy już!

Choć wpijał się w nią z całej siły, obróciła się w siodle.

— Wracam do domu — oświadczyła. — Nie powstrzy masz mnie.

— Chcysz się założyć? Chcysz?

Mimo bólu w żebrach złapała go za nadgarstki, próbując rozerwać jego chwyt.

— Ratunku... — jęknęła. — Pomocy! Córa! Córa, pomóż mi!

W tym momencie — z odgłosem przypominającym zapalenie się palnika w przepływowym grzejniku gazowym — chłopiec buchnął ogniem i zaczął wyć. Przerażona Nadine również zawyła, a Bronze Star stanął dęba i zarżał.

Po paru sekundach chłopiec cały stanął w płomieniach. Nadine poczuła, jak włosy na jej potylicy wypalają się do samej skóry, a płomień parzą barki. Spróbowała jeszcze raz rozerwać obejmujące ją ręce chłopaka, ale one także się paliły i jej dłonie natychmiast pokryły się pęcherzami.

— Pomocy! — krzyknęła. — Boże... pomocy...

Bronze Star, którego brzuch ścisnęły palące się nogi chłopaka, wierzgał i przeraźliwie rżał z bólu. Nadine próbowała zsunąć się z siodła, jednak chłopak tak mocno ją trzymał, że nie mogła się uwolnić. Płonął coraz intensywniej i temperatura tak gwałtownie wzrosła, że Nadine również zaczęła się palić. Jej skóra marszczyła się i łuszczyła, tłuszcz strzelał na boki jak małe pochodnie. W ciągu sekund cały jej tułów został upieczony, skóra popękała, a wykrzywiona twarz zamieniła się w groteskową parodię szkarłatno-czarnej twarzy Dartha Maula z *Gwiezdnych wojen*.

Oszalały z bólu Bronze Star pędził przez deszcz i ciemność z Nadine i chłopakiem na grzbiecie, ciągnąc za sobą płomień łopoczące na wietrze jak sztandary. Z początku rzucał się na boki, kopał i wierzgał, próbując pozbyć się śmiercionośnego ładunku, ale zanim dotarli do alejki prowadzącej do głównej ulicy, płonął już tak samo jak Nadine i chłopak, więc gnał szaleńczo przed siebie, waląc kopytami w asfalt. Jego grzywa zamieniła się w grzebień ognia, a ogon w pęk wirujących iskier. Płonąca grupa pozostawiała za sobą długą smugę dymu, szarpaną wiatrem.

Gdy Bronze Star dobiegał do bramy głównej stajni Weatherfield, Charles Gardner, ojciec Nadine, zjeżdżał właśnie swoim ciemnozielonym explorerem z Isaac Walton Road. Śpiewał wraz z Bee Gees *Stayin' Alive*. *Czy jesteś bratem, czy matką, pozostaniesz żywy, żywy pozostaniesz.*

Kiedy ujrzał sunącą na niego kulę ognia, gwałtownie wcisnął pedał hamulca, ale zrobił to zbyt późno. Bronze Star i jego dwoje pasażerów zderzyło się z SUV-em z sumaryczną prędkością niemal siedemdziesięciu kilometrów na godzinę i rozprysło w wirującej, strzelającej płomieniami kaskadzie nóg, rąk, żeber i fragmentów czaszek.

W momencie kolizji Charles Gardner dostał w twarz poduszką powietrzną, która złamała mu nos. Opadł na oparcie fotela, ze zdumieniem patrząc na wielkie kawały płonącego mięsa spadające na maskę jego samochodu. Po chwili załomotał o nią tułów jego córki i po kilku konwulsyjnych szarpnięciach znieruchomiał.

Rozdział 17

— Przykro mi, ale nie wierzę w ani jedno pańskie słowo — powtórzyła Ruth.

— Mamo... — zaczęła Amelia.

Ruth uciszyła ją ruchem ręki.

— Przyznaję, że te trzy pożary są całkowicie niepodobne do wszystkich, z jakimi dotychczas miałam do czynienia, ale...

— Nawet nie zdaje sobie pani sprawy z tego, jak bardzo niepodobne — powiedział Martin.

Pokręciła głową.

— W ciągu minionych pięciu lat badałam bardzo wiele pożarów i przyczyny wybuchu niektórych z nich były naprawdę dziwne... Miałam do czynienia z pożarami pochodzenia chemicznego, wywołanymi niepalnymi chemikaliami, pożarami elektrycznymi w mieszkaniach odłączonych od prądu, pożarami od uderzenia piorunów kulistych lub spowodowanych wyciekami gazu, którego

w tych miejscach wcale nie było. Miałam nawet pożar wywołany samoistnym zapaleniem się orzeszków pistacjowych, ale... przybywający z piekła zmarli? Martin uniósł dłonie.

— Nie mam do pani pretensji o ten sceptycyzm, ale może zapomnijmy na chwilę o stronie technicznej i skupmy się na tym, co jest najważniejsze. Pani córka i ja uważamy, że skądś z dołu przybywają do tego świata zmarli, a to, że oboje wyczuwamy ich niezależnie od siebie, jest według mnie tak niezwykłym i niepokojącym zbiegiem okoliczności, że nie wolno nam go ignorować.

— Zgoda, to rzeczywiście mało prawdopodobny zbieg okoliczności, ale sam pan powiedział, że podobnie jak Amelia cierpi pan na zaburzenia chromosomalne. Może właśnie to sprawia, że macie podobne omamy?

— A Susan? Przecież widziałem ją po tym, jak utonęła, pani kolega też widział żonę po tym, jak spłonęła. Co pani na to?

— Nie mam pojęcia, co o tym myśleć, ale być może smutek, jaki odczuwamy po utracie bliskich, zmienia nasz sposób postrzegania rzeczywistości. Może jeśli bardzo chcemy kogoś ujrzeć, zaczyna nam się to wydawać możliwe.

— A Wstrętny Chłopak?

— Tego również nie potrafię wyjaśnić, ale niewykluczone, że to zwykły dzieciak, który wydaje nam się dziwny i niesympatyczny. Na pewno wkrótce się dowiemy, kim

on jest. A także poznamy przyczyny wybuchu pożarów, które w tej chwili badamy.

— Pewnie tak — odparł Martin. — Tyle że moim zdaniem rozwikłanie jednej zagadki rozwiąże obie. Przyczyna i skutek. Albo odwrotnie.

— A co pani o tym sądzi, doktor Beech? — spytała Ruth.

— Moim zdaniem Martin ma rację — odparła lekarka. — Musimy dowiedzieć się czegoś więcej o tych niepokojących doznaniach jego i Amelii. O wyczuwaniu „ludzi przybywających spod spodu”. Powinniśmy się dowiedzieć, co to oznacza.

— W jaki sposób moglibyśmy to zrobić?

— Proponowałabym coś w rodzaju hipnozy, ale zanim się do tego zabierzemy, może ktoś chce napić się kawy albo czegoś bezalkoholowego? Amelio?

— Bardzo chętnie.

Doktor Beech podeszła do drzwi i poprosiła Dorę o trzy filiżanki kawy i puszkę doktora Peppera.

— Nigdy specjalnie nie zachwycałam się hipnozą — powiedziała po powrocie na miejsce. — U niektórych ludzi występują po niej bardzo niepożądane efekty uboczne, które mogą się utrzymywać przez całe lata. Omamy, stany paranoidalne, zaburzenia osobowości. Istnieje jednak metoda sugestii, której czasami używam w przypadkach silnych urazów psychicznych, zwłaszcza jeżeli dotyczą one dwóch lub więcej osób. Mam na myśli tak zwaną technikę Liebaulta opracowaną przez Ambroise-Auguste'a Liebaulta, znanego dziewiętnastowiecznego hipnoterapeuty.

Polega ona na dzieleniu się swoimi myślami i odczuciami nie tylko z hipnotyzerem, ale także z pozostałymi hipnotyzowanymi osobami. Dzięki temu zahipnotyzowana osoba łatwiej może odkryć, co ją zaburza, oraz zobaczyć siebie tak, jak widzą ją inne osoby.

— Jak to się robi? — zapytała Ruth.

— Zachęca się pacjentów do przywoływania wspomnień. Przypomina to cofanie taśmy w magnetowidzie. Ostatnim razem użyłam tej metody podczas sesji z pięcioma osobami, które uczestniczyły w bardzo poważnym wypadku samochodowym na Międzystanowej Trzydzieści Pięć. Zginęło wtedy czworo ludzi, a każdy z obu kierowców uważał, że to właśnie on jest odpowiedzialny za ten wypadek. Dwoje spośród pasażerów, którzy przeżyli, uważało, że winien jest jeden z kierowców, a trzeci twierdził, że drugi. Jak było do przewidzenia, wypadek doprowadził do rozpadu rodzin obu kierowców. Nie można żyć z mężczyzną, którego obwinia się o zabicie kobiety i jej trzech córeczek oraz o spowodowanie trwałego kalectwa u najmłodszej. Udało mi się namówić wszystkich pięcioro, aby usiedli razem i odtworzyli ten wypadek w pamięci. Dopiero wtedy przypomnieli sobie dziewczynę, która spadła tuż przed nimi z wiaduktu biegnącego nad jezdnią. Jeden z kierowców skręcił, próbując ją ominąć, i zderzył się z samochodem jadącym obok. Zaraz potem oba pojazdy zderzyły się z minibusem wiozącym siedem skautek i SUV-em i wszystkie samochody się zapaliły. Większości uczestników wypadku udało się wydostać

z pojazdów bez obrażeń, ale pięć osób zginęło. Policja z początku uważała, że dziewczyna, której ciało znaleziono na miejscu zdarzenia, jechała w SUV-ie, ale nasza sesja ujawniła, skąd się naprawdę wzięła. Tak więc żaden z kierowców nie ponosił winy za ten wypadek.

Weszła Dora z napojami i postawiła je wraz z talerzykiem oreos na stoliku.

— Nie powinienem jeść tego cholerstwa — mruknął Martin, biorąc trzy ciasteczka. — Kiedy zacznę, nie mogę skończyć. Przepraszam za swój język...

— Jeśli się zgodzicie, abym zastosowała metodę Liebaulta, będziemy mogli przynajmniej się dowiedzieć, czy ci „przybywający spod spodu ludzie” są prawdziwi, czy też nie — powiedziała doktor Beech.

— W jaki sposób? — spytała Ruth.

— Dzięki tej metodzie mogę widzieć w wyobraźni to samo, co widzą wszyscy uczestniczący w sesji pacjenci, w dodatku w tym samym czasie. Ich różne punkty widzenia składają się na jeden obraz, znacznie bardziej obiektywny niż wspomnienia jednej osoby.

— Czy istnieje jakieś ryzyko? Powiedziała pani prze cież, że hipnoza może mieć niepożądane efekty uboczne.

— Tak, ale nie sądzę, aby Amelii i Martinowi coś groziło. Nie byli uczestnikami wypadku, nie doznali urazu psychicznego jak tamte osoby. A ponieważ słyszeli różne dziwne, niepokojące rzeczy, uważam, że oboje poczują się znacznie lepiej, jeśli się dowiemy, czy ich obawy są uzasadnione.

— A jeśli tak? Jeśli ci ludzie są realni? Co wtedy zrobimy? — zapytała Ruth.

Martin położył dłoń na jej dłoni i ścisnął ją.

— Jeżeli są realni, będziemy tylko musieli wymyślić jakiś sposób odesłania ich tam, skąd przybywają, prawda?

— Tylko? A co będzie, jeśli nie zechcą odejść?

— Ależ oni chcą tego. Szukają spokoju i zapomnienia. Wystarczy jedynie odkryć, w jaki sposób może my im dać jedno i drugie, aby już nie ginęli niewinni ludzie.

Ruth popatrzyła na doktor Beech, ale jej spojrzenie mówiło: „Nie dowiemy się tego, dopóki nie spróbujemy”.

— No dobrze... więc co mamy robić? — spytał Martin.

— Usiądziemy w kręgu, patrząc na siebie — odparła lekarka. — Przycisnę palce do prawej skroni Martina i lewej Amelii, ona przycisnie palce do lewej skroni Ruth, a Martin do jej prawej skroni. W ten sposób będziemy połączeni fizycznie i psychicznie i krążące po naszych głowach obrazy będą mogły łączyć się ze sobą.

Martin odsunął stół do kawy i odpowiednio ustawił fotele, a doktor Beech podeszła do biurka i wyjęła z szuflady kryształową kulę przymocowaną do plastikowej podstawy. Po naciśnięciu przycisku kula zapaliła się i zaczęła obracać, rozbijając światło na pojedyncze kolory. Lekarka postawiła ją na dywanie między ich stopami.

— To wam pomoże przywołać zapamiętane przez was obrazy — wyjaśniła. — A teraz usiądźmy wygodnie i nawiążmy kontakt.

Usiedli, unieśli ręce i przycisnęli swoim sąsiadom palce do skroni. Amelia popatrzyła na matkę i zaczęła chichotać.

— Wiem, że to wygląda trochę śmiesznie, ale obiecuję, że zadziała — powiedziała doktor Beech. — Patrzcie na tę kryształową kulę i starajcie się przy tym jak najmniej mrugać, aby jej obraz stopniowo się rozmywał.


Ruth także miała ochotę się roześmiać. W młodości zawsze chciało jej się śmiać w najmniej odpowiednich momentach — na przykład w kościele podczas kazania albo w szkole, gdy dostawała burę od nauczyciela. Nawet podczas pogrzebu dziadka musiała przygryzać policzek od środka, żeby się nie roześmiać. Uwielbiała dziadka i kiedy umarł, szczerze go opłakiwała, doskonale jednak wiedziała, że odszedł i w trumnie — którą rodzina traktowała z taką powagą — jest jedynie martwe ciało w trzyczęściowym garniturze, a nie on sam.

Patrzyła jednak bez mrugania na kryształową kulę — tak jak prosiła doktor Beech. Fasety migotały czerwono, szmaragdowo i szafirowo, a w powietrzu tańczyły tęcze refleksy przypominające maleńkie wielobarwne motyle.

— Każdy z kolorów, jaki widzicie, jest częścią obrazu — powiedziała doktor Beech. — Wpatrujcie się dalej, obserwujcie, jak kolory mieszają się i zlewają. Wkrótce obraz zacznie się układać w całość. Myślcie o przybywających spod spodu ludziach. O tym, jak wyglądają. Użyjcie tych kolorów jak palety i ożywcie ich.

Raz po raz powtarzała:


— Myślcie o tym, jak wyglądają przybywający spod



spodu ludzi... Myślcie o przybywających spod spodu ludziach.

Ruth miała ochotę sprawdzić, czy wszystko w porządku z Ammy, nie udało jej się jednak oderwać wzroku od migoczących kolorowych światełek, które zdawały się falować i łączyły się ze sobą, tworząc pointylistyczny obraz. Pomarańcz mieszała się z żółcią, żółć ze szkarłatem — i nagle uświadomiła sobie, że widzi ogień.

Z trudem udało jej się obrócić głowę w stronę Amelii. Po twarzy dziewczynki przemykały płomienie — nie były to jednak realne płomienie, tylko obraz, który Amelia widziała w wyobraźni.



Nagle ogień zaczął skakać wyżej i Ruth mogłaby przysiąc, że słyszy, jak huczy. Odwróciła się do Martina i zobaczyła, że jego głowę także otaczają płomienie. Ogień stawał się coraz gwałtowniejszy, bo wizualizacja Martina zaczęła łączyć się z wizualizacją Amelii, a oboje mieli wizję tego samego infernalnego ognia — choć z dwóch różnych punktów widzenia.

Nie było to zwykłe ognisko, płonący dom towarowy czy nawet pożar tysiącakrowego lasu, ale niekończąca się ściana ognia, który strawi ludzi, domy, lasy i nawet niebo — i będzie płonął po wsze czasy.

Ruth siedziała w fotelu z dłońmi przyciśniętymi do ud, z jednej strony jej skroni dotykał palec Amelii, z drugiej Martina. Wiedziała, że musi wstać i przerwać krąg, ale ciało nie zamierzało jej słuchać. Popatrzyła przez prze-

zroczyście płomienie w oczy doktor Beech, jednak wzrok lekarki był całkowicie rozmyty.

— Doktor Beeeeech! — zawołała, ale zabrzmiało to jak puszczonej na zmniejszonej prędkości płyta. — Doktor Beeeeech!

Było oczywiste, że lekarka jej nie słyszy albo nie może zareagować, bo cały czas miała nieobecny wzrok i mruzczała coś pod nosem.

SZU-SZU-SZU. Jak szelest piasku przesypanego przez wiatr.

Odwróciła się do Amelii. Dziewczynka w dalszym ciągu wpatrywała się w migoczącą kryształową kulę, miała tak samo rozmyty wzrok jak doktor Beech i również coś szeptała. Tak samo wyglądał i to samo robił Martin. Ruth uświadomiła sobie, że sama też szepcze — zbyt cicho i szybko, aby można było zrozumieć słowa, ale brzmiało to jak wciąż powtarzana fraza: „...muszę to uspokoić... muszę to naprawić... muszę to uspokoić... palce płoną... oczy płoną... muszę to uspokoić...”.

Zmarszczyła czoło, próbując zrozumieć ten rwany, niewyraźny szept. Po chwili zauważyła, że na podłodze gabinetu coś leży. Widziała to jedynie kątem oka, ale dostrzegła, że jest to coś białego i kulistego i ma średnicę piłki nożnej.

Musiła użyć całej siły, aby odrobinę przekręcić głowę w bok. Kiedy to robiła, słyszała trzaskanie napiętych mięśni karku.

Biały przedmiot leżał w rogu, tuż obok listwy przypo-

długowej. Choć nie potrafiła określić, co to takiego, budziło niepokój — jakby zapowiadało coś groźnego.

Spróbowała cofnąć głowę, aby zawołać doktor Beech. Czuła, że to, co leży na podłodze, jest bardzo ważne i lekarka powinna to zobaczyć. Być może dostarczyłoby to jej jakiejś istotnej informacji na temat omamów Amelii i Martina i pomogło ich wyleczyć — gdyby się okazało, że leczenie jest konieczne. Zanim jednak udało jej się poruszyć głowę, biały obiekt z podłogi powoli obrócił się wokół własnej osi i lekko uniósł. Ruth już wiedziała, z czym ma do czynienia — patrzyła na białą maskę ze spiczastym nosem i ustami wykrzywionymi w triumfalnym uśmiechu.

Maska wpatrywała się w nią przez sześć długich uderzeń serca. Ruth mogłaby przysiąc, że widzi błyszczące w środku oczy.

Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała. Czy była to jedynie maska, czy też znajdowała się w niej odcięta głowa? Ale jeśli tak, skąd wzięła się na podłodze gabinetu doktor Beech i jakim sposobem się poruszała? Może była to jedynie iluzja, magiczna sztuczka — podobnie jak upiorne płomienie, które w dalszym ciągu widziała w środku utworzonego przez nich kręgu?

Maska nieustannie się w nią wpatrywała i Ruth nie potrafiła oderwać od niej oczu. Zło, jakie z niej emanowało, było niemal dotykalne. Gdyby była w stanie wstać z fotela, przejść przez pokój, podnieść maskę i sprawdzić, czym naprawdę jest, zrobiłaby to, choć nie była pewna, czy

starczy jej na to odwagi. W końcu w masce rzeczywiście mogła się znajdować obcięta głowa...

Mocno zacisnęła powieki.

Niczego tam w środku nie ma — przekonywała samą siebie. — To tylko wytwór wyobraźni Ammy, Martina albo ich obojga razem...

Nagle przez nieustanny szept przebił się basowy głos:

— Nie pamiętasz mnie, mała Ruth? Nie mów, że już zapomniałaś! Chyba aż tak wiele czasu nie upłynęło! Nie pamiętasz Marklandu?

Poczuła się, jakby ktoś wysypał jej na plecy wiadro stonóg. Doskonale знаła ten głos. Wiedziała, kto do niej mówi.

— To ty! — zawołała, usiłując oderwać się od fotela.

Biała maska odtoczyła się do tyłu, uderzyła o listwę przypodłogową i zapadła w dywan, jakby to była woda.

Ruth spróbowała się rozejrzeć. Płomienie w dalszym ciągu migotały, ale choć były teraz bledsze i mniej wyraźne, zarówno Amelia i Martin, jak i doktor Beech siedzieli nieruchomo jak przedtem, zapatrzeni w kryształową kulę.

— Ammy! — krzyknęła.

Szept zaczął narastać, robił się coraz głośniejszy.

— ...uspokoić, uspokoić, uspokoić... naprawić... oczy płoną... palce płoną... uspokoić, uspokoić, uspokoić...

Drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie i zaczęli się przez nie wlewać ludzie. Byli tak rozmazani i przezroczyści, że niemal niewidoczni. Krążyli po pokoju szybkimi,

szarpiącymi ruchami, jak postacie na przyspieszonym filmie. Ruth chciała rzucić się na Amelię i osłonić ją własnym ciałem, ale nie mogła wstać z fotela.

Większość tłoczących się w pokoju zjaw miała czarne, zwęglone twarze, ich ubrania również były poczerniałe, ale tak szybko się poruszały, że nie dało się określić, jak bardzo są popalone. Kiedy wirowały na tle okna, wpadające przez nie światło dzienne migotało. Za każdą z postaci ciągnęła się smuga gryzącego dymu. Do gabinetu wciąż wpadały następne zjawy — niektóre z nich ciągle jeszcze się paliły, płomienie otaczały ich głowy niczym korony, a ciała spowijały falujące ogniste szaty.

— Ammy! — zawołała ponownie Ruth, a przynajmniej tak jej się wydawało. — Ammy, obudź się!

Gabinet doktor Beech zamienił się w kocioł szeptów, szurania stóp i migających stroboskopowo obrazów na wpół spalonych mężczyzn, kobiet i dzieci. Wraz z wpływaniem do środka kolejnych zjaw dym coraz bardziej gęstniał i wkrótce oczy Ruth tak łzawiły, że ledwie mogła cokolwiek dojrzeć. Kaszłała raz po raz, dusząc się od smrodu spalonych ciał, zwęglonych włosów i dymiącej wełny.

— Ammy! Martin! Obudźcie się! — krzyknęła.

Zapaliły się zasłony i po obu stronach okna pod sufit wystrzelił ogień. Temperatura gwałtownie wzrosła i Ruth wiedziała, że za chwilę zapalą się fotele i kanapa. Jeśli nadal nie będą mogli wstać, pozostanie im nie więcej niż kilkanaście minut, zanim uduszą się toksycznym dymem.

— ...oczy płoną... palce płoną... uspokoić, uspokoić...
twarze płoną... naprawić to... uspokoić, uspokoić...

Spróbowała pokręcić głową, zerwać kontakt z palcami Amelii i Martina, ale nie mogła poruszyć głową więcej niż centymetr w każdą stronę. Palce Amelii i Martina wciąż były przyciśnięte do jej skroni. Oboje byli pogrążeni w hipnotycznym transie — który doktor Beech nazywała karuzelą wspomnień — i wydawało się, że nic ich z niego nie wyrwie.

Pochyliła się, wzięła głęboki wdech, zakaszła, znowu wzięła głęboki wdech i rzuciła się do tyłu. Ale fotel się nie przewrócił.

Zasłony płonęły jak zawieszony pod sufitem pochodnie, a czarna skóra na fotelu doktor Beech zaczynała się marszczyć, jakby gwałtownie się starzała.

Cały gabinet wypełniony był tłumem spalonych i nadal palących się ludzi. Niektórzy wyglądali jak cienie, przesuwające się szybko z jednego końca pokoju w drugi niczym spanikowani widzowie uciekający z płonącego teatru. Od czasu do czasu migały między nimi postacie 0 twarzach czarnych jak fotograficzne negatywy i tak poskręcanych ciałach, że przypominały pogarbione karły. Wiele z nich nie miało nóg albo rąk, innym brakowało uszu, powiek, nosów i warg. Wszystkie te zjawy z bólem 1 rozpaczą wpatrywały się w świat, który tak nagle musiały opuścić, pragnąc powrócić do swojego dawnego życia i jednocześnie tęskniąc za spokojem i wieczną ciemnością.

Ruth znowu się pochyliła, wzięła głęboki wdech i zacis-



nęła gardło, aby nie zakaszczać. Policzyła do trzech i z całej siły szarpnęła ciałem w tył.

Fotel przez sekundę chybotął się na tylnych nogach i kiedy już była przekonana, że znowu opadnie na przednie, poleciała do tyłu, na dywan, uderzając się w głowę. Prawdopodobnie będzie miała potężnego guza, ale krąg został przerwany.

Tłumy spalonych i jeszcze płonących ludzi nagle zniknęły, jakby ich nigdy nie było, jednak zasłony w dalszym ciągu się paliły i wszędzie kłębił się gęsty dym. Wszyscy zaczęli kaszleć.

Ruth wstała i objęła córkę.

— Chodź, Ammy... chodź, skarbie, wynośmy się stąd! Ty też, Martin! I pani, doktor Beech! Gdzie jest gaśnica?

Lekarka siedziała zdezorientowana na fotelu i kręciła głową.

— Co się stało? Gdzie się podziali ci wszyscy ludzie?

— Jest pani z powrotem w realnym świecie. Ale musi pani stąd szybko wyjść, bo inaczej nałyka się pani cyjano wodoru.

Doktor Beech wstała niepewnie. Martin podszedł do niej, aby pomóc jej wyjść z gabinetu.

— Niezły numer, Zeldo... — mruknął.

W tym momencie włączyły się tryskacze i chlusnęły na nich strumienie zimnej wody. Amelia krzyknęła i zaczęła machać rękami. Zasłony niemal natychmiast zgasły, a gryzący czarny dym opadł na podłogę.

— Wynośmy się stąd — powiedziała doktor Beech.

Martin zaśmiał się.

— Ale wyglądamy... Jak zmokłe szczury!

— Doro! Zadzwoń po straż pożarną! — zawołała do doktor Beech.

— Już to zrobiłam, pani doktor — odparła recepcjonistka. — Jak tylko zobaczyłam wydobywający się spod drzwi pani gabinetu dym.

— Drzwi były zamknięte? — zdziwił się Martin.

— Tak, proszę pana. Otworzyłam je tylko wtedy, gdy wносиłam kawę.

— Nie rozumiem... Nikt poza panią nie wchodził tu ani nie wychodził?

— Gdyby tak było, chyba bym to widziała.

Jej biurko znajdowało się nie dalej niż półtora metra od drzwi do gabinetu doktor Beech.

Ruth szybko spojrzała za siebie, aby sprawdzić, czy pożar całkowicie zgasł. Z karnisza nad oknem zwisały poczerniałe strzępy zasłon, a leżące na biurku dokumenty były zalane wodą, ale poza tym nie było poważniejszych zniszczeń.

Doktor Beech stanęła za nią, przeciągając palcami przez mokre włosy.

— Jak te zasłony mogły się zapalić? — spytała ze zdziwieniem. — Ci ludzie... przecież tych ludzi wcale tu nie było. Istnieją jedynie w umysłach Amelii i Martina.

Ruth uniosła głowę. Na suficie, tuż nad kręgiem foteli, widać było brązową plamę w kształcie kwiatu. Wyglądała

jak gigantyczna chryzantema i miała przynajmniej dwa metry średnicy.

— Co pani powie na to? Jeżeli ogień, który widzieliśmy, istniał tylko w ich umysłach, to jakim sposobem na suficie znalazły się ślady dymu?

Podszedł do nich Martin.

— To wszystko działa się naprawdę. Ogień, spaleni ludzie. Ani ja, ani Amelia nie wymyśliłyśmy tego. Kiedy ci ludzie przychodzą do nas albo próbują to zrobić, czujemy to. W taki sam sposób, w jaki zwierzęta wyczuwają, że zbliża się trzęsienie ziemi.

— No cóż, chyba teraz muszę w to uwierzyć — stwierdziła Ruth.

— Naprawdę? Co panią przekonało?

— Mogę kwestionować własną rzetelność jako świadka, ale nie mogę kwestionować dowodów. Zasłony nie zapaliły się same, plama od dymu nie jest efektem magii. Zresztą było jeszcze coś... Widziałam na podłodze głowę, tam w rogu.

— Głowę?

— W białej masce, z wyszczerzonymi w uśmiechu ustami.

— Samą głowę?

Ruth kiwnęła głową.

— Samą. Ludzką. Żyłą. Przemówiła do mnie i wiedziała, kim jestem. Ja też wiem, kto to był.

— Proszę mówić.

— Ten człowiek nazywa się Pimo Jackson. Ostatni raz

widziałam go trzy lata temu, w więzieniu stanowym Indiany w Michigan City. To seryjny podpalacz. Wywołał pożar w motelu Markland w Kokomo, w którym zginęło jedenaście osób, w tym troje dzieci. Dwadzieścia siedem innych osób wymagało hospitalizacji z powodu zatrucia dymem i poparzeń.

— Jezu...

— Ale to jeszcze nie wszystko. Pimo Jackson też był jedną z ofiar. Tylko dzięki temu udało nam się go schwytać. Tak gwałtownie rozlewał wokół siebie środek zapalający, że ochlapał sobie nim twarz i zaczęła się palić.

Rozdział 18

Dora przyniosła im ręczniki, żeby się wytarli, po czym Ruth poszła do samochodu po Tysona. Przestało padać, ale niebo nadal pokrywały ciężkie burzowe chmury, a na wschodzie, nad Greentown, widać było płachty ulewy.

Tyson natychmiast wyczuł na swojej pani pozostałości ognia, więc zaczął popiskiwać i szarpać smycz. Ruth pozwoliła mu się wysuszyć przy słupku płotu, a potem zaprowadziła go do budynku. Z daleka dobiegało wycie syreny wozu strażackiego.

— Co tu ma do roboty pies? — spytał zdziwiony Martin, kiedy zobaczył labradora.

— Ten pies został wyszkolony do wykrywania środków zapalających — wyjaśniła Ruth. — Ma na imię Tyson.

— Przecież wiemy, co spowodowało zapalenie się zasłon. Na pewno nie było to podpalenie.

— Jasne, ale muszę postępować zgodnie z regulaminem. Jeżeli chce się udowodnić, że stało się coś, czego nie da

się racjonalnie wyjaśnić, trzeba najpierw sprawdzić, czy rzeczywiście nic nie może tego wyjaśnić. Skąd wiadomo, czy doktor Beech nie nasączyła zasłon benzyną do zapalniczek i ich nie podpaliła?

— Widzieliśmy ludzi... palących się ludzi — odparł Martin. — To oni spowodowali pożar.

Tyson popatrzył na niego i zawarczał.

— Ma pan rację, widzieliśmy ich, ale jak możemy to udowodnić? I gdzie ci ludzie są teraz?

— Wrócili do siebie, przynajmniej na razie. Pod spód, do piekła, czyśca czy jak tam chce pani nazwać to miejsce. Nie pozostaną tam jednak długo, i w tym problem.

Ruth zobaczyła przez okno, że pod budynek podjeżdża wóz strażacki numer 2 — czerwono-srebrny international-pierre contender. Za nim jechał biały ford expedition z migającymi na dachu czerwonymi światłami. Kilka sekund później do kliniki wpadli strażacy i Bob Kowalski, którego twarz była jeszcze czerwiejsza niż zwykle.

— Cześć, Ruthie! — zawołał. — Gdzie ten pożar?

— Nie musiałeś przyjeżdżać, Bob. Paliły się tylko zasłony, ale ogień już został ugaszony.

— I tak nie miałem nic innego do roboty. Grałem z Garym, Keithem i Jimem Kosmonautą w karty i do stawałem od nich lanie.

Ruth odpięła Tysona ze smyczy. Kiedy pies poczłapał do gabinetu doktor Beech, poszli za nim.

— Co tu się stało? — spytał Bob, przyglądając się resztkom zasłon. — Ktoś nie uważał z papierosem?

Ruth pokazała mu wielką plamę na suficie.

— Odbywaliśmy w tym pokoju coś w rodzaju terapii grupowej. Nie umiem dokładnie wyjaśnić, co się wydarzyło. Widziałam różne rzeczy. Każdy z nas je widział. To mogły być halucynacje, ale mogło też być coś prawdziwego.

Bob Kowalski długo przyglądał się plamie na suficie, w zamyśleniu szarpiąc się za górną wargę.

— Widzieliście różne rzeczy i zapaliły się zasłony?

— Zgadza się.

— Jakie rzeczy?

— Najpierw płomienie, a potem ludzi. Sądzę, że może to mieć związek z pożarami, w których zginęły Julie Benfield i Tilda Frieburg, oraz ze spaleniem się autobusu Spirit of Kokomo.

— Widzieliście ludzi? Jakich ludzi? Skąd się wzięli?

— To były ofiary pożarów. Niektórzy ciągle jeszcze płonęli. Podejrzewam, że zasłony zajęły się właśnie od nich.

Podszedł do nich Martin.

— Nazywamy takie zjawiska „odwiedzunami pośmiertnymi” — wyjaśnił. — Ich istnienie zostało potwierdzone przez kilku znanych naukowców.

Bob Kowalski zmrużył oczy.

— Mówi pan o zmarłych?

— Jeśli tak właśnie chce pan ich nazywać, to tak.

— A więc odbywaliście grupową sesję terapeutyczną i wtedy pojawili się zmarli, którzy podpalili zasłony?

— Można tak powiedzieć.
Komendant popatrzył na Ruth.
— Co to była za terapia?
— Chodziło o Amelię. Ma napady lęku.
— Rozumiem.
— Obawiam się, że wcale pan nie rozumie — powie
dział Martin. — Uważa pan, że to zbiorowa histeria,
zapewniam pana jednak, że nie. Ma pan do czynienia
z bardzo niebezpieczną sytuacją.
— Może mi pan powiedzieć, kim pan jest?
Martin wyciągnął rękę, ale Bob ją zignorował.
— Nazywam się Martin Watchman i przyjechałem tu
dziś, aby pomóc Amelii poradzić sobie z napadami lęku.
Zrobiłem to na prośbę doktor Beech i za zgodą matki
dziewczynki.
Bob Kowalski popatrzył na Ruth, jakby oczekiwał, że
zaprzeczy, ale ona kiwnęła głową.
— Martin miał dokładnie takie same napady jak Am-
my — dodała. — Choć to raczej nie napady, ale wizje
albo przeczucia. Nie bardzo wiem, jak to nazwać.
— Chyba poproszę cię o wyjaśnienie tego na kome-
dzie — powiedział Bob. — Chcesz zająć się tym sama, czy
wolisz, żebym przysłał tu Jacka i przekazał mu tę sprawę?
— Bob, dzieje się coś dziwnego i groźnego. Nie wolno
nam tego zignorować.
— Czy powiedziałem, że zamierzam coś zignorować?
Rozumiem, że przeżyliście tu dziś coś niezwykłego, ale to
jeszcze nie powód do szukania mistycznych uzasadnień.

Cokolwiek spowodowało zapalenie się tych zasłon, z pewnością da się racjonalnie wytłumaczyć. Każdy ogień ma fizyczną przyczynę. Ten też nie jest pod tym względem wyjątkiem. Martin pokręcił głową.

— Przyczyna była fizyczna, nie mistyczna — powiedział. — Odwiedziny pośmiertne mogą sprawiać wrażenie zjawiska nadprzyrodzonego, ale nie są nadprzyrodzone. W swojej logice, w swoim czasie i przestrzeni są tak samo rzeczywiste jak pan.

— Chce pan powiedzieć, że jestem duchem?

— Nie, oczywiście, że nie, ale jeżeli ludzie umierają, pozostawiając niezakończoną sprawę, mogą w razie potrzeby wracać, aby je zakończyć. Nie oglądał pan *Zaklinacza dusz*? Oczywiście to fikcja, umierając nie idzie się do światła, ale w cholerną ciemność, przepraszam za język... Ruth widziała tych ludzi, doktor Beech też. To oni spowodowali zapalenie się zasłon. Gdyby Ruth nie przerwała kręgu, mogliśmy wszyscy zginąć.

Amelia wstała i wzięła matkę za rękę.

— Ja też ich widziałam, wujku Bobie — oświadczyła. — Widziałam ludzi i ogień, który osmalił sufit.

Komendant położył dłoń na jej ramieniu.

— Wyjaśnimy to, skarbie, nie martw się. Na pewno jesteś w tej chwili przestraszona i masz mętlik w głowie, ale to wynik wstrząsu. Daj tej sprawie nieco czasu i wszystko zacznie się układać w sensowną całość. Ruthie, może wezwę Jacka, a ty zawieziesz Amelię do domu? Co ty na to?

W tym momencie Tyson szczeknął. Raz, ale głośno.

— Zaczekaj, chłopaku! — zawołała Ruth i wróciła do gabinetu doktor Beech, żeby sprawdzić, co pies odkrył.

Tyson obwąchiwał włókna, które pospadały ze spalonej zasłony. Krążył wokół nich, waląc ogonem w klimatyzator.

Ruth uklękła obok niego.

— Co to jest, Tyson? Co znalazłeś?

Labrador pociągnął nosem i kichnął. Ruth podniosła z podłogi kilka włókien i potarła je między palcem wskazującym a kciukiem. Kiedy wyczuła jakieś małe grudki, przyjrzała się spalonym resztkom materiału. Pokrywał je gruboziarnisty szary popiół. Właściwie nie był to popiół, ale proszek kostny, jaki pozostaje po kremacji.

— Bob! — zawołała. — Musisz to zobaczyć!

Kiedy komendant wchodził do gabinetu, Tyson ponownie szczeknął i wyskoczył na zewnątrz, omal go nie przewracając.

— Tyson! — krzyknęła Ruth. — Dokąd pędzisz?!
Wracaj!

Labrador nigdy przedtem nie ignorował wydawanych mu poleceń, ale tym razem zachowywał się, jakby ich w ogóle nie słyszał. Wyprysnął z budynku i popędził parkingiem.

— Przepraszam — powiedziała Ruth i ruszyła za psem.

Niebo coraz bardziej ciemniało i ponownie zaczynało padać. Tyson przebiegł przez parking, przeskoczył przez zagrządzający wjazd łańcuch i skierował się ku rosnącej po lewej stronie dużej kępie brzoź.

Ruth przeszła przez łańcuch i zaczęła iść przez trawnik.

— Tyson, zaczekaj! Wracaj, ty nieposłuszny draniu!

Nagle zobaczyła, kogo Tyson ściga. Pod gałęziami drzew, z potarganymi włosami i twarzą tak białą, jakby pod skórą świeciło światło, stał Wstrętny Chłopak. Labrador natychmiast podbiegł do niego, a chłopak ukląkł, objął go i mocno przytulił. Tyson piszczął, jakby chciał zostać wyprowadzony na spacer, nakarmiony albo pogłaskany. Nawet polizał chłopaka po policzku. Ruth podeszła do nich ostrożnie.

— Tyson... Noga, Tyson.

— Chce, żeby go pogłaskać — powiedział Wstrętny Chłopak.

Jego głos był piskliwy i arogancki. Choć nie wyraził tego słowami, miało to oznaczać: „Chce, żeby go pogłaskać, więc jak temu przeszkodzisz?”.

— Tyson, do nogi!

Pies odwrócił łeb i popatrzył na swoją panią pełnymi poczucia winy, smutnymi ślepiami, ale nie ruszył się z miejsca. Wstrętny Chłopak głaskał go i raz po raz drapał za uszami — dokładnie tak, jak Tyson lubił.

— Co tu robisz, dzieciaku? — spytała Ruth.

— Może powinienem zadać to samo cholerne pytanie?

— Masz natychmiast puścić mojego psa, rozumiesz?

— Przyjdzie, kiedy zrobi się gotowy. Zobaczysz.

— Powiedziałam, żebyś zostawił go w spokoju!

— Tyś mnie nie zostawiła w spokoju, co nie? Chociaż prosiłem łagodnie jak cukierek.

— Groziłeś mi. To miało być „łagodnie jak cukierek”?

— Zależy, jaki cukierek komu pasuje. Mamy różne cukierki. Czekoladowe i owocowe, ale mamy też kłopotowe, truciznowe i cukiery-cholery.

— Tyson, do mnie!

Pies szarpnął się, ale chłopak go przytrzymał.

— Puść mojego psa!

— Przyjdzie, kiedy zrobi się gotowy, nie wcześniej — powtórzył dzieciak. — I chcę, cobyś i ty była jak cholera gotowa.


— O czym ty gadasz? Puść go!

Podeszła bliżej i złapała Tysona za obrozę, ale chłopak jeszcze mocniej przycisnął psa do siebie. Kiedy wpatrywał się w Ruth swoimi dziwnymi, szeroko rozstawionymi oczami, miała wrażenie, że patrzy na nią z wnętrza akwarium. Miał triumfującą minę.

— Powiedziałem, cobyś mnie zostawiła w spokoju, tak? Powiedziałem. Co muszę zrobić, to muszę zrobić i nie zamierzam pozwolić, byś się wtrącała, bo trzeba ratować dusze i zająć się nieszczęściami. Nie masz prawa kazać ludziom cierpieć katusze wieczne, co nie? Obiecasz mi więc zaraz, że się cofniesz, zostawisz mnie w spokoju i wszystko będzie dobrze i kolorowo, po prostu cukierkowo.

— Puść mojego psa, ty mały draniu!

Wstrętny Chłopak wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu. Miał bardzo małe zęby, jakby jeszcze nie pozbył się mleczaków.



— Najpierw obiecasz. Wszystkie ognie były aktami Boga, i tyle. Nie wsadzaj w nie nosa, chyba że chcesz mieć jeszcze gorsze kłopoty, niż sobie możesz wyobrazić.

Pociągnęła za obrozę Tysona tak gwałtownie, że pies zacharczał, ale chłopak nadal go nie puszczał.

Wstała. Padało naprawdę mocno i krople przelatywały przez liście drzew. Odwróciła się i zobaczyła, że idą do niej Bob Kowalski i Martin Watchman.

— Ruthie? Co się dzieje? — spytał komendant. — Nic ci nie jest?

— Właściwie nie. Mam tylko mały problem z tym młodym człowiekiem. Złapał Tysona i nie chce go puścić.

Bob Kowalski stanął obok nich.

— Daj spokój, dzieciaku. Puść psa.

Chłopak pokręcił głową.

— Chce, coby go pogłaskać.

— No cóż, chłopcze, nie sędzę, żeby to był pies do głaskania. To pies pracujący i ma teraz coś do zrobienia.

— Nie chcę, coby pracował. Chcę, coby przestał węszyć i zostawił mnie w spokoju.

— Jak się nazywasz, chłopcze? Nie powinno cię tu być, to teren prywatny. Twoi rodzice wiedzą, że tu jesteś?

— Moi rodzice nie żyją i mogę iść do każdego cholernego miejsca, gdzie mi się podoba.

Martin pochylił się do Ruth.

— To on? — spytał szeptem. — Wstrętny Chłopak?

Kiwnęła głową.

— To ten sam chłopak, który kręcił się wokół mojego domu — powiedziała cicho.

— Niech mi pani uwierzy, musi być pani bardzo ostrożna. Cokolwiek pani zrobi, nie należy go denerwować. Jak mówiłem, to katalizator.

— O czym mamrotacie? — zapytał chłopak. — Chcecie mi coś powiedzieć, to mówcie głośno, cobym słyszał!

Martin podszedł do niego. Tyson usiłował się uwolnić, ale dzieciak trzymał go mocno.

— Pamiętasz mnie, synu? — spytał Martin. Mówił tak cicho, że Ruth ledwie słyszała jego zagłuszany przez szum deszczu głos. Chłopak podniósł głowę.

— A powinienem?

— Niekoniecznie. Ale ja wiem, kim jesteś. Więcej: wiem, czym jesteś, wiem, dlaczego tu jesteś, i wiem, czego chcesz.

— A kim tyś jest? — zapytał chłopak. — Wiecznie żywy mądrała?

— Skądże znowu. Tak się tylko składa, że wiem, co jest co. Czy puścisz psa, jeśli ta pani ci obieca, że napisze w swoim raporcie, iż wszystkie ostatnie pożary zostały wywołane przez zjawiska naturalne?

Chłopak zmarszczył czoło.

— Co to są jawiska narutalne?

— To znaczy, że nikt nie zawinił. Że może wywołał je piorun, spięcie, wylał się jakiś łatwopalny płyn albo coś

w tym rodzaju. Wtedy wszystkie te sprawy zostaną zamknięte i nikt już nie będzie cię szukać.

— Koniec węszących psów?

— Żadnych psów. Żadnych gliniarzy. Żadnej opieki społecznej, która by chciała ci pomóc. Nikogo ze straży pożarnej. Nikogo.

Cofnął się o dwa kroki, a chłopak popatrzył na Ruth.

— Zrobisz tak? — zapytał.

— Na Boga, potwierdź — szepnął Martin kącikiem ust. — Wcale nie musisz tak myśleć.

Ruth odchrząknęła.

— Dobrze, zgadzam się. Zrobię tak.

— Obiecujesz? Przysigniesz na Boga i pluniesz w niebo?

— Obiecuję.

— Zaraz, zaraz! — zawołał Bob Kowalski. — Mówimy o trzech poważnych przypadkach podpalenia z licznymi ofiarami śmiertelnymi! Nie możemy obiecywać takich rzeczy! Te pożary muszą zostać dokładnie zbadane i nie odpuścimy, dopóki się nie dowiemy, jak się rozpoczęły i kto jest za to odpowiedzialny!

— Komendancie... — wtrącił Martin i zrobił w powietrzu gest, jakby coś klepał. — Mamy tu szczególną sytuację, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

— Słucham? Może i jest pan przyjacielem Ruthie, ale nie sądzę, aby był pan upoważniony do decydowania, co jest szczególną sytuacją, a co nie, ani jak mamy reagować, jeśli faktycznie mamy do czynienia ze szczególną sytuacją.



Funkcjonariusze straży pożarnej Kokomo nikomu nie mogą obiecywać, że będą kryć przypadki możliwego rozmyślnego podłożenia ognia. Nikomu, pod żadnymi warunkami i nigdy.

Ruth podeszła do niego, odwracając głowę od Wstrętnego Chłopaka, żeby nie widział jej twarzy.

— Bob... — powiedziała cicho — proszę, pójdz na to. Proszę. Niech ten dzieciak najpierw puści Tysona, a potem porozmawiamy.

— Ruthie, nie musisz niczego obiecywać temu małowielkiemu. To tylko dzieciak i do tego chudy jak szczapa. Mogłbym go rozerwać jedną ręką.

— Znowu mamrotacie? — zapytał chłopak. — Powiedam, że nie macie nic a nic mamrotać!

Ruth popatrzyła na niego.

— Obiecałam ci, więc puść psa.

— Nie powiedziałaś, że przysiągasz na Boga i plujesz w niebo.

W tym momencie odezwał się telefon komendanta, wyjąc jak syrena wozu strażackiego. Bob otworzył go i przyłożył do ucha.

— Kowalski przy aparacie. Co się dzieje? Jestem zajęty! — Uniósł dłoń, nakazując tym gestem Ruth i Martinowi nic nie mówić ani robić, dopóki nie skończy. Przez chwilę słuchał, nie opuszczając uniesionej ręki. — Kiedy to się stało? Że co? Ile?

— Jeszcze nie obiecałaś — powtórzył Wstrętny Chłopak. — Nie jak trzeba.

— W porządku — odparła Ruth. — Przysięgam na Boga i pluję w niebo.

— Niech mnie cholera, zartujesz sobie ze mnie! — zawołał Bob Kowalski do telefonu. — W porządku, Jim, będę za dziesięć minut. Macie tam kogoś z wydziału podpaleń? Dobrze, jest tu ze mną Ruthie. Tak, jest ze mną. Przywiozę ją.

Zatrzasnął telefon i popatrzył na nich z ponurą miną.

— Co się stało? — spytała Ruth.

— Córka Charlesa Gardnera, Nadine, w stajniach Weatherfield. Podobno zaszlachtowała siedem swoich koni... poderżnęła im gardła.

— Nadine Gardner? Nie wierzę. Taka miła dziewczyna... Wiadomo, dlaczego to zrobiła?

— Nie znamy jeszcze szczegółów. Nadine nie żyje. Wygląda na to, że próbowała odjechać z terenu stajni na swoim ulubionym koniu i oboje się zapalili.

— Co takiego? Jak to: „zapalili się”?

— Ciała są niemal skremowane, tak powiedział Jim. Jeźdźca i konia. Charles Gardner właśnie wracał do domu, a oni wjechali na niego. Kiedy skręcał na podjazd, pędzili jak czworonożna kula ognia.

Ruth popatrzyła na Martina, a potem na Wstrętnego Chłopaka.

— Spokojnie... — mruknął ostrzegawczo Martin.

Ruth podeszła do chłopaka, złapała obrozę Tysona i szarpnęła.

— Puszczaj psa! Dałam ci obietnicę, więc puszczaj go!

— Nie! Nie ufam ci! Myślisz, że ten ogień też zacząłem, tak? Myślisz, że zapaliłem dziewczynę i konia!

— A nie miałeś z tym nic wspólnego? Tak jak nie miałeś nic wspólnego z poprzednimi trzema pożarami? Skąd w ogóle o tym wiesz? No skąd?! Jak mogą zapalić się koń i jeździec? Jak?

— Czynem Boga. Wszystko zadziałał Bóg.

— Bóg? Bóg nie miał z tym nic wspólnego. To ty wywołałeś te wszystkie pożary. Nie wiem jeszcze jak, ale pozwól, że coś ci powiem: jeżeli cokolwiek mogę tu dziś obiecać, to obiecuję ci, że się tego dowiem, a kiedy się dowiem, przekażę dowody glinom i zostaniesz zamknięty w Ośrodku Karnym dla Młodocianych Hrabstwa Howard na tak długo, jak to tylko będzie możliwe. Przysięgam na Boga i pluję w niebo!

Kiedy to mówiła, chłopak odsuwał się od niej, przez cały czas ściskając psa. Tyson wił się i szarpał, ale był bezsilny. Zachowywał się, jakby zupełnie stracił siły albo nie potrafił podjąć decyzji, kogo ma słuchać.

— Dawaj mi psa, gnoju! — krzyknęła Ruth. — Dawaj psa albo oderwę ci uszy!

— Nie denerwuj go! — zawołał ostrzegawczo Martin.

Ale Ruth była zbyt wściekła, aby zwracać uwagę na to, co się wokół niej działo. Podeszła do małolata i ponownie pociągnęła za obrozę Tysona.

— Dawaj... mi... mojego... pieprzonego... psa!

Nieoczekiwanie chłopak eksplodował ogniem. Pomarańcze płomienie ogarnęły go całego tak szybko, jakby był

polany benzyną i przyłożono do niego zapałkę. Zawył z bólu i Tyson mu zawtórował —jego wycie przypominało wrzask niemowlęcia. Ruth odskoczyła do tyłu, ale i tak ogień zdążył poparzyć jej dłonie.

— Tyson! — krzyknęła, jednak choć pies szarpał się wściekle, płonący chłopak go nie puszczał.

— Piana! — wrzasnął Bob Kowalski do stojących przy pompie ludzi. — Keiller! McKay! Potrzebujemy tu piany, natychmiast!

Ruth zerwała z siebie płaszcz i owinęła nim dłonie.

— Nawet o tym nie myśl! — krzyknął komendant.

Chłopak płonął jak ogromna pochodnia, kolumna ognia nad nim miała ponad dwa metry. Ogień płonął z każdą sekundą intensywniej.

Ruth uniosła dłonie i ostoniła nimi twarz, czuła jednak gorąco płomieni przez spodnie. Mimo to podeszła do chłopaka najbliżej, jak się dało, i desperacko próbowała wyrwać mu psa, ale Tyson też płonął. Jego czarne futro było już spalone i spod niego ukazała się czerwona skóra. Szarpał się konwulsyjnie na boki niczym karaluch na elektrycznej płytce. Po chwili kręgosłup przebił mu skórę na plecach.

Patrzyła na to z przerażeniem i rozpaczą.

— Tyson! Boże... Tyson...

Labrador odwrócił łeb i popatrzył na nią, ale temperatura siedmiuset, może nawet więcej stopni Celsjusza nie dawała mu szans. Ruth doskonale wiedziała, że nie może nic zrobić, że nie jest w stanie oszczędzić mu nawet cząstki

bólu i pozostaje jej tylko patrzeć, jak umiera. Próbowwała dojrzeć przez płomień twarz chłopaka, ale widać było jedynie poczerniałą czaszkę i wystrzeliwujące z pustych oczodołów płomień, a gdy w którymś momencie opadła dolna szczeka, płomień wystrzelił także z ust.

— Tyson, Boże... Tyson, Boże...

Temperatura tak bardzo wzrosła, że musiała cofnąć się jeszcze dalej. Od strony pompy bieгло już w ich stronę trzech strażaków, ciągnąc za sobą długi wąż. Po chwili zaczęli łać na ogień pianę i po kilku sekundach go ugasili. Na ziemi pozostał jedynie czarny krąg wypalanej trawy i mała kupka zwęglonych kości.

Na widok dymiącej klatki piersiowej Tysona Ruth przypomniały się zeberka, które jadła tydzień temu w Windmill Grill, i do gardła podeszły jej wymiociny. Odwróciła się i zgięła w pół. Widziała mnóstwo spalonych ludzi i zwierząt, ale jeszcze nigdy nie czuła się tak niedobrze. Tyson był jej psem. Miała się nim opiekować i chronić go i czuła się teraz tak, jakby patrzyła na śmierć swojego dziecka w płomieniach.

Martin podszedł do niej i objął ją.

— Dobrze się czujesz? — zapytał. — To nie była twoja wina.

Wokół nich snuł się dym, a w powietrzu unosił się zapach spalonych włosów i ciała. Popatrzyła na Martina oczami pełnymi łez.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Ostrzegałeś mnie. — Odwinęła płaszcz i spojrzała na swoje pokryte pęcherzami

dłonie. — Jezu, ależ to boli... Nie wyobrażam sobie, co musiał czuć Tyson.

— Ruth, to nie była twoja wina. Chłopak zrobił to, aby zniechęcić cię do dalszego prowadzenia śledztwa. Ma do wypełnienia piekielną misję i nie chce, żebyś mu w tym przeszkadzała. Jak już mówiłem, najlepiej będzie, jeśli wyjedziesz z całą swoją rodziną... jak najdalej stąd.

— Skoro to mnie próbuje powstrzymać, dlaczego nie spalił mnie zamiast Tysona?

— Chciałbym to wiedzieć, ale nie mam pewności. Jest tak wiele rzeczy na temat życia pozagrobowego, o których nic nie wiemy... i nie dowiemy się, dopóki nie umrzemy. A wtedy będzie już za późno.

Podeszła do skraju zwęglonego placka ziemi, na którym Wstrętny Chłopak i Tyson się zapalili. Trawa, liście i ściółka zostały kompletnie wypalone, pozostała jedynie naga, dymiąca ziemia. Na środku leżał szkielet Tysona, a wokół niego nity z obroży i blaszka z psimi numerkami.

Bob Kowalski pociągnął nosem, jakby chciał wyczuć kryjące się w dymie zło.

— Naprawdę mi przykro z powodu Tysona, Ruthie — powiedział. — Co za niesamowita sprawa...

— To był właśnie ten dzieciak. Wstrętny Chłopak. Stwór z sennego koszmaru.

— Po prostu się zapalił... Bez środka zapalającego, niczego. Nawet bez zapalniczki.

— Mówiłam ci, Bob. To jak zły sen i teraz sam też go obejrzałeś. Julie Benfield, Tilda Frieburg, autobus Spirit

of Kokomo. Sadząc po tym, co ci powiedziano przez telefon, w taki sam sposób spaliła się również Nadine Gardner. Jak koń i jeździec mogą się zapalić? A teraz biedny Tyson...

— Co chcesz mi przez to powiedzieć, Ruthie? To wszystko, co mówiłaś o zmarłych... rzeczywiście sądzisz, że to prawda?

— Nie wiem, ale uważam, że powinniśmy dopuścić różne możliwości. Wszystkie te pożary wykraczają poza nasze doświadczenie. Wiesz, jak pracujemy z Jackiem. Zawsze trzymamy się dowodów, ale tu dzieje się coś całkowicie nienaturalnego... na razie nie znaleźliśmy niczego, co by to wyjaśniało.

Strażacy przynieśli reflektory i rozstawili je, aby oświetlić spaloną ziemię. Bob Kowalski osłonił dłońią oczy i z ponurą miną popatrzył na to, co zostało z Tysona.

— Gdzie jest dzieciak? — zapytał po chwili. — Gdzie jego szczątki?

— Zaczekaj — odparła Ruth.

Ostrożnie podeszła do szczątków Tysona. Tylne łapy i ogon były mniej spalone i kości w tych miejscach się nie rozpadły. Znowu zrobiło jej się niedobrze. Wzięła trzy głębokie wdechy, kucnęła i dokładnie obejrzała ziemię wokół szkieletu psa. Była pokryta kupkami gruboziarnistego szarego proszku, częściowo zmoczonego pianą gaśniczą. Wzięła grudkę mokrego popiołu i pokazała ją Bobowi Kowalskiemu.

— Co to takiego? — spytał.

— Wstrętny Chłopak. A przynajmniej to, co z niego zostało.

— Żartujesz sobie ze mnie! Widziałem ten ogień na własne oczy! Był bardzo intensywny, to prawda, ale nawet w najgorętszym ogniu nie uzyskuje się takiego popiołu! Do tego potrzebne jest specjalistyczne krematorium i zmielenie kości w starej, dobrej cremboli.

— To prawda, komendancie — przyznał Martin.

— Więc w jaki sposób...

Nagle Ruth zauważyła, że zbliża się do nich Amelia.

— Przepraszam, Bob, ale ona nie może zobaczyć szczątków Tysona. Uwielbiała tego psa.

Dobiegła do Amelii, kiedy dziewczynka przechodziła przez ogrodzenie. Ujęła ją za rękę.

— Tak mi przykro, skarbie... Był wypadek. Tyson się spalił.

— Wiem. Co się stało z twoimi palcami?

— Poparzyłam je. Próbowałam wyciągnąć Tysona, ale nie mogłam. Było zbyt gorąco.

W oczach Amelii zamigotały łzy.

— To ten Wstrętny Chłopak, prawda? Czuję go. Wiedziałam, że tu jest.

Ruth kiwnęła głową.

— Tak mi przykro... — powtórzyła. — Urządzimy Tysonowi piękny pogrzeb na cmentarzu dla zwierząt.

— Są teraz razem — powiedziała Amelia. — Tyson i Wstrętny Chłopak.

— Jak to „razem”?

— Są pod spodem, ale spróbują wrócić. Wiem to.
Czuję to.

— Ammy, Tyson nie żyje.

Dziewczynka pokręciła głową.

— Nie. Są teraz razem. On i Wstrętny Chłopak. I wrócą,
na pewno.

Rozdział 19

— Przydałoby mi się coś do picia — stwierdziła Ruth.

Amelia pogrzebała w swojej purpurowej, robionej na drutach torbie i wyciągnęła z niej butelkę gatorade no excuses.

— Proszę, mammo. Jest trochę ciepła, ale mokra.

— To miłe z twojej strony, skarbie, chyba jednak potrzebuję czegoś mocniejszego.

Popatrzyła w lusterko wsteczne.

— Jedzie za nami? — spytała Amelia, obracając się w fotelu.

— Mam nadzieję, że nie popełniłyśmy błędu, zapraszając go do domu.

— Mamo, Martin mówi prawdę, przysięgam. Sama widziałaś tych palących się ludzi. I maskę. I Wstrętnego Chłopaka.

— W dalszym ciągu trudno mi w to uwierzyć. Martwi

ludzie powracający z piekła? Musi być jakieś inne wyjaśnienie tego wszystkiego.

— Powiedziałaś Martinowi, że mu wierzysz.

— Powiedziałam, że niemal wierzę.

— A ja jestem przekonana, że Martin mówi prawdę.

Mnie chyba wierzysz?

— Tak, wierzę ci, skarbie. Chociaż wolałabym nie wierzyć.

Martin zarezerwował sobie pokój w hotelu Courtyard przy Kentucky Drive, ale Ruth nalegała, aby przyjechał na kolację. W końcu był w obcym mieście i niezależnie od tego, co nim naprawdę kierowało, przebył długą drogę, aby im pomóc.

Poza tym koniecznie musiała z nim porozmawiać o tym, co się stało w klinice. Chciała zrozumieć, skąd przybyli ci wszyscy płonący ludzie i dlaczego Wstrętny Chłopak ukarał ją spaleniem Tysona. Musiała się dowiedzieć, dlaczego histerycznie uśmiechnięta maska przemawiała do niej głosem Pima Jacksona.

Nie było sposobu sprawdzenia, czy Martin nie jest „lewy” i czy profesor Frederick Solway rzeczywiście istnieje, ani czy dziewięć kręgów piekła jest bardziej realne od Tolkienowskiego Śródziemia. Martin mógł być zwykłym oszustem albo chorym psychicznie, ale z drugiej strony nawet po badaniach laboratoryjnych, jakie przeprowadziła z Jackiem, żaden z dowodów zebranych w miejscach pożarów, które badali, nie miał najmniejszego sensu. Choć mogło się to wydawać nieprawdopodobne, teoria

Martina była na razie jedyną teorią, która pasowała do większości faktów.

Było też jeszcze coś. Między Martinem i Amelią utworzył się trudny do określenia, ale wyraźnie wyczuwalny związek. Nie musieli porozumiewać się słowami — wystarczyła im wymiana spojrzeń. Ruth musiała przyznać, że także i ją obecność Martina w jakiś dziwny sposób uspokajała, jakby był jej starym kolegą ze szkoły i znała go od wieków. Może właśnie ten rys osobowości czynił z niego dobrego oszusta, ale w tej chwili dla Ruth nie miało to znaczenia.

Kiedy skręcili na podjazd, okazało się, że pod domem stoi explorer Craiga.

Ruth z przyzwyczajenia obeszła swój samochód, zamierzając otworzyć klapę z tyłu i wypuścić niecierpliwącego się Tysona, ale przypomniała sobie, że już go nie ma i nigdy nie będzie. Popatrzyła na Amelię, która odwzajemniła jej się smutnym spojrzeniem.

Martin zaparkował swojego poobijanego taurusa przy krawężniku i ruszył za nimi w stronę werandy.

— Nie będzie problemu? — spytał. — Czy twój mąż nie będzie miał nic przeciwko temu, że zjem z wami kolację?

— Oczywiście, że nie. Dlaczego miałby mieć?

Martin wzruszył ramionami.

— Niektórzy mężczyźni dość sceptycznie podchodzą do życia po życiu.

Ruth otworzyła drzwi frontowe.

— Widzieliśmy, co widzieliśmy. Może byli to martwi ludzie przybywający z piekła, a może nie, nie możemy jednak udawać, że ich nie widzieliśmy ani że Tyson nie został spalony na naszych oczach. Musimy o tym porozmawiać, i to niezależnie od tego, co ktoś o tym sądzi.

Craig krążył po salonie i rozmawiał przez telefon.

— Wiem, Roger, wiem, ale nie mogę zejść poniżej siedemdziesięciu ośmiu tysięcy pięciuset. Muszę przynajmniej wyjść na zero. — Przerwał na chwilę, posłuchał, po czym powiedział: — W porządku, ale dobrze wiesz, że gwarantuję wykonanie najwyższej jakości. Znacznie lepszej niż Hausmann's.

Rozłączył się. Miał wory pod oczami i potargane włosy.

— To był Roger Letterman — wyjaśnił. — Chyba właśnie straciłem sześć kuchni w Cottonwood Drive. Nie mam pojęcia, jak ktoś może wyposażyć je taniej. Chyba że zrobi błaty z prasowanego końskiego łajna. Cóż, w każdym razie mam jeszcze kontrakt z Logansport.

— Craig, to jest Martin Watchman — przedstawiła swojego gościa Ruth. Miała tak bardzo ściśnięte gardło, że mówienie przychodziło jej z trudem. Craig patrzył na nią, najwyraźniej nie rozumiejąc, o co chodzi, więc dodała: — Martin przyjechał dziś z Chicago, aby pomóc Ammy w związku z tymi napadami lęku...

— Ach... jasne — mruknął Craig i wyciągnął rękę. — Miło mi cię poznać, Martin. Jak wam poszło? Zrobiliście postępy?

— Tyson nie żyje — powiedziała Ammy.

Jej policzki błyszcząły od łez. Podbiegła do ojca i objęła go.

— Że co? Co się stało?

— To było straszne... — zaczęła Ruth łamiącym się głosem. — Cała ta sprawa jest przerażająca. Wizje, które ma Ammy... ja też ich widziałam. Wszyscy ich widzieliśmy. Potem pojawił się Wstrętny Chłopak... objął Tysona i obaj zaczęli się palić. Zapalili się jak pochodnia...

— Co takiego?

— Pańska żona przeżyła silny wstrząs, panie Cutter — wyjaśnił Martin. — Sądzę, że bardzo przydałoby się jej coś mocniejszego.

♦ ♦ ♦

Siedzieli w kuchni przy butelce wina i rozmawiali niemal przez godzinę. We troje opowiedzieli Craigowi o eksperymencie z metodą Liebaulta, jakiemu się poddali w klinice doktor Beech, i opisali wszystko, co się wtedy wydarzyło.

Craig z niedowierzaniem pokręcił głową.

— I przez te pośmiertne odwiedziny zapaliły się zaśłony?

— Mój drogi, to nie są duchy ani hologramy. To prawdziwi ludzie.

— Ale nie żyją?

— Nie żyją, jednak wcale nie spoczywają w pokoju — odparł Martin. — Znajdują się o ułamek sekundy przed nami w czasie, to wszystko. To tak, jakby ktoś szedł przed

tobą ulicą, cały czas wyprzedzając cię o dwadzieścia metrów. Jeśli będziesz iść z tą samą szybkością, nigdy go nie dogonisz, ale jeśli ten człowiek się odwróci i ruszy w twoim kierunku, spotkacie się bardzo szybko, ponieważ będziecie zbliżać się do siebie z podwójną prędkością.

— O czym on mówi? — spytał Craig, patrząc na Ruth. — Czy wiesz, o czym on mówi?

— Spróbuj zrozumieć... Nie mam pojęcia, czy teoria Martina o piekle jest prawdziwa, czy nie. Nie potrafię jej zweryfikować, ale także nie umiem jej obalić.

— Prochy Andiego... — szepnęła Amelia.

— Słucham? — spytał Martin.

— Prochy Andiego. Ktoś szepnął mi do ucha słowa: „prochy Andiego”.

Craig odchylił się razem z krzesłem do tyłu i zaczął bębnić palcami po blacie.

— Nie chcę psuć wam zabawy, ale to mi wygląda na klasyczny przypadek zbiorowej histerii. Tak się wkręcaliście, aż w końcu zaczęliście wierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Jeśli jednak odsuniecie na bok emocje i choć przez chwilę pomyślicie logicznie, zobaczycie, że to absolutnie niemożliwe.

— Ruth mówiła, że wierzysz w życie po życiu — powiedział Martin.

— Bo tak jest. Wierzę, że po śmierci jesteśmy osądzeni przez Boga i dostajemy to, na co zasłużyliśmy. Jeśli staraliśmy się prowadzić dobre i uczciwe życie, posyła się

nas do nieba, ale jeśli świadomie i dobrowolnie wybraliśmy zło, idziemy do piekła.

— Więc w czym problem, Craig? Wierzysz w dalsze istnienie po śmierci, a my właśnie o tym mówimy.

— Wiem, ale choć wierzę w życie po śmierci, nie wierzę, że martwi ludzie wracają do świata żywych, niezależnie od tego, dokąd zostali posłani. I na pewno nie wierzę w to, że podpalają niewinnych ludzi.

— Nie tylko ludzi — wtrąciła Amelia. — Psy też.

— Ludzi, psy, nieważne. Nie wierzę w to. Nie wierzę w możliwość powrotu duszy, bez względu na to, jakie nierozwiązane problemy po sobie pozostawiła.

— Uważasz tak, ponieważ jesteś monoteistą — stwierdził Martin.

— To znaczy?

— Wierzysz w istnienie jednego Boga. W pewnym stopniu masz rację. Jest Najwyższą Istotą, choć nie przypomina starszego pana z brodą siedzącego na burzowej chmurze, jak przedstawił go na swoim obrazie Michał Anioł.

Craig uniósł dłonie.

— Proszę, tylko bez bluźnierstw...

— Nie zamierzam bluźnić, chcę tylko, żebyś zrozumiał, że oprócz tej Najwyższej Istoty istnieje mnóstwo pomniejszych bogów wykonujących różne mniej ważne zadania. Tak w każdym razie twierdzi profesor Solway. Uważa, że istnieją bogowie szczęścia, bogowie smutku, bogowie pocieszający ludzi, którym się wydaje, że ich życie spływa

do kibla... przepraszam za język. Na pewno słyszałeś 0 ludziach, którzy znaleźli się w jakiejś bardzo niebezpiecznej sytuacji i potem byli gotowi przysiąc, że pojawił się wtedy przy nich ktoś, kto pomógł im przetrwać. Shackleton był przekonany, że kiedy jego wyprawa błąkała się w okolicy bieguna południowego, ktoś z nimi szedł i zaprowadził ich do miejsca, w którym udzielono im pomocy. Jedenastego września na siedemdziesiątym szóstym piętrze World Trade Center uratował się człowiek, który twierdził, że udało mu się to tylko dzięki temu, iż w pewnym momencie pojawił się przy nim jakiś nieznajomy i kazał mu wbiec w płomienie... sam nigdy by się na to nie zdecydował, powstrzymałby go instynkt samozachowawczy. To właśnie są ci pomniejsi bogowie, Craig. Jednak nie wszyscy są mili. Sądzę, że w przypadku pożarów, które bada twoja żona, mamy do czynienia z bogami zemsty albo złego losu.

Craig wstał.

— Przykro mi, Martin, ale moim zdaniem to wierutne brednie. Może wypijemy jeszcze po kieliszku i zmienimy temat?

Martin nie dał się zbić z tropu.

— Craig... jaki masz dowód na istnienie Boga? Żadnego, prawda? Żadnego. A jednak w niego wierzysz. Tak więc przynajmniej spróbuj dopuścić do siebie myśl o istnieniu pomniejszych bóstw. Profesor Solway jest przekonany, że są wśród nich bogowie, duchy albo jakieś inne siły, które mogą uwolnić dusze grzeszników od wiecznych katuszy.

Według niego potępieni mogą zawierać z nimi układy i jeżeli dokonają rytualnego ofiarowania, które ostatecznie rozwiąże ich niezłatwione przed śmiercią problemy, bogowie zapewnią im spokój.

— To jakaś kosmiczna bzdura!

— Craig! — skarciła go Ruth, ale zbył ją machnięciem ręki.

— Dlaczego tak uważasz? — nie odpuszczał Martin. — Komunia to odtworzenie ostatniej wieczerzy, prawda? A katolicy wierzą w przemienienie... w to, że pijąc komunijne wino i przyjmując opłatek, spożywają krew i ciało Chrystusa. Jeżeli te pożary nie są rytualną ofiarą, to nie mam pojęcia, czym mogą być.

— Przecież zginęli w nich niewinni ludzie. Bóg na pewno by na to nie pozwolił.

Martin wzruszył ramionami.

— Gdyby Bóg nie pozwalał na śmierć niewinnych ludzi, mielibyśmy niezwykle szczęśliwy świat. Ale jedno cześniej bardzo nudny.

— Ktoś jest głodny? — spytała Ruth. — Co powiecie na zapiekankę z trzema rodzajami sera i sałatkę?

— Brzmi zachęcająco — stwierdził Martin z uśmiechem.

Craig pokręcił głową.

— Nie, dziękuję — odparł. — Nie jestem głodny. Jadłem z Mikiem Wattersonem burgera w A&W.

Otworzyły się drzwi frontowe i wszedł Jeff. Miał nastroszone z jednej strony włosy i czarny T-shirt z napisem

CATTLE DECAPITATION*. Tuż za nim pojawili się detektywi Ron Magruder i Sandra Gamet.

— Spotkaliśmy się przy wejściu — wyjaśnił Jeff.

— Przepraszam, że przeszkadzamy, Ruth — powiedział Magruder. — Słyszeliśmy o Tysonie. Nawet nie wiesz, jak bardzo nam przykro. Był wspaniałym psem. Naprawdę wspaniałym.

— Będzie nam go wszystkim brakowało — dodała detektyw Garnet. — Zwłaszcza tobie.

— Na pewno — przyznała Ruth. — Widziałam, jak umiera, ale ciągle nie potrafię uwierzyć, że odszedł.

— Nie odszedł! — zawołała Amelia. — Mówiłam ci! On wróci!

Ruth objęła ją mocno.

— Porozmawiamy o tym później, dobrze? Wydaje mi się, że detektyw Magruder ma mi coś do powiedzenia.

Jeff złapał kawałek zapiekanki i zaczął jeść. Podeszedł do lodówki, wyjął z niej puszkę doktora Peppera i popatrzył na ojca.

— Myślałem, że mamy dziś jechać po mój nowy samochód...

— Tak, oczywiście — odparł Craig. — Chyba już najwyższy czas. Ruth, skarbie, pojedziemy do Gusa Proberta po tego grand prixa, dobrze? Gus mieszka przy Meadow Drive, tuż obok pola golfowego, więc nie powinno nam

* *Cattle decapitation* (ang.) — obcinanie łbów bydła.

to zająć więcej niż trzy kwadransy. Jeff, możesz zadzwonić po taksówkę? — Taaa jessst! — zawołał Jeff i zacisnął dłoń w pięść.

Ruth przedstawiła detektywom swojego gościa.

— Martin przyjechał z Chicago, by pomóc w terapii Ammy.

Ron Magruder i Sandra Garnet uścisnęli mu rękę.

— Miło nam cię poznać. Jak każdego przyjaciela naszej koleżanki.

— Byliście już w stajniach Weatherfield? — spytała Ruth.

— Byliśmy — odparł Magruder. — Jack ciągle jeszcze tam jest, razem z Val Minelli. Jeszcze nigdy nie widziałś czegoś podobnego. — Zerknął na Martina. — Możemy o tym teraz mówić?

— Oczywiście — odparła Ruth. — Martin pomaga nam to wszystko pojąć. Ammy... mogłabyś iść z za piekanką do siebie? Nie sądzę, abyś chciała słuchać o takich okropnościach.

— Widziałam, jak Tyson się pali.

— Wiem, ale wołałabym, żebyś tego nie widziała. Będziesz potem miała koszmary nocne.

— Tyson wróci — oświadczyła Amelia, patrząc na Magrudera.

— Naprawdę? No cóż, chyba psy też mają duszę, mam rację?

— Nie mają, ale on wróci.

— Ammy... chciałabym sama porozmawiać z detektywem Magruderem. Bądź dobrą dziewczynką i idź do swojego pokoju.

— Jak chcesz... — mruknęła Amelia, wzięła talerz i ruszyła na górę.

— Ma charakterek — zauważyła detektyw Garnet.

— Nie tylko charakterek — odparł Martin. — Ma też wielką wrażliwość. Z powodu zespołu Williamsa może wychwytywać w atmosferze różnego rodzaju zakłócenia, z których inni ludzie w ogóle nie zdają sobie sprawy. Jeżeli ktokolwiek może nam pomóc się dowiedzieć, kto odpowiada za te wszystkie dziwne pożary, to właśnie ona.

— Naprawdę pan tak uważa? — spytał Magruder.

— Ja również wyczuwam różne rzeczy, jednak nie tak wyraźnie jak Ammy. Przed chwilą powiedziała, że ktoś szepnął jej do ucha: „prochy Andiego”, ale nikt poza nią tego nie słyszał. Naprawdę jest niesamowita.

— Może siądziecie? — zaproponowała Ruth. — Opowiedzcie mi o Nadine Gardner. Wiecie już, co tam się stało?

Detektyw Garnet usiadła i wyjęła notes.

— Radiowóz wydziału policji Kokomo odebrał wezwanie i patrol pojechał do stajni Weatherfield przy Isaac Walton Road. Znalaziono tam właściciela, pana Charlesa Gardnera, w silnym szoku. Oświadczył, że kiedy wjeżdżał na podjazd, w jego stronę galopował koń z jeźdźcem, oboje płonący jak pochodnia, i zderzył się z jego SUV-em. W chwili zderzenia doszło do eksplozji, w wyniku której

koń i jeździec zostali rozczłonkowani. Pan Gardner porównał to do wybuchu bomby. Fragmenty ciała konia i jeźdźca zostały rozrzucone w promieniu dziesięciu metrów, ale obok samochodu, na podjeździe, pan Gardner znalazł ludzkie przedramię ze srebrną bransoletką, którą wraz z żoną dał córce z okazji ukończenia przez nią studiów weterynaryjnych.

— Boże... — westchnęła Ruth. — Kilka razy spotkałam Nadine na pokazach konnych. Była taką miłą dziewczyną...

Detektyw Garnet odwróciła kartkę notesu i czytała dalej.

— Przybyli na miejsce zdarzenia funkcjonariusze udali się do domu państwa Gardnerów, gdzie przesłuchali służącą Córę Wilkins i Duncana Scruggsa, chłopaka stajennego. Do chwili zderzenia Nadine Gardner i jej konia z samochodem pana Gardnera żadne z nich nie widziało ani nie słyszało niczego niezwykłego. Funkcjonariusze poszli do stajni, gdzie stwierdzili, że siedem z osiemnastu znajdujących się tam koni zostało zabitych przez podcięcie tętnic szyjnych. Wszędzie znajdowały się krwawe odciski dłoni, znaleźli także zakrwawiony nóż, którym prawdopodobnie zaszlachtowano zwierzęta. Czekamy jeszcze na wynik badania odcisków palców, ale nic nie wskazywało na to, żeby w chwili zdarzenia w stajni przebywał ktokolwiek poza Nadine Gardner, a odciski dłoni były — jak stwierdzili w swoim raporcie funkcjonariusze — „małe, prawdopodobnie kobiece”. Na podłodze stajni znaleziono ubranie Nadine Gardner, wraz z bielizną, więc podczas zabijania koni prawdopodobnie była naga.

Ruth z niedowierzaniem pokręciła głową.

— Nadine zabiła siedem należących do jej rodziny koni, a potem wsiadła na kolejnego i podpaliła się razem z nim?

— Właśnie tak to wygląda.

— Czy między nią i rodzicami były jakieś napięcia? Coś, co mogłoby sprowokować podobne zachowanie?

— Nic takiego nie przychodziło państwu Gardner do głowy. Oboje zeznali, że Nadine sprawiała wrażenie bardzo szczęśliwej. Całe jej życie wypełniały konie i jazda konna i uwielbiała pracować w stajni. Nie wiedzą o niczym, czym poza tym mogłaby się zajmować. Żadnych problemów z chłopakami, ponieważ nie miała stałego chłopaka. Żadnych problemów z narkotykami, alkoholem, psychiką. Niczego, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego zrobiła to, co zrobiła.

— Ale? — zapytał Martin.

Ruth odwróciła się i popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Proszę mi wybaczyć, lecz wyczuwam tu jakieś „ale”.

— Ma pan rację — przyznał Magruder. — Jest pewne „ale”. Kiedy rozmawiałem z Charlesem Gardnerem, powiedział, że to, co się stało, „przypominało Flying X”. Nie wiedziałem, co to ma znaczyć, ale mi wyjaśnił. Trzy lata temu pewna młoda kobieta, pracująca w stajniach pod Scottsdale w Arizonie, zrobiła coś bardzo podobnego. Poderżnęła gardła siedmiu koniom i podpaliła stajnię. Doznała bardzo rozległych poparzeń i po czterech dniach zmarła w szpitalu.

— Kiedy skończyliśmy rozmawiać z Gardnerami, wróciliśmy na komendę i skontaktowaliśmy się z wydziałem policji w Scottsdale — dodała detektyw Garnet. — Przesłali nam materiały dotyczące sprawy z Flying X. Przed śmiercią ta młoda kobieta złożyła policji oświadczenie. Twierdziła, że była w stajniach więźniem, a jej właściciel oraz dwóch jego dwudziestoparoletnich synów wielokrotnie wykorzystywało ją seksualnie. Właśnie dlatego zabiła im konie i podpaliła stajnię. Zrobiła to z zemsty.

— Co się stało z tym właścicielem i jego synami?

— Nic. Nie było żadnych świadczących przeciwko nim dowodów, żadnych świadków z wyjątkiem trzeciego syna, trzynastoletniego chłopaka, który powiedział policji, że ta młoda kobieta była „wstrętnie” traktowana przez jego tatę i braci. Małolat został zbadany przez policyjnego psychiatrę, ale wtedy okazało się, że po pierwsze ma bardzo niski iloraz inteligencji, a po drugie lubi opowiadać różne niestworzone historie.

Martin przysłuchiwał się temu uważnie, przez cały czas przyciskając dłoń do ust. W końcu wyprostował się na krześle i włączył do rozmowy.

— Tak sądziłem — powiedział. — Jak już wcześniej mówiłem, to było rytualne złożenie ofiary.

— Nie rozumiem... — mruknął Magruder.

— Ta młoda kobieta ze Scottsdale w wyniku poparzeń zmarła, pozostawiając w świecie żywych niedokończone sprawy. Wszystko, co wtedy zrobiła, trzeba było powtórzyć, aby jej ból się skończył i mogła odnaleźć spokój.

— Rytualne złożenie ofiary? — powtórzył Magruder. Popatrzył na swoją koleżankę i uniósł brwi. — Rozumiem...

— Wcale nie oczekuję od pana zrozumienia tego, o czym mówię — powiedział Martin. — A nawet jeśli pan rozumie, nie oczekuję akceptacji. Teraz jednak nie ma to żadnego znaczenia. Liczy się jedynie to, że wreszcie uzyskałem potwierdzenie tego, czego się domyślałem... że mamy do czynienia z pośmiertnymi odwiedzinami osób z dziewiątego kręgu piekieł, które powielają okoliczności, w jakich zginęły.

— Aby odnaleźć spokój? — zapytał detektyw Magruder.

Ruth patrzyła na niego z podziwem, bo w jego głosie nie było nawet śladu sarkazmu.

— Właśnie — potwierdził Martin. — Chcą jedynie, żeby ich cierpienie wreszcie się skończyło i mogli powrócić w ciemność. Nikogo z nich nie obchodzi, czy przy tym kogoś nie krzywdzą. Ale niech pan powie, czy gdyby to pan cierpiał niewyobrażalny ból i wiedział, że pańskie cierpienie nigdy się nie skończy, dbałby pan o to, ile będzie kosztować uwolnienie się od niego? Przejmowałby się pan, że ktoś musi umrzeć, jeśli pańskie cierpienie dzięki temu by się zakończyło?

— Nie wiem, czy do końca za panem nadążam, ale proszę mnie źle nie zrozumieć — odparł Magruder. — Muszę się dowiedzieć, kto wywołuje te pożary i dlaczego, i na razie nie mam żadnych koncepcji, bo zebrane do tej pory dowody nic mi nie mówią.

— To prawda — przyznała Ruth. — Wszystkie te

pożary są z pirotechnicznego punktu widzenia niemożliwe do wyjaśnienia i żaden z nich nie jest podobny do któregośkolwiek z pozostałych. Na razie teoria Martina jest jedyną, jaką mamy. Poza tym widziałam na własne oczy te pośmiertne odwiedziny... razem z Amelią, doktor Beech i Martinem.

Opowiedziała detektywom o liebaultowskiej sesji. Kiedy mówiła, detektyw Garnet przyglądała jej się z mocno zmarszczonym czołem, jakby zauważyła, że Ruth ma na przednich zębach szpinak, ale nie chciała jej przerywać. Magruder nerwowo kołysał lewą nogą.

— No cóż... — mruknął, kiedy Ruth skończyła opowiadać, w jaki sposób spłonął Tyson. — To dziwniejsze niż powieść science fiction, prawda? Rany... nie wiem, co powiedzieć.

— Mógłbyś w jakiś sposób sprawdzić, co się dzieje z Pimem Jacksonem? — zapytała go. — Powinien ciągle jeszcze siedzieć. W końcu dostał jedenastokrotną karę dożywocia.

Magruder zapisał to sobie w notesie.

— Pewnie, sprawdzę go dla ciebie. Ale jeśli to była tylko gadająca maska, chyba nie musisz się tym przejmować.

— Ron, nie żartuj sobie z tego! Wiem, że to brzmi wariacko, ale wszystkie te rzeczy naprawdę się wydarzyły... widzieliśmy to.

— No dobrze, Ruth... widziałaś, co się działo w głowach Amelii i Martina. W mojej też się bardzo wiele dzieje, ale

nic z tego nie staje się nagle realne. Gdyby tak było, nie mogłabyś mnie dojrzeć za tłumami striptizerek.

— Twoje striptizerki nie podpalają zasłon w oknach i nie przyprowadzają ze sobą dziwacznym małałatów, którzy palą psy — powiedziała.

— Jak już mówiłem, kluczem do wszystkiego jest ten chłopak — wtrącił Martin. — Jest katalizatorem, inicjatorem tych pożarów. To anioł śmierci.

— Ale jeśli spalił się razem z Tysonem, już po nim.

— Prawdopodobnie spalił się wiele lat temu — odparł Martin. — Umarł i został skremowany, jednak powraca. Pozostawił swoje prochy przy klinice, ale Ruth mówiła, że znalazła podobny materiał na wszystkich pozostałych miejscach pożarów, więc istnieje duże prawdopodobieństwo, że wszystkie pochodzą od niego.

— Skoro znajdowały się we wszystkich miejscach, musiało ich być od cholery — stwierdził Magruder. — Jak duży był ten chłopak?

— On tylko wygląda na tego samego dzieciaka, ale za każdym razem, kiedy się pojawia, jest to inna osoba — powiedział Martin. — Tak mi się przynajmniej wydaje. Mogę się mylić, jednak na mój rozum tylko reinkarnując się, może pozostawiać tyle prochów.

— No dobrze, ale teraz niech mi pan odpowie na inne pytanie: dlaczego pojawia się tutaj, w Kokomo? Flying X jest przecież w Arizonie.

— Proszę mnie o to nie pytać, jednak według profesora Solwaya piekło jest jednocześnie wszędzie i nigdzie. Nie

sądzę, aby odwiedzający nas zmarli mieli to samo poczucie miejsca co my. Znają tylko jedno miejsce: ból.

— Rozumiem... — Detektyw Magruder wsunął notes do bocznej kieszeni marynarki. — W takim razie co pańskim zdaniem powinniśmy teraz zrobić? Ma pan jakieś pomysły?

— Nie jestem pewien. Wydaje się, że te pożary nie mają określonego schematu, więc nie możemy przewidzieć, w jakie miejsce uda się teraz Wstrętny Chłopak. Chyba najlepiej byłoby zablokować w jakiś sposób wyjście z piekła, ale nie mam pojęcia, jak to zrobić. Ani czy to w ogóle wykonalne.

— A ty, Ruth? — spytał Magruder.

— Na pewno powinniśmy się dobrze zastanowić. Jak można zamknąć drogę wyjścia z piekła, jeżeli nawet się nie wie, czy naprawdę istnieje, a jeśli istnieje, to gdzie się znajduje? Ale oczywiście musimy spróbować. Nie oznacza to, że przestaniemy razem z Jackiem tworzyć komputerowe modele i badać zebrane dowody. Może te pożary mają nadprzyrodzoną przyczynę, jednak muszą się za nimi kryć jakieś naukowe prawa. Chciałabym je poznać... nawet jeśli miałyby to być bardzo dziwna nauka.

— Chyba na dziś wystarczy — stwierdził Magruder. — Zobaczymy się jutro. Nie miej zbyt wielu złych snów, Ruth. Sobie też chyba powinienem tego życzyć.

Kiedy detektywi wyszli, Ruth i Martin naleli sobie po jeszcze jednym kieliszku wina. Na piętrze Amelia śpiewała piosenkę.

*Wiem, że przed porankiem nadejdzie deszcz
Że on pójdzie sobie, zanim zmoknie pierwszy liść...*

— Powinienem już iść — mruknął Martin.

— Jeśli chcesz, możesz zostać u nas na noc.

— Nie, ale dzięki za propozycję. Czuję, że twój mąż nie bardzo mnie akceptuje. Poza tym muszę się poważnie zastanowić, jak moglibyśmy zamknąć przejście, a to oznacza, że przez połowę nocy będę krążył po pokoju i pewnie trochę podzwonię.

— Sądziś, że to się może udać? Że możemy zamknąć przejście?

— Nie mam pojęcia. Nie wiem, co to jest, gdzie jest i jak wygląda... jeżeli w ogóle jakoś wygląda. Może to jarzące się światłem łukowate przejście, lustro albo okno? Równie dobrze może to być wąska szpara między ścianami dwóch budynków albo rozstęp między deskami podłogi. Ale nawet jeśli uda nam się znaleźć to przejście, nie mam pojęcia, jak je zamknąć. Nie istnieje instrukcja pod tytułem: *Jak utrzymać z dala od domu żywe trupy*.

— A ten profesor Solway? Może on mógłby nam pomóc?

— Profesor Solway? Gdzieś wyjechał. Nie mam pojęcia dokąd.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Ruth była wykończona zarówno fizycznie, jak i psychicznie, ale mimo to czuła się winna, że nie siedzi w laboratorium przy West Superior Street i nie pomaga Jackowi analizować materia-

łów dowodowych z pożaru w stajniach Weatherfield. Co jakiś czas przemykało jej przez głowę, że powinna nakarmić Tysona i zabrać go na spacer. Jego granatowa niedzielna smycz wisiała na wieszaku na kapelusze przy drzwiach wejściowych — obok kapelusza rybackiego Craiga i jej czerwonego beretu.

— Mogę ci zadać osobiste pytanie? — spytała Martina po chwili milczenia.

— Jasne. Pytaj, o co tylko chcesz.

— Jak udało ci się zapewnić spokój Susan?

— Co masz na myśli?

— Mówiłam ci o moim koledze z pracy, Jacku, który rozsypał prochy żony nad jej ulubionym ogrodem, prawda? Potem już więcej jej nie widział, więc założył, że musiała przejść na drugą stronę i odnaleźć spokój.

— No tak, rozumiem. Ale ja nigdy nie próbowałem zapewnić Susan spokoju.

— Nie? Chcesz powiedzieć, że ciągle do ciebie przychodzi?

Kiwnął głową.

— Może ci się to wydaje egoistyczne, ale nie umiem pozwolić jej odejść.

— Jesteś pewien, że nie cierpi? Utonęła, czyż nie? Może przez siedem dni w tygodniu, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę czuje się, jakby znowu tonęła?

— Nie wiem, Ruth. Nie sędzę. Nigdy nie dała mi do zrozumienia, że cierpi. Zawsze chwyta się mnie, jakby też nie chciała pozwolić mi odejść.

— Czyli za każdym razem, kiedy się kąpiesz, bierzesz prysznic albo pływasz...

— Nie pojawia się za każdym razem, ale zawsze, kiedy zbliżam się do wody, mam świadomość, że tam jest. A przynajmniej może być.

Ruth nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Przed kilkoma godzinami przekonała się na własne oczy, że codzienny świat — jedyny, jaki do tej pory znała — jest tylko jedną z wielu rzeczywistości. Wszędzie krążyli martwi ludzie, szeptali za ścianami, chodzili po ogrodach, pływali w ciemnych jeziorach. Byli wśród nich ludzie, którzy zostali uduszeni, spalili się, utonęli, dostali zawału lub umarli w szpitalu. Wszyscy bez przerwy szeptali, SZU-SZU-SZU, ponieważ chcieli wrócić między żywych i pozamykać swoje sprawy. Może wielu z nich chciało po raz ostatni ujrzeć tych, których kochali, albo zostać na ziemi na zawsze, gdyby okazało się to możliwe.

Bez względu na to, co mówił Martin, trudno jej było uwierzyć, że wszyscy ci ludzie pragną jedynie bezbrzeżnej ciemności, wiecznej ciszy i kompletnej pustki, którą nazywano śmiercią.

Martin dokończył swoje wino i wstał.

— Mogę zadzwonić jutro rano?

— Oczywiście. Będę przez cały czas w straży pożarnej. Zapiszę ci numer. Cztery, pięć, siedem, dwa, sześć, trzy, sześć.

— A jeśli chodzi o dzisiejszy dzień...

Ujęła jego dłoń.

— Odłóżmy tę rozmowę do jutra, dobrze? W dalszym ciągu próbuję pojąć, co się stało.

Przez długą chwilę patrzył na nią bez słowa.

— Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, iż w sprawach dotyczących życia po życiu nie jestem ekspertem — powiedział w końcu. — Nikt nie jest. Wiem jednak, że nie każdy odchodzi w ciszy i spokoju, ponieważ słyszę tych ludzi i widzę ich... podobnie jak Amelia. — Pochylił się i pocałował Ruth w policzek. — Do jutra.

Kiedy wyszedł, stała w otwartych drzwiach i patrzyła, jak jego samochód zawraca i odjeżdża.

Gdy w końcu zamknęła drzwi, okazało się, że za jej plecami stoi Amelia. Miała oczy pełne łez.

— Biedny Tyson — chlipnęła. — Tak bardzo za nim tęsknię...

Ruth objęła ją mocno.

— Ciii, skarbie. Jest teraz w znacznie lepszym miejscu.

— Wcale nie. Jest w piekle.

Rozdział 20

— Co o nim sądzisz? — zapytał bardzo głośno Craig, kiedy razem z Jeffem wracali do domu South Washington Street jego nowym autem.

Musiał przekrzykiwać muzykę, bo chłopak wziął ze sobą jedną z płyt zespołu Pig Destroyer i na cały regulator puszczał piosenkę pod tytułem *Oparzenia czwartego stopnia*.

— Jest zajebisty! Super!

— Nie klnij!

— Sony, tato, ale jest naprawdę zajebisty!

Jak na dziesięcioletni samochód grand prix był w zaskakująco dobrym stanie — choć brakowało gałki dźwigni zmiany biegów, a w miejscu, gdzie beżowy plastik popękał, róg fotela pasażera grubo obklejono taśmą samoprzylepną. Jeśli chodziło o Jeffa, była to najwspanialsza jazda w jego życiu. Jechał z ojcem, więc nie tylko nie przekraczał ograniczeń prędkości, ale także zatrzymywał się przed

wszystkimi czerwonymi światłami nawet wtedy, jeśli nie jechało z boku, i używał kierunkowskazów. W wyobraźni widział już wnętrze samochodu wypełnione przyjaciółmi, słyszał przeraźliwie głośną muzykę i wciskał gaz do dechy. Skręcili z South Washington w West Sycamore.

— Zaczekaj, aż Lennie go zobaczy! — krzyknął Jeff. — Umrze z zazdrości! Na pewno poryczy się jak dziewczucha!

— Cóż, cieszę się, że ci się podoba.

— Podoba? Jesteś najlepszym tatą świata!

— Dzięki. Staram się.

— Chyba jednak będę musiał kupić wydech Dyno-Max. Naprawdę zajebiecie dudnią, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Można rwać laski, stojąc na światłach.

— Jasne. Doskonale wiem, co masz na myśli. Ale jeśli o mnie chodzi, takie rzeczy działy się bardzo dawno temu, na całkiem innej planecie.

Kiedy jechali West Sycamore, Jeff spojrzął w lusterko wsteczne.

— Popatrz na tego gościa! Nienawidzę ludzi jadących mi na dupie — stwierdził. — Ulica jest pusta, koleś! Chcesz wyprzedzać, to wyprzedzaj!

Craig odwrócił się. Kilkuletni czarny buick riviera jechał tak blisko za nimi, że dokładnie widać było wszystkie szczegóły osłony chłodnicy.

— W czym problem, Jeff? Zwolnij, niech sobie jedzie.

— Jak chcesz — mruknął chłopak i przyhamował.

Craig czuł, że syn najchętniej wdepnąłby pedał gazu i zostawił natręta daleko za sobą.

Jeff wystawił rękę przez okno i pomachał, żeby ich wyprzedzono, ale buick w dalszym ciągu jechał za nimi, trzymając się kilkanaście centymetrów za ich zderzakiem.

— Wyprzedzaj, kutasie! — wrzasnął Jeff. — Jak bardzo mam jeszcze zwolnić?

— Wyłącz muzykę — powiedział Craig.

Jeff zrobił, co mu kazano, i nagle najgłośniejszym dźwiękiem okazał się groźny bulgot silnika buicka. Craig osłonił oczy dłonią, próbując zobaczyć kierowcę napierającego na nich pojazdu, ale w mignięciach świateł latarni trudno było cokolwiek dostrzec. Wydawało się, że ma bardzo bladą twarz, raczej maskę niż twarz. Jego pasażer wyglądał podobnie.

Jeff jechał teraz z prędkością niecałych dziesięciu kilometrów na godzinę, ale buick trzymał się tuż za nimi i było jasne, że jego kierowca czegoś od nich chce.

— Zatrzymaj się — powiedział Craig do Jeffa. — Podjedź do krawężnika i stań. I podnieś szybę.

— Co to za typy? — zapytał chłopak, patrząc w lusterko wsteczne. — Może powinienem zadzwonić pod dziewięćset jedenaście?

Craig pomacał kieszenie swojej kurtki.

— Nie wziąłem telefonu. A ty masz swój?

— Też nie wziąłem. Rozładował mi się — odparł Jeff i znowu popatrzył w lusterko. — Czego oni od nas chcą?

— Nie mam pojęcia, ale bądź gotów. Kiedy krzyknę, żebyś jechał, wciśnij pedał do dechy i jedź.

— Tato, może ty powinieneś prowadzić?

— Hmm... chyba nie powinniśmy wysiadać. Gdy każę ci jechać, skreć w lewo w South Western Avenue, a potem znowu w lewo w West Superior i w prawo w South Philips.

Jeff podjechał do krawężnika i stanął. Buick uderzył w nich z tyłu i pchnął grand prixa jakiś metr do przodu. Obydwoma Cutterami tak mocno szarpnęło, że zabolęły ich kręgosłupy.

— Jezu! — krzyknął Jeff. — To jakiś psychol!

— Wrzuć ręczny — polecił mu Craig.

— Już to zrobiłem!

Buick cofnął się kilka metrów, po czym ponownie na nich najechał, tym razem znacznie gwałtowniej.

— Cholera! Co robimy, tato?

— Nie denerwuj się — uspokajał go Craig. — Pewnie to jacyś narkomani. Musimy jedynie zachować spokój.

— Spokój?!

Buick wciąż napierał na ich tylny zderzak i choć koła grand prixa były zablokowane, centymetr po centymetrze przesuwiał go po jezdni. Zgrzytał metal, opony jęczały histerycznie.

— Wsteczny! — zawołał Craig. — Daj wsteczny!

Jeff ponownie zrobił, co mu kazano, po czym wcisnął pedał gazu do podłogi. Koła grand prixa zaczęły się dziko obracać i spod opon wystrzeliły kłęby śmierdzącego gumą dymu, ale buick ważył prawie dwie i pół tony i miał ponad

trzysta koni mechanicznych, więc bez trudu popychał ich do przodu.

Przez sekundę Craig zastanawiał się, czy nie powinni wyskoczyć i zacząć uciekać pieszo, ale być może tamtym właśnie o to chodziło. Grand prix nie był dla niego zwykłym samochodem. Stanowił dowód, że potrafi zadbać o rodzinę i wszystkie jej potrzeby i nie zamierzał dać go sobie odebrać półgłówkom w maskach niecały kwadrans po tym, jak wszedł w jego posiadanie.

Przesuwaniu taranowanego samochodu towarzyszył coraz głośniejszy zgrzyt metalu i jękliwy pisk opon. Jeff co chwila gwałtownie nadeptywał pedał gazu, ale nic to nie dało. Kiedy Craig ponownie się odwrócił, mógłby przysiąc, że pasażer siedzący na przednim siedzeniu buicka śmieje się szaleńczo.

— Spadamy! — krzyknął. — I posłuchaj: kiedy dam ci znak, zasuwaj, ile fabryka dała. Nie wahaj się, jedź najszybciej, jak tylko możesz.

Jeff kiwnął głową, zwolnił ręczny hamulec i wrzucił bieg, ale przez cały czas hamował pedałem.

Buick znowu się cofnął o jakieś trzy, może cztery metry, jego silnik ryknął i ponownie zostali staranowani. Po chwili kolejny raz się cofnął, tym razem znacznie dalej, o jakieś trzy długości samochodu — najwyraźniej jego kierowca szykował się do ostatniego, najsilniejszego uderzenia. Wnętrze grand prix wypełniło oślepiające światło reflektorów.

— Jedziemy! — wrzasnął Craig.

Oderwali się od krawężnika i ruszyli.

Gdy Craig popatrzył za siebie, stwierdził, że buick ruszył za nimi w pogoń, ale mieli nad nim przewagę przynajmniej dwóch przecznic, a w tej części Kokomo było mnóstwo skrzyżowań, na których mogli zgubić swoich prześladowców.

— Jedź! Jedź! W lewo, w South Western... teraz!

Kiedy Jeff wziął ostry zakręt, opony grand prix aowały. Tył samochodu zatańczył na boki i przez chwilę się wydawało, że obróca się o sto osiemdziesiąt stopni, co skierowałoby ich prosto na buicka, jednak w końcu Jeffowi udało się odzyskać panowanie nad wozem i pomknęli na południe, przez cały czas przyspieszając. South Western Avenue była obsadzoną drzewami cichą podmiejską ulicą, wzdłuż której stały jednopiętrowe domki. Zanim dotarli do jej połowy, wskazówka prędkościomierza minęła granicę stu kilometrów na godzinę.

Craig znowu się odwrócił i zobaczył światła reflektorów buicka skręcającego za nimi w aleję. Jego serce waliło szaleńczo.

— Następna w lewo... — wysapał. — Tutaj... West Superior! Jedź!

Jeff zatoczył szerokie półkole i Craig znowu się przestraszył, że stracą przyczepność. Tylne koło z głośnym łomotem uderzyło w krawężnik i samochód zadygotał jak w febrze. Stanęli w poprzek ulicy, silnik zgasł.

— Cholera jasna! — krzyknął Jeff i zaczął wściekle walić w kierownicę. — Cholera! Cholera! Cholera!

— Wrzuć na luz — powiedział Craig, starając się zachować spokój. — Teraz ponownie zapal silnik. Doskonale. Jedź!

West Superior nie była długą ulicą, ale zanim zdążyli dojechać do jej końca, zza zakrętu wyłonił się buick — czarny i poobijany, przypominający ścigającego ofiarę rekina.

— W prawo! — rzucił Craig. — Skręć teraz w prawo, w South Philips, a potem znowu w prawo i w lewo!

Zamierzał wprowadzić buicka w labirynt przecinających się prostopadle ulic w okolicy torów kolejowych, na których mogli zmieniać kierunek jazdy, dopóki ich prześladowcy się nie pogubią. Miał nadzieję, że nie wiedzą, gdzie mieszka ścigana zwierzyna i nie pojedą za nimi. Po powrocie do domu będzie mógł zadzwonić po gliny, poza tym w lewej szufladzie biurka miał pistolet — dobrego, starego glocka.

Skręcili w prawo w West Carter Street i zaraz potem w Conradt Avenue.

— Teraz zgaś światła! — nakazał synowi Craig.

Jeff odzyskał już pewność siebie. Conradt Avenue była wąską, zaciemnianą przez wielkie drzewa ulicą, wzdłuż której po prawej stronie parkowały samochody, ale wcisnął gaz i wkrótce przekroczyli siedemdziesiątkę.

Kiedy Craig znowu spojrzął za siebie, stwierdził, że buick nie skręcił za nimi z West Carter Street, ale pojechał prosto.

— Zgubiliśmy ich! — zawołał triumfalnie. — Nie zauważyli, że skręciliśmy!

Jeff uniósł rękę i przyklepali sobie piątkę.

— Juhuu! Nikt nie będzie podskakiwał Cutterom!
Nikt!!! Jedziemy, tato!

W tym samym momencie zauważył stojącą pośrodku jezdni postać, jakieś trzydzieści metrów przed nimi. Był to chudy kilkunastoletni chłopak. Stał bez ruchu, nie próbował odskoczyć przed samochodem. Jeff z całej siły wdepnął hamulec, ale zanim grand prix się zatrzymał, przez chwilę sunął do przodu z piskiem opon.

Nastolatek zbliżał się do nich niczym na zwolnionym filmie. Dokładnie widzieli jego twarz — bladą skórę, szeroko rozstawione oczy i czerwone jak u dziewczyny usta. Wnętrze samochodu wypełniał przenikliwy pisk. Nie był to jednak pisk opon, ale Jeff naśladowający odgłos przesuwania się wozu po asfalcie — jakby mógł w ten sposób skrócić drogę hamowania.

W końcu grand prix zatrzymał się kilkanaście centymetrów od chłopaka. Małolat wyciągnął rękę i położył ją na masce.

— Jasna cholera... —jęknął Jeff. — Mogłem go zabić.

Sięgnął do klamki, ale Craig go powstrzymał.

— Zaczekaj.

— Co? Dzieciak stał pośrodku ulicy i mogłem go rozjechać! Chcę tylko sprawdzić, czy nic mu się nie stało!

— Nie! Zaczekaj! To ten Wstrętny Chłopak, o którym mówiła mama.

— Co?!

— Jestem pewien, że to on. Błada twarz, ciemne kręcone włosy. Sprany czarny T-shirt, czerwone dżinsy.

— Niech ci będzie. Ale co on tu robi? Nie ma domu?
— Mama mówiła, że to właśnie on zabił Tysona. Spalił go żywcem... i przy okazji siebie też. Wiem, że to brzmi wariacko.

Jeff skrzywił się.

— Wcale nie wygląda na spalonego żywcem.

— Wiem, ale myślę, że najlepiej będzie, jeśli się stąd zmyjemy.

— To tylko dzieciak, tato. Zwykły dzieciak. Chyba nie boisz się jakiegoś dzieciaka?

— Jeff... twoja mama ostatnio wplątała się w na prawdę dziwaczne sprawy. Nie twierdzą, że w cokolwiek z tego wierzę, ale sądzę, że naj mądrzej będzie wrócić do domu.

Chłopak cały czas stał przed samochodem i wpatrywał się w obu Cutterów. Nie uśmiechał się, nie poruszał, ale wciąż trzymał dłoń na masce, jakby nie chciał pozwolić im odjechać.

— Spytam tylko, czy nic mu się nie stało — powiedział Jeff. — Nic mi nie zrobi. Popatrz na niego. Nie może ważyć więcej niż trzydzieści kilogramów.

— Przeciętny pitbull też nie jest cięższy, a potrafi rozszarpać człowiekowi gardło. Jedźmy stąd.

Jeff wrzucił bieg, ale nie ruszał.

— Na co czekasz?

— Ten małolat nie schodzi z drogi. Przecież nie mogę go przejechać. — Jeff uniósł rękę i zamachał. — Hej, ty tam! Spadaj, mały! Zejdź z drogi!

Ale chłopak nawet nie drgnął. Jego dłoń nadal leżała na masce.

— Chyba musisz się cofnąć — stwierdził Craig.

— Robi się — odparł Jeff, wrzucił wsteczny i spojrzął za siebie, aby widzieć, jak jechać. — O cholera! — jęknął.

Craig również się odwrócił. Zbliżał się do nich czarny buick riviera ze zgaszonymi światłami. Po chwili zatrzymał się jakieś piętnaście metrów za nimi. Wyraźnie widzieli kierowcę o białej twarzy i pasażera o białej twarzy, mogli też dostrzec trzecią osobę — pasażera siedzącego z tyłu, także o białej twarzy.

— Co się dzieje, do cholery? — zapytał Craig. — Kim są ci ludzie?

Drzwi buicka się otworzyły i wysiadło z niego trzech mężczyzn. Wyglądali niemal identycznie — wszyscy mieli na twarzach białe maski i byli ubrani w długie czarne płaszcze, które upodabniały ich do rewolwerowców z filmów Sergia Leone. Podeszli do grand prixa i mężczyzna w uśmiechniętej masce zapukał w okienko Craiga.

— Wysiadać! — powiedział głośno, choć jego głos był dziwnie zduszony.

Craig przypomniał sobie nagle uśmiechniętą maskę, którą Ruth widziała w klinice doktor Beech — teraz jednak miał przed sobą nie samą głowę, ale całą postać.

— Wysiadać! — powtórzył mężczyzna.

Drugi z mężczyzn zapukał w okno Jeffa. Jego maska była pozbawiona wyrazu.

— Słyszeliście, co mój kolega powiedział? Nie udawajcie, że nie. Wysiadać!

Craig pokręcił głową.

— Nie wiem, czego od nas chcecie, ale cokolwiek to jest, nie dostaniecie tego! Wezwałem już gliny, będą tu lada chwila!

— Jesteś głuchy? Powiedziałem: wysiadać. Mam wiadomość dla twojej żony i córki.

— Co? Jaką wiadomość?

Uśmiechnięty odsunął się od samochodu i poprawił rękawiczki.

— Nie powiem, dopóki nie wysiądziesz.

— Tato! Pyskajmy stąd! — krzyknął przerażony Jeff.

Craig rozejrzał się. Buick blokował ulicę za nimi, a Wstrętny Chłopak stał z przodu. Uśmiechnięty ponownie zapukał w jego okno.

— Wysiadasz czy nie? Naprawdę powinienes przekazać żonie i córce tę wiadomość. Jeśli tego nie zrobisz, będziemy musieli przekazać ją sami. Do rąk własnych, że tak powiem.

— Tato! Oni blefują! Założę się, o co chcesz! Chcą tylko, żebyśmy wysiedli z samochodu, bo wtedy będą mogli go zabrać!

— Nie robiliby sobie tyle kłopotu dla pontiaca z dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

— Więc czego od nas chcą?

— Nie mam pojęcia. Chyba muszę wysiąść, aby się dowiedzieć, o co im chodzi.

— Tato... nie rób tego!

— Spokojnie, Jeff. Gdyby chcieli nas zabić, już dawno by to zrobili.

— Wychodzisz czy nie? — zapytał Uśmiechnięty. — Możemy to rozegrać w każdy sposób, w jaki tylko chcesz. Ale twoja żona i córka muszą dostać wiadomość.

— W porządku — odparł Craig. — Wsiadam. Otworzył drzwiczki i wyszedł z samochodu. Uśmiechnięty podszedł do niego.

— Nie było to takie trudne, prawda? — powiedział niskim, schrypniętym głosem, jakby był mocno przeziębiony.

— Kim jesteście? — spytał Craig. — Co wy sobie wyobrażacie, najeżdżając na nas i ścigając? Co wam zrobiliśmy?

— Ty sam nic. Nic przeciwko tobie nie mamy, ale twoja ukochana żona wydaje się cierpieć na wybiórczą głuchotę. Mój mały przyjaciel, który stoi przed samochodem, wiele razy jej mówił, żeby przerwała dochodzenie, ale z jakiegoś powodu go nie posłuchała.

— Posłuchaj, człowieku — powiedział Craig. — Nadal nie wiem, o co wam chodzi, ale jeżeli macie jakiś problem, dlaczego nie skontaktujecie się ze strażą pożarną?

Uśmiechnięty dźgnął go palcem w pierś.

— Nie muszę kontaktować się ze strażą pożarną, bo mogę to przekazać twojej żonie. I twojej córce, której wydaje się, że widzi i słyszy różne rzeczy.

— Nie mieszaj do tego mojej córki.

Uśmiechnięty pokręcił głową.

— Nie mogę, przyjacielu. Twoja córka wie, co się dzieje, więc już jest w to zamieszana. Aleja bym jej radził, aby poprzestała na śpiewaniu swoich piosenek i zapomniała o ludziach przybywających spod spodu.

— Dlaczego? — spytał Craig. — Dlaczego miałyby to robić? O co w tym wszystkim chodzi?

Uśmiechnięty podszedł jeszcze bliżej do niego. Był przynajmniej dziesięć centymetrów wyższy, ale Craig się nie cofnął.

— Pozawierano układy, przyjacielu — oświadczył mężczyzna w masce. — Podjęte zostały zobowiązania. Nie możemy pozwolić na to, aby każdy, kto ma na to ochotę, sypał nam piasek w tryby. Nie teraz. Musisz powiedzieć swojej ukochanej małżonce, że wszystkie pożary, jakimi się ostatnio zajmowała, powstały z przyczyn naturalnych, może więc zamknąć te sprawy i zająć się czymś mniej kontrowersyjnym. Musisz także powiedzieć swojej ukochanej córce, że jeśli zdarzy jej się słyszeć jakieś szepty lub zamykanie czy otwieranie drzwi, powinna nastawić sobie głośną muzykę i zapomnieć, że w ogóle coś dziwnego słyszała.

— Dlaczego sam im tego nie zakomunikujesz?

— Ponieważ proszę o to ciebie.

— No dobrze... A gdybym powiedział, żebyś się od pieprzył?

Wstrętny Chłopak wbił w niego wzrok.

— Twoja żona powinna zajmować się własnymi spra-

wami — zapiszczał. — Sądziłem, że dałem jej wystarczającą lekcję, paląc psa.

— To byłeś ty?

— Oczywiście. Chciałem dać jej nauczkę. Żeby zajmowała się własnymi sprawami.

— Jeśli to byłeś ty, dlaczego sam się nie spaliłeś?

— Może się spaliłem. Może spaliłem się na popiół? Co ty o tym wiesz? Nie wiesz niczego o niczym! Nie masz pojęcia o tym, co z góry, ani o tym, co z dołu. Nie znasz umierania ani bóleści. Nikt nigdy nic ci nie obiecał, by potem wystawić cię do wiatru. Nikt nigdy nie spalił cię żywcem tylko dlatego, że wszyscy mieli cię gdzieś... nawet własna matka. Wyszedłem z niej, nie? Więc jak to możliwe, żeby ktokolwiek poza mną miał prawo w nią wchodzić?

Craig nie rozumiał ani słowa z tej perory, nie wiedział też, kim byli ci ludzie, nie miał jednak zamiaru dać się poniżyć. Przez ostatnie półtora roku wszyscy skakali mu po głowie — banki, deweloperzy, firmy kredytowe, urząd skarbowy. Nie zamierzał brać więcej razów — nie od przemądrzałego gnojka o gębie jak płastuga i trzech świrusów w karnawałowych maskach.

— Postuchaj mnie teraz — powiedział powoli do mężczyzny w masce. — Odjeżdżamy stąd, ja i mój syn. Możecie sobie robić, co wam się żywnie podoba. Nie przestraszycie mnie i nie pozwolę wam straszyć mojej rodziny.

— Chyba nie do końca mnie zrozumiałeś — stwierdził Uśmiechnięty. — Masz przekazać swojej żonie, że ma

zakończyć dochodzenie w sprawie wszystkich ostatnich pożarów. Masz przekazać córce, że ma zamykać oczy i uszy, a także gębę.

— Albo co?

— Naprawdę chcesz się tego dowiedzieć?

— Już mówiłem: odpieprz się! — warknął Craig.

Wrócił do samochodu i zatrzasnął drzwiczki. Jeff gapił się na niego ze zdumieniem, ale też z podziwem.

— To by było na tyle — mruknął Craig. Był napompowany adrenaliną, serce waliło mu o żebra. — Wyośmy się stąd. Jedź prosto przed siebie. Na końcu ulicy skręć w lewo, potem znowu w lewo i powinniśmy się znaleźć z powrotem na South Philips.

Jeff uruchomił silnik i ruszył. Ani Wstrętny Chłopak, ani żaden z trzech zamaskowanych mężczyzn nie próbowali ich zatrzymać. Gdy dojechali do końca Conrad Avenue, Craig odwrócił się i zobaczył, że wszyscy stoją na ulicy i obserwują ich.

— To było jakieś takie... nierealne — powiedział Jeff.

— Tak sądzisz? Jak na mój gust było aż nadto realne.

— Chcesz jechać na policję i zgłosić to?

— Nie, jedźmy najpierw do domu. Chcę się upewnić, czy mamie i Ammy nic nie jest.

Kiedy przecinali West Carter Street, Craig popatrzył w lewo, aby się upewnić, czy Buick nie zawrócił, żeby za nimi pojechać, ale na ulicy widać było jedynie mężczyznę, który wyszedł na spacer ze swoim dalmatyńczykiem.

— O co chodziło z tą wiadomością? — spytał Jeff.

— Nie wiem do końca, ale wygląda na to, że chcą, aby mama zawiesiła wszystkie dochodzenia w sprawach o podpalenie, które w tej chwili prowadzi, a Ammy przestała mówić o ludziach przybywających spod spodu.

— Skąd oni o tym wiedzieli?

— Nie mam pojęcia. Może Ammy coś powiedziała jakiejś koleżance w szkole, ta koleżanka komuś następnemu, ten jeszcze komuś i te świry się o wszystkim dowiedziały, choć nie bardzo rozumiem, jakie to mogło mieć dla nich znaczenie. Zamierzam się jednak dowiedzieć, kim są ci ludzie, i zadbać o to, aby trafili za kratki.

♦ ♦ ♦

Do domu pozostało im jeszcze nie więcej niż sześć przecznic i Craig powoli się uspokajał.

— Daj spokój, Jeff, nie musisz tak pędzić — powiedział. — Już po wszystkim.

— Ten Wstrętny Chłopak... jest znacznie więcej niż wstrętny. Stał pośrodku ulicy, a przecież musiałem jechać co najmniej sześćdziesiątką. Nawet nie drgnął. Gdybym go uderzył, zginąłby na miejscu, a ja poszedłbym siedzieć za zabójstwo.

— Czegoś tu nie rozumiem... skąd wiedział o Tysonie? — mruknął Craig. — Nie było nic na ten temat w telewizji. Nie był w ogóle poparzony, zresztą mama powiedziała, że on i Tyson całkowicie się spalili. Zostali skremowani.

Jeff pokręcił głową.

— Według mnie wcale nie wyglądał na martwego. Niezależnie jednak od tego, czy był martwy, czy nie, mogłem przez niego pójść do więzienia.

— Może ma bliźniaka — powiedział Craig. — Cholera, może nawet są takie sześcioraczki?

— Trudno to zrozumieć, prawda? — powiedział piskliwy głos z tyłu.

Craig odwrócił się gwałtownie. Na tylnym siedzeniu, opierając łokcie na oparciu przedniego fotela, siedział Wstrętny Chłopak. Jeff również się odwrócił i kiedy go zobaczył, tak mocno szarpnął kierownicą, że grand prixem zarzuciło.

Oczy małolata były czarne i błyszczące, a czerwone wargi wilgotne, jakby je przed chwilą oblizał. Prawdopodobnie od dawna się nie kąpał, bo nie pachniał zbyt przyjemnie.

— Jakim sposobem się tu dostałeś? — warknął Craig. — Jeff, zatrzymaj samochód! Ten gówniarz wysiada!

— Nie wysiadam — powiedział Wstrętny Chłopak. — Masz przekazać wiadomość swojej ukochanej żonie i ukochanej córce, a ja muszę dopilnować, żebyś to zrobił.

— Zatrzymaj ten cholerny samochód! — zawołał Craig.

Jeff podjechał do krawężnika i stanął, ale Wstrętny Chłopak wcale nie zamierzał wysiadać. Nagle całkiem nieoczekiwanie się uśmiechnął.

— Nie chcecie się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? — zapytał. — Nie chcecie wiedzieć, kim są moi przyjaciele? Są przerażający, prawda? To chyba najbardziej

przeróżający przyjaciele, jakich kiedykolwiek miałem. Przez te maski nigdy nie wiadomo, jakie mają miny. BRRRRRRR! Nie przyprawia was to o dreszcze?

— Spieprzaj z tego samochodu, zanim wywlokę cię z niego za włosy! — krzyknął Craig.

— Nie sądzisz, że twoja ukochana żona będzie chciała wiedzieć, co się dzieje? Jeśli mnie teraz wyrzucisz, nigdy się tego nie dowie... chyba że jakimś sposobem uda jej się to samej odkryć.

Craig wziął głęboki wdech. Wszystko się w nim gotowało z wściekłości. Miał ochotę wyskoczyć z samochodu, otworzyć tylne drzwi, wyciągnąć gówniarza i rzucić go na chodnik. Wiedział jednak doskonale, jak rozpaczliwie Ruth próbuje się dowiedzieć, jak i dlaczego spaliło się tyle osób, pamiętał też, w jaki sposób zginął Tyson. Jeżeli Wstrętny Chłopak mógł rzucić na sprawę tych pożarów nieco światła, może pozwoliłoby jej to zbliżyć się do rozwikłania zagadki — nawet jeśli nie doprowadziłoby do aresztowania sprawcy.

— W porządku — powiedział cicho.

Najwyraźniej Wstrętny Chłopak tego nie usłyszał, bo oświadczył:

— W takim razie wysiadam. Tylko nie miej do mnie pretensji o to, co nastąpi. Moi przyjaciele... nie bardzo potrafią nad sobą panować... jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

— Powiedziałem przecież: w porządku! Możesz pojechać z nami do domu i wyjaśnić mojej żonie, kto wywołuje

te pożary i dlaczego. Potem będziesz mógł posłuchać, jak przekazuję jej wiadomość od twoich przyjaciół, że ma zamknąć dochodzenie, a córce każę ignorować wszelkie dziwne odgłosy, które utwierdzają ją w przekonaniu, że spod spodu przybywają jacyś ludzie. Będziesz wtedy zadowolony?

— Może. To zależy.

— Czy potem zostawisz nas w spokoju i przestaniesz tkwić pod naszym domem?

— Może. To zależy.

Craig popatrzył na syna, ale jego mina wyraźnie mówiła, że zupełnie nie wie, co o tym myśleć.

— Ruszaj — powiedział do niego. — Jedźmy do domu i załatwmy to raz na zawsze.

Jeff bardzo powoli przejechał trzy kwartały dzielące ich od domu, próbując jak najbardziej odwlec moment przyjazdu na miejsce. Wstrętny Chłopak siedział na skraju tylnej kanapy, opierał łokcie na oparciach przednich foteli i gwizdał *Łazy Bones*.

W końcu dotarli do domu, skręcili na podjazd i zaparkowali obok samochodu Ruth.

— Zaczekaj tutaj, dobrze? — powiedział Craig do Wstrętnego Chłopaka. — Pójdę po moją żonę. Nie zamierzam wpuszczać cię do domu.

Wstrętny Chłopak się uśmiechnął.

— Nie ma sprawy, rozumiem. Wielu kolegów nie chce wpuszczać mnie do domu. Mówią, że dziwnie pachnę.

— Bo tak jest — mruknął Jeff.

Wstrętny Chłopak opuścił głowę.

— To nie moja wina. Matka nigdy mnie nie kąpała ani nie myła. Tylko Belinda to robiła, ale odeszła i nie wróciła.

— To nie potrwa długo — powiedział Craig.

Podszedł do werandy i otworzył drzwi.

— Ruth, możesz wyjść?

Po chwili jego żona pojawiła się w drzwiach, wcierając w dłonie krem.

— Przywieźliście samochód Jeffa! Wspaniale! Tak długo was nie było... Co się stało?

Craig ujął ją za ramię, żeby nie podeszła do grand prixa.

— Zaczekaj sekundę, kochanie. Mieliśmy drobne kłopoty.

— Kłopoty? — Ruth spróbowała zajrzeć Craigowi przez ramię. — Jakie kłopoty?

— Byliśmy już prawie w domu, kiedy najechał na nas od tyłu buick. Próbowaliśmy go zgubić, bo sądziliśmy, że to jakieś ćpuny zamierzające rąbnąć nam samochód.

— Mów dalej...

— Uciekliśmy im, ale musieliśmy się zatrzymać, bo na jezdni stał dzieciak i Jeff omal go nie przejechał.

Ruth w milczeniu czekała na ciąg dalszy.

— Tak naprawdę to nie był jakiś dzieciak — dodał Craig. — To był on.

Poczuła się, jakby stała w zjeżdżającej bardzo szybko windzie.

— O Boże... więc znowu wrócił... Martin miał rację.

Tyle razy się spalił, ale wciąż powraca. W żaden sposób nie można się go pozbyć.

— Jest coś jeszcze, Ruth. Kiedy się zatrzymaliśmy, buick nas dogonił i w środku siedziało trzech facetów. Wszyscy mieli na twarzach białe maski, ale każda była inna. Na masce tego, który ze mną rozmawiał, namalowano uśmiech.

— Czy to była taka maska jak ta, którą widziałam w gabinecie doktor Beech?

— Sądzę, że tak.

— Co ten facet mówił? Powiedział, kim jest?

— Nie, ale powiedział, że powinienem przekazać ci wiadomość. Tobie i Ammy.

— Jaką wiadomość? Co się dzieje, Craig? I gdzie jest Jeff?

— Siedzi w samochodzie i czeka.

— Co się stało, Craig? Bo coś się stało, prawda?

— Tak. Chodzi o Wstrętnego Chłopaka. On też jest w samochodzie.

Ruth przepchnęła się obok niego i wybiegła na podjazd. Jeff siedział za kierownicą, a Wstrętny Chłopak trzymał mu dłoń na ramieniu.

— Wysiadaj! — krzyknęła do syna. — Natychmiast wychodź z samochodu!

Jeff spróbował otworzyć drzwi, ale były zamknięte. Popatrzył na matkę przez przednią szybę i pokręcił głową. Ruth obeszła samochód i pociągnęła za klamkę, jednak nie udało jej się otworzyć drzwi. Zaczęła walić pięścią w szybę.

— Craig! Pomóż mi otworzyć te cholerne drzwi! Wypuść go, ty mały draniu! Słyszysz mnie?! Natychmiast go wypuść!

Craig usiłował otworzyć drzwiczki pasażera, ale również były zablokowane. Jeff odwrócił się i próbował uderzyć Wstrętnego Chłopaka, jednak małolat uchylił się błyskawicznie, złapał go za włosy i szarpnął mu głowę do tyłu.

Ruth znowu załomotała w szybę.

— Wypuść go!

— Chcesz popatrzeć, jak się pali? — zapytał Wstrętny Chłopak. — Tak samo jak palił się pies? Bo jak nie, to lepiej się cofnij!

W tym momencie na werandę wyszła Amelia. Miała na sobie błękitny szlafrok i puszyste kaptcie, a jej włosy były związane błękitnymi wstążkami.

Ostłoniła dłonią oczy i popatrzyła na samochód, próbując dostrzec, kto w nim siedzi.

— Mamo? Zdawało mi się, że on tu jest. Zdawało mi się, że go słyszę.

Craig podszedł do niej i objął ją ramieniem.

— Lepiej wejdź do domu, kochanie. Zadzwoń pod dziewięćset jedenaście i powiedz, że mamy nagły wypadek.

— Nie — odparła Ammy. — Nie możemy tego zrobić! Jeżeli przyjedzie tu policja, nie wiadomo, co on zrobi.

— Craig, wybij szyby! — zawołała Ruth. — Wyciągnę na zewnątrz tego zdrańca i uduszę go własnymi rękami!

— Nie, mamo, nie! — krzyknęła Amelia. — On tylko chce z nami porozmawiać!

— Jeśli to prawda, chyba nie najlepiej się do tego zabiera, nie sądzisz? Wypuść mojego syna, ty nędzny draniu! Słyszysz mnie?!

Craig podszedł do SUV-a, podniósł tylną klapę i wyjął z bagażnika klucz do kół. Wrócił do grand prixa od strony pasażera i uniósł klucz, żeby Wstrętny Chłopak mógł go zobaczyć.

— Masz trzy sekundy — warknął. — Potem się do ciebie dobiore!

Wstrętny Chłopak uśmiechnął się złośliwie. Przez cały czas trzymał Jeffa za włosy, ale wyciągnął lewą rękę w stronę okna kierowcy i opuścił szybę na parę centymetrów.

— Jeff? — spytała Ruth. — Wszystko w porządku?

— Ten gówniarz jest znacznie silniejszy, niż na to wygląda... — wychrypiał Jeff. — Ja pierdziele! — zaklął, kiedy Wstrętny Chłopak gwałtownie pociągnął go za włosy.

— Spróbuj jeszcze raz otworzyć drzwi — powiedziała Ruth.

Jeff znowu zaczął szarpać klamkę, ale bez skutku.

— No dobrze — ustąpiła w końcu Ruth. — Moja córka twierdzi, że masz nam coś do powiedzenia. Słuchamy.

Chłopak przez cały czas uśmiechał się krzywo.

— Najpierw twój ukochany mąż musi ci przekazać wiadomość od moich przyjaciół.

Craig podszedł do Ruth i stanął obok niej.

— Gość w uśmiechniętej masce chciał, żebyś zrezygnowała ze wszystkich dochodzeń w sprawie podpaleń,

jakie ostatnio prowadziłaś — powiedział. — Masz uznać, że wszystkie te pożary zostały wywołane przez przyczyny naturalne, i zamknąć śledztwo.

— Dlaczego tak bardzo im na tym zależy? — zapytała Ruth Wstrętnego Chłopaka.

Dygotała z wściekłości, ale ze wszystkich sił próbowała nad sobą zapanować. Widziała, do czego zdolny jest ten małolat, jeśli się go zdenerwuje.

— Ponieważ ludzie cierpią i chcą, żeby ich cierpienie jak najszybciej się skończyło.

— Może i tak, ale przecież oni nie żyją. Tak samo jak ty. Nie możesz od nas wymagać, abyśmy zaakceptowali śmierć niewinnych ludzi... nawet jeśli miałyby to służyć skróceniu czyichś cierpień.

— Taka jest umowa, Ruth. Tak było od wieków. Nie którzy mają szczęście, inni chorują. Taka jest natura rzeczy. Można jednak zawierać układy, a bogom jest obojętne, czyje życie biorą... dopóki w księgowości wszystko się zgadza. Życie i los, wszystko kręci się wokół liczb. A ci, których zabieram, nie cierpią po śmierci. Nie idą do piekła, bo przecież byli niewinni.

— Zamierzasz zabrać jeszcze więcej ludzi?

— Oczywiście. A kiedy to zrobię, także i te przypadki przypiszesz naturalnym przyczynom.

— A co z ludźmi przybywającymi spod spodu? — spytała Ammy. — Są ich setki!

— Zgadza się. Pokazałem im drogę przejścia i szykują się do drogi. Nie tylko takie dzieciaki jak ja. Każdy, kto

zginął w pożarze i nie może odnaleźć spokoju. Ludzie, którzy zginęli z powodu czyjejś niedbałości. Ludzie spaleni we wrakach samochodów. Ludzie, którzy wpadli do kwasu albo zostali obdarci ze skóry przez przegrzaną parę. Ludzie, których łóżka się zapaliły i w których spłonęli. Wszyscy oni są w drodze, Ruth. Wszyscy rozpaczliwie cierpią i chcą, aby to cierpienie wreszcie się zakończyło... bez względu na to, co trzeba będzie zrobić.

— Jak się nazywasz? — spytała łagodnym tonem Amelia. — Jesteś Andie?

Chłopak odwrócił twarz. Po chwili ponownie na nich popatrzył, ale milczał.

— Prochy Andiego... — powiedziała Amelia. — Twoje? Chłopak znów pociągnął Jeffa za włosy.

— Muszę usłyszeć obietnicę — oświadczył. — Od was obu.

— Niech ci będzie — odparła Ruth. — Obiecuję.

— Ja też — dodała Amelia.

— Przysięgacie na Boga i plujecie w niebo?

— Tak.

— To powiedzcie: „Przysięgam na Boga i pluję w niebo”.

W tym momencie Craig zamachnął się kluczem i rozbił tylną szybę samochodu. Sięgnął do środka i złapał Wstrętnego Chłopaka za rękę. Małolat zapiszczał jak kot i próbował się wywinąć — ani na chwilę nie puszczając włosów Jeffa. Craig pociągnął syna, ale Wstrętny Chłopak trzymał go mocno.

— Jezu, człowieku, wyrwiesz mi wszystkie włosy! — wrzasnął Jeff.

Ruth jak wściekła szarpała klamkę drzwi.

— Odblokuj drzwi! — krzyknęła do syna.

Jeff dopełził do przycisku blokady drzwi umieszczonego na podłokietniku i zaczął go gorączkowo naciskać, ale bez efektu.

Nagle chłopak eksplodował płomieniami. Rozległ się głuchy wybuch i w ciągu pięciu sekund wewnątrz samochodu wypełniły falujące pomarańczowe płomienie. Craigowi natychmiast zapaliły się rękawy. Zatoczył się do tyłu, potknął o kamienie i walnął potylicą w kawał czerwonego granitu. Na chwilę znieruchomiał, zaraz jednak przetoczył się na bok i z wyraźnym wysiłkiem podniósł na kolana. Oklepywał się dłońmi, próbując zdusić płomienie.

— Nie! Nie! — wrzeszczała Ruth. — Otwórz drzwi!

Choć Wstrętny Chłopak cały buzował ogniem, podniósł okno kierowcy, zamykając się z Jeffem w środku.

— Jeff! Wychodź stamtąd! Jeff! Wychodź! — krzyczała Ruth.

Wtórowała jej Ammy — głosem tak piskliwym, że przypominał gwizd.

We wszystkich okolicznych domach zapalały się światła.

Craig podniósł się, złapał klucz do kół i zataczając się lekko, obszedł grand prixa od tyłu. Odepchnął Ruth od drzwi kierowcy i z całej siły uderzył kluczem w szybę. Jeff wpatrywał się w niego dzikim wzrokiem — jego włosy płonęły, na twarzy zaczęły pojawiać się pęcherze,

a usta były szeroko otwarte. Fotel, na którym siedział, kurczył się gwałtownie, jakby był zrobiony z plasteliny. Z palącego się zagłówek prosto na plecy Jeffa skapywały krople płynnego plastiku. Tylna kanapa cała była wypełniona ogniem, pośrodku którego z trudem można było dostrzec Wstrętne Chłopaka — miał wysoko uniesione ramiona, jakby udawał grającą na perkusji małpę.

Craig ponownie walnął w szybę i tym razem pękła. Z okna niczym z gardzieli smoka wystrzeliły płomienie, osmalając Craigoowi twarz i nadpalając mu włosy. Mimo buchającego z samochodu gorąca wsadził ręce do środka, odpiął rozpalony do czerwoności zamek pasa bezpieczeństwa Jeffa i złapał go pod pachami. Krzycząc z bólu i wysiłku, przeciągnął ramiona syna przez wybite okno, złapał go za pasek spodni i wyszarpnął na podjazd. Jeden z butów chłopca potoczył się w dół podjazdu, ciągnąc za sobą smugę dymu.

Jeff leżał twarzą w dół na dróżce wyłożonej czerwoną kostką i pojękiwał z bólu. Jego T-shirt dymił.

— Craig! Musimy go stąd natychmiast zabrać! — krzyknęła Ruth. — Samochód za chwilę wybuchnie! Ammy, dzwoni pod dziewięćsetjedenastę! A potem przynieś kocę!

Całe ręce Craiga były pokryte pęcherzami, ale udało mu się przewrócić Jeffa na plecy. Włosy chłopca były spalone do samej skóry, jego twarz poczerniała, a uszy przypominały zwinięte plasterki smażonego bekonu. Craig złapał go za nogi, Ruth za ręce i wspólnymi siłami przeciągnęli

go po podjeździe i ułożyli na trawniku. Explorer Craiga zasłaniał go przed grand prixem.

— Musimy go schłodzić! Otwórz garaż i wyciągnij wąż! — poleciła mężowi Ruth.

Doskonale wiedziała, że Craiga wszystko boli i ma już pierwsze objawy wstrząsu, ale Jeff był tak straszliwie poparzony, że aby przeżyć, potrzebował natychmiastowej pomocy.

Craig otworzył drzwi SUV-a i wcisnął guzik na pilocie, aby otworzyć garaż. Pokuśtykał do środka, odkręcił wodę i zaczął wyciągać wąż, zalewając sobie wodą spodnie i buty.

Ruth klęczała obok Jeffa, uspokajała go i zapewniała, że karetka jest już w drodze. Wzięła w drżące ręce wąż i nastawiła jego końcówkę na drobne kropelki, po czym zaczęła przesuwając ją powoli nad ciałem Jeffa, aż jego spalone ubranie zostało nasączone zimną wodą. Jeff jęczał i mruczał:

— Co ty wyprawiasz, facet... to boli...

Z domu przybiegła Amelia z kocem w rękach.

— Zadzwoń! — zawołała. — Po ambulans, po straż!

Popatrzyła na grand prixa. Płomienie skakały tak wysoko, jakby zamiast samochodu paliło się w tym miejscu gigantyczne ognisko.

Na ulicy zaczęli się już zbierać sąsiedzi, ale woleli nie podchodzić zbyt blisko.

— Ammy, pochyl głowę! — krzyknęła Ruth.

Niemal w tym samym momencie zbiornik paliwa grand

prixa eksplodował z ogłuszającym hukiem i w niebo wystrzeliła kula pomarańczowego ognia. Wrak samochodu przefrunął nad ogródkiem skalnym, uderzył w trawnik, przetoczył się i znieruchomiał pod lipą — nadal paląc się tak gwałtownie, że zajęły się dolne gałęzie drzewa.

Craig opadł na kolana z uniesionymi rękami, jakby błagał jakiegoś okrutnego boga o litość. Ruth widziała, jak bardzo cierpi. Miała nadzieję, że sanitariusze nie każą na siebie zbyt długo czekać.

Amelia stała z boku trawnika, przyciskała ręce do boków, marszczyła czoło i kręciła głową w lewo i w prawo.

— Ammy? Dobrze się czujesz? — spytała zaniepokojona Ruth.

— Słyszę ich! Słyszę ich! Zbliżają się! — zawołała dziewczynka. — Przybywają spod spodu! Są ich setki i tysiące!

Rozdział 21

Ruth i Amelia musiały czekać na wiadomości o stanie zdrowia Jeffa i Craiga prawie do wpół do trzeciej nad ranem. Dziewczynka zwinęła się w kłębek na jednej z kanap, nie spała jednak, tylko nuciła pod nosem piosenki o chłopakach, deszczu i niespełnionej miłości. Ruth wpatrywała się w swoje odbicie w poczernionym nocą oknie, czując straszliwe zmęczenie.

Doktora zapowiedziało skrzywienie butów na linoleum. Był tuż po czterdziestce, łyśiał, miał śniadą skórę, okulary o szklach grubych jak denka butelek i czarne krzaczaste brwi, a jego przedramiona porastała gęstwina czarnych włosów.

— Pani Cutter? Jestem doktor Bercow, szef zespołu, który zajmował się pani synem Jeffem.

— Jak on się czuje? Mogę go zobaczyć?

— Obawiam się, że na razie nie. Jego poparzenia są tak rozległe, że musi przebywać w całkowicie sterylnym

środowisku. Ogień uszkodził mu drogi oddechowe, więc w tej chwili jest podłączony do respiratora. Podajemy mu płyny, aby nie dostał wstrząsu hipowolemicznego. Na twarzy i dłoniach doznał oparzeń drugiego i trzeciego stopnia, a na dwudziestu procentach reszty ciała oparzeń pierwszego stopnia.

— O Boże... ale nie umrze?

Doktor Bercow zdjął okulary. Miał pod oczami wielkie sine worki i wyglądał, jakby od miesiąca się nie wysypiał.

— Jeśli nie dojdzie do poważnej infekcji bakteryjnej, powinien z tego wyjść, jednak nie nastąpi to szybko. Po ustabilizowaniu się będzie potrzebował sporych przeszczepów skóry, ale miał szczęście, że pani mężowi udało się go tak szybko wyciągnąć z samochodu. Gdyby nie to, jego poparzenia byłyby znacznie poważniejsze.

— A co z moim mężem?

— Smarujemy mu ręce kremem z antybiotykiem i podajemy silne środki przeciwbólowe. W tej chwili śpi. Kiedy dłonie się zagoją, prawdopodobnie będzie miał trochę blizn i może lewa dłoń będzie lekko sztywna, ale poza tym powinien całkowicie wrócić do zdrowia.

— Dziękuję panu — powiedziała Ruth i usiadła, znowu czując ogarniające ją zmęczenie. — Będzie pan nas informował na bieżąco, prawda?

— Oczywiście, pani Cutter. Na razie jednak możemy tylko czekać i obserwować pacjenta. Na pani miejscu zabrałbym córkę do domu i trochę się przespał. Wątpię,

czy w ciągu najbliższych ośmiu godzin cokolwiek się zmieni. Proszę wrócić tu około jedenastej.

— Ma pan rację. To dobry pomysł. Chodź, Ammy. Co ty na to?

Dziewczynka wyprostowała się gwałtownie i popatrzyła na nią rozszerzonymi strachem oczami.

— Słyszać ich teraz znacznie głośniej! — zawołała.

— O czym ona mówi? — spytał doktor Bercow.

— Już nie szepczą — oznajmiła Amelia. — Paplają. BLA-BLA-BLA-BLA. Jakby byli okropnie podnieceni!

Ruth objęła ją i przytuliła do siebie.

— Jest przemęczona, to wszystko. To była ciężka noc.

— Wiem, że ich nie słyszysz — powiedziała Amelia. — Ale ja słyszę... i Martin też, choć nie tak wyraźnie jak ja.

— Dość, Ammy. Opowiesz mi o tym w domu.

— Są ich teraz setki! Setki!

Ruth ujęła córkę pod ramię i poprowadziła ją do wyjścia.

Doktor Bercow otworzył przed nimi drzwi.

— Proszę się nie martwić, pani Cutter. Obiecuję, że gdyby wydarzyło się coś nowego, natychmiast za dzwonię.

— Dziękuję bardzo.

— A tak a propos... czy pani wie, w jaki sposób samochód syna się zapalił? Jeff nie ma oparzeń występujących zwykle w przypadku zapalenia się benzyny, kerozyny czy innych tego rodzaju łatwopalnych płynów.

— Nie mam pojęcia, co było przyczyną... jeszcze nie. Może spięcie w układzie elektrycznym? Któryś z moich

kolegów z wydziału podpaleń obejrzy to sobie za dzień lub dwa.

— To był on... — powiedziała cicho Amelia. — On to zrobił, Wstrętny Chłopak. A teraz przepuści ich wszystkich. „Przechodźcie! Przechodźcie!”. Tak właśnie im mówi: „Przechodźcie!”.

Ruth uśmiechnęła się do lekarza.

— Czas na szklanekę ciepłego mleka i łóżko, nie sądzi pan?

Doktor Bercow kiwnął głową.

— To doskonały pomysł. A teraz proszę mi wybaczyć, muszę się zająć sześciolatkiem z poparzonymi trzydziestu pięcioma procentami powierzchni ciała. Chciał udawać Pyra z X-Menów. Polał się płynem do rozpalania grilla i przyłożył do ubrania zapałkę.

◆ ◆ ◆

Wróciły do szpitala za kwadrans dwunasta w południe. Kiedy jechały West Sycamore, chmury były czarne jak atrament. Deszcz bębnił wściekle o dach samochodu, o jezdnie i chodniki, wzbijając tumany drobniutkich kropelek, między którymi przeciskali się przechodnie z parasolami.

Jeff został przeniesiony z sali operacyjnej na jedno z piętnastu łóżek oddziału intensywnej opieki medycznej, dzięki czemu Ruth i Amelia mogły oglądać go przez szybę. Jego twarz była szkarłatno-czarna i błyszczała od maści z antybiotykiem. Ciągłe był podłączony do re-

spiratora i dostawał kroplówkę uzupełniającą płyny w organizmie.

— Pierwsze dwadzieścia cztery godziny będą krytyczne, ale pani syn to twardy zawodnik — stwierdziła ruda pielęgniarka o twarzy Madonny ze średniowiecznego świętego obrazu.

Ruth stała z dłonią przyłożoną do ust i patrzyła na Jeffa pełnymi łez oczami.

— Poprawi mu się, mamó — powiedziała Amelia, dotykając jej ramienia. — Wiem, że tak będzie. Czuję to.

Poszli zobaczyć Craiga, który siedział na łóżku z wysoko uniesionym oparciem. Obie ręce miał grubo owinięte gazą. W miejscu, gdzie ogień nadpalił mu włosy, grzywka była poszarpana, a brak brwi nadawał jego twarzy wyraz zaskoczenia.

— Ruth! Cześć, skarbie! Cześć, Ammy! — przywitał je. — Widziałyście już Jeffa?

Lekko plątał mu się język i nie potrafił skupić na nich wzroku, ale pielęgniarka wyjaśniła, że jest naszprycowany morfiną.

Ruth usiadła na krawędzi łóżka.

— Lekarze uważają, że ma szansę z tego wyjść — powiedziała. — Ale... Jezu, jego twarz... będzie zeszpecony do końca życia.

— To moja wina — wymamrotał Craig. — Nie powinienem był słuchać tego cholernego małolata. Powinienem wywalić go z samochodu natychmiast po tym, jak się w nim pojawił. Nawet nie wiem, w jaki sposób znalazł się

w środku. Jak dostał się do grand prixa? Między Conradt Street a West Sycamore nawet na chwilę się nie zatrzymywaliśmy...

— Daj spokój, Craig. Nie mogłeś wiedzieć, co zamierza.

— Powiniennem się domyślić. Tak naprawdę to wiedziałem. Spalił Tysona, prawda? Mówiłaś, że jest powiązany z tymi wszystkimi pożarami. A ja zostawiłem Jeffa razem z nim w samochodzie... Jak mogłem być taki głupi?

— Na pewno znalazłby inny sposób, aby nas skrzywdzić. Chce, żebym przestała prowadzić śledztwo w sprawie tych pożarów, i nie sądzę, aby odpuścił, dopóki tego nie zrobię.

— Ale zrobisz to, prawda?

— Nie wiem, skarbie. To moja praca. Mój obowiązek. Poza tym jeśli nie znajdę jakiegoś sposobu powstrzymania go, może zginąć jeszcze wiele niewinnych osób.

Craig machnął obandażowaną ręką, wskazując Amelię.

— Pozwolisz mu spalić Ammy? A potem siebie?

— Masz mumiówate ręce — powiedziała dziewczynka.

— Mumiówate ręce?

— Wyglądasz, jakby kapłani zaczęli robić z ciebie mumię, ale po owinięciu dłoni przestali, bo im się znudziło.

Craig uśmiechnął się krzywo.

— Ammy, posłuchaj: musisz zapomnieć o tych przybywających spod spodu ludziach. Jeśli znowu zaczniesz ci się wydawać, że ich słyszysz, włącz iPod. Nie mam pojęcia, kim są ci ludzie ani czego chcą, ale nie chcę, aby przytrafiło ci się to samo co Jeffowi.

— Wstrętny Chłopak nie zrobi mi nic złego. Mamie też nie.

— Skąd wiesz?

— Bo nas kocha.

— Kocha nas? — powtórzyła kompletnie zaskoczona Ruth. — Jeśli nas kocha, okazuje to w bardzo dziwny sposób. Zabił biednego Tysona, omal nie spalił Jeffa i popatrz, co zrobił z rękami taty. Jak może mu się wydawać, że nas kocha?

Amelia odwróciła się powoli i popatrzyła w głąb pokoju, jakby stał tam Wstrętny Chłopak — widoczny tylko dla niej. Na północnym wschodzie przetoczył się głuchy odgłos grzmotu.

— On nie ma mamy ani siostry i dlatego chce nas. Myśli, że zadbamy o niego.

— Skąd to wiesz?

— Widzę obrazy, które pojawiają się w jego głowie. Przypominają filmy na starej, podrapanej taśmie. Czasami słyszę, jak płacze. Chyba wiem, o co mu chodzi. Chce, żebyśmy go kochali. Uważa, że każdy powinien go kochać, i nie rozumie, dlaczego tak nie jest. Nie wie, jaki jest wstrętny i przerażający. Nie wie, jak bardzo śmierdzi. Nie wie też, że robi złe rzeczy. Chce, żeby wszyscy go kochali, i dlatego pali ludzi.

Craig popatrzył na Ruth. Widać było, że nic nie rozumie.

— Spytajcie Martina — powiedziała Amelia. — Wie o tym więcej ode mnie.

Do pokoju weszła ruda pielęgniarka.

— Przepraszam, ale muszę sprawdzić poziom płynów u pana Cuttera i jego ciśnienie, a potem powinien odpocząć. Jeśli chcecie, możecie wrócić około trzeciej.

Ruth pocałowała Craiga w czoło.

— Jeszcze ci nie powiedziałam, jaki byłeś dzielny. Wyciągnąłeś Jeffa z płonącego samochodu... uratowałeś mu życie. Byłeś niesamowity.

— Nie byłem. Przede wszystkim nigdy nie powinienem do tego dopuścić.

— Tato... — szepnęła Amelia. — Przecież to nie była twoja wina.

— Oczywiście, że była. To była tylko i wyłącznie moja wina.

— Nie! Wstrętnego Chłopaka nie obchodzi, ile osób skrzywdzi. Jest prawdziwy i jednocześnie nie jest. Spala się, ale wcale nie jest spalony. Nie żyje, ale w dalszym ciągu żyje. W żaden sposób nie można było go po wstrzymać.

— Może nie, skarbie, jednak ja nawet nie spróbowałem. Amelia pocałowała go.

— Zrobiłeś więcej, tato. Uratowałeś Jeffa... Uratowałeś życie mojemu bratu. Zobaczysz, wyzdrowieje. Będziemy wszyscy razem nad tym pracować i pomożemy mu odzyskać zdrowie.

Craig popatrzył na nią.

— Skąd ty się wzięłaś? Jesteś darem niebios.

◆ ◆ ◆

Kiedy wyszły z oddziału, zobaczyły detektywa Magruder siedzącego na krześle obok recepcji. Na ramionach jego płaszcza błyszczały jeszcze krople deszczu.

— Cześć, co u Jeffrey'a? — zapytał, wstając.

— Modlimy się i mamy nadzieję — odparła Ruth. — Nic więcej nie da się w tej chwili zrobić. Lekarze są dobrej myśli, ale jeszcze nie wyszedł na prostą. Może to trochę potrwać. Ciągle może dostać wstrząsu albo złapać jakąś infekcję.

— Jestem pewien, że wyjdzie z tego. Medycyna potrafi dziś leczyć oparzenia. Kilka dni temu oglądałem na ten temat program w telewizji. Jeśli chory nie ma dość własnej skóry do przeszczepu, mogą mu dać sztuczną.

— Czy Jack kontaktował się z tobą w sprawie Nadine Gardner? — zapytała Ruth.

— Owszem. Zamierza do ciebie dzwonić. Powiedział coś o szarym proszku i dodał: „więcej tego samego”, cokolwiek to znaczy.

Kiwnęła głową.

— Wiem, co to znaczy. A przynajmniej tak mi się wydaje.

— Powinnaś zobaczyć, co znalazłem... — Magruder uniósł swoją czarną skórzaną aktówkę takim gestem, jakby pokazywał jej zwycięski puchar z ważnych rozgrywek sportowych. — Głównie dlatego tu przyjechałem.

— No proszę... jak tylko cię zobaczyłam, od razu wiedziałam, że masz dla mnie jakąś niespodziankę.

— Musisz to zobaczyć. Zadzwoiłem wczoraj do biura

komendanta więzienia stanowego Indiany i zapytałem o twojego przyjaciela Pima Jacksona. Okazuje się, że sześć tygodni temu przeniesiono go do oddziału oparzeń szpitala w Carmel dla dokonania przeszczepu skóry na twarzy. Podczas przygotowań do operacji uciekł.

— Żartujesz sobie! Nie było o tym nic w wiadomościach. A przynajmniej ja nic nie zauważyłam.

— Bo władze federalne utajniły tę sprawę. Wygląda na to, że strażnik, który miał go pilnować, postanowił podczas pobytu Pima na stole operacyjnym wziąć sobie wolne. Zamierzał pobawić się w doktora z kilkoma osobami z personelu pielęgniarskiego. Mówię „osobami”, bo to nie były kobiety.

— A więc związał...

— Nie tylko on. Sześć dni po jego ucieczce napastnik w białej masce zaatakował autobus więzienny przewożący dwóch braci Pima z ośrodka resocjalizacyjnego w Indianapolis do więzienia federalnego w Terre Haute. Kierowca został postrzelony w twarz, a obaj bracia Pima i trzech inni więźniowie zniknęli.

— Nie wiedziałam, że Pimo ma braci.

— Ma. Freddiego i Karla. Teraz będzie najciekawsze... Jako młodzi mężczyźni wszyscy trzech mieszkali z matką Velmą w domu przy South Home Avenue.

— I co?

— Ich matka była beznadziejną ćpunką, która sprzedawała się dwa albo i trzy razy dziennie, żeby zdobyć pieniądze na narkotyki. Przez większość czasu Pimo,

Freddie i Karło też byli nawaleni po sufit i regularnie uprawiali z nią seks... czasami dwaj naraz, czasami wszyscy trzej. Kochana mamuśka była gotowa dla nich na wszystko. Robiła rzeczy, od których wywracają się bebechy, jeśli kobieta robi je z obcymi, a cóż dopiero z własnymi synami.

— Boże! Jak się tego wszystkiego dowiedziałeś?

— Z opieki społecznej. Od Kelly Wulwik, ale w raporcie nie ma jej nazwiska. Taki postawiła warunek. Była mi winna przysługę po pewnej sprawie z katolicką szkołą.

— Dlaczego to nigdy nie trafiło do sądu?

— Cóż... niektórzy klienci pani Jackson należeli do elity towarzyskiej i biznesowej Kokomo. Mowa o Izbie Handlowej. Nie chcieli, aby szczegóły ich perwersyjnych igraszek zostały opisane na pierwszej stronie „Tribune”. A jak już mówiłem, chodziło o bardzo perwersyjne rzeczy, nie tylko pejce, kajdanki i zabawy z użyciem oliwki.

Ruth szybko sprawdziła, czy nie słucha ich Amelia, ale dziewczynka klęczała w głębi sali przed tropikalnym akwariem i rozmawiała z rybą anielską.

— Jak tam u ciebie jest? — pytała. — Jak jest w wodzie? Widzisz mnie?

— Rozumiem — mruknęła Ruth. — Mówimy o narkomanii, prostytutce i kazirodstwie... Ale jak to się ma do któregośkolwiek z naszych pożarów?

Detektyw Magruder rozpiął aktówkę i wyjął z niej zieloną kartonową teczkę.

— Pani Jackson miała czwartego syna, Andrew, który w czasie, gdy Kelly kazano przyjrzeć się tej rodzinie, miał

trzydzieści lat. Kiepsko się uczył, a nauczyciele zauważyli, że sprawia wrażenie niedożywionego i niedomytego, poza tym regularnie pojawia się w szkole z siniakami na twarzy i rękach. Sąsiedzi Jacksonów skarżyli się na nieustanne odwiedziny mężczyzn o różnych porach dnia i nocy oraz głośną muzykę, śmiechy i krzyki. Ponieważ Andrew był nieletni i często opuszczał lekcje, opieka społeczna kazała swojej pracownicy zbadać tę sprawę. Kiedy Kelly tam poszła, pani Jackson była naćpana i bardzo agresywna. W całym domu śmierdziało jak w chlewie. Zlew kuchenny wypełniały brudne naczynia, wszędzie leżały pełne pleśniącego makaronu kartony po jedzeniu na wynos, po których pełzały karaluchy. Na ścianach, meblach i dywanach były plamy, których pochodzenia Kelly wolała się nawet nie domyślać. Rozmawiała z Andrew na podwórzu zarzuconym porzeczonymi częściami samochodowymi i wózkami z supermarketu. Pośrodku stała klatka dla zwierząt, ale Kelly nie miała odwagi do niej zajrzeć, bo w środku znajdowało się coś kudłatego i „zapadniętego”... takiego właśnie określenia użyła, choć nie potrafiła wyjaśnić, co to właściwie było. Andrew powiedział jej, że jest nieszczęśliwy, bo mama go nie kocha. Nie karmi go odpowiednio, nie pierze jego ubrań i nie dba o niego. Poza tym regularnie uprawia seks ze starszymi braćmi, ale jemu nie pozwala. Powiedział też, że często obserwuje matkę i braci podczas perwersyjnych igraszek. Nie wywoływało to w nim niesmaku ani oburzenia, czuł się jedynie wykluczony.

— Boże drogi... — jęknęła Ruth. — Chyba muszę usiąść.

Przysiadła na kanapie, nad którą wisiał wielki impresjonistyczny obraz przedstawiający maki, namalowany przez jednego z członków grupy Hoosier. Magruder usiadł obok niej.

— Nie chcę cię denerwować, zwłaszcza teraz, ale uważam, że to, co się wydarzyło w domu Jacksonów, jest bardzo znaczące.

— Znaczące? — powtórzyła zdziwiona Ruth.

Jeszcze nigdy nie słyszała, by użył podobnego określenia. Przyjrzała mu się uważnie i stwierdziła, że na jego głowie pojawiły się pierwsze siwe włosy. Pomyślała: każdy dzień nas opuszcza, jeden po drugim, są jak goście wymykający się chyłkiem o świcie i cicho zamykający drzwi, aby nas nie obudzić...

— Kelly próbowała doprowadzić do zabrania Andrew z rodzinnego domu, ale wszystkie jej wnioski odrzucano. Oczywiście miejscowe szychy nie chciały dopuścić do tego, aby ich wizyty u pani Jackson dotarły do publicznej wiadomości. Pewnego dnia, mniej więcej trzy tygodnie po wizycie Kelly, Andrew wrócił wcześniej ze szkoły i znalazł matkę w łóżku, nagą i kompletnie oszołomioną narkotykami. Dowody, jakie później zebrano, wskazują na to, że wykorzystał sytuację: rozebrał się i powtórzył z nią wszystko, co widział w wykonaniu braci. Kiedy skończył, położył się obok matki, objął ją i zasnął. Gdy Freddie i Karło wrócili do domu i zobaczyli Andrew przy matce,

dostali szau. Przynieśli z podwórka kanister benzyny, wylali ją na łóżko i podpalili. Byli tak naćpani, że sądzili, iż jedynie dadzą Andrew nauczkę. Jednak w powietrzu unosiło się tyle oparów benzyny, że cała sypialnia dosłownie eksplodowała i sami podpalacze również zostali poważnie poparzeni. Freddie stracił oko, a Karło nos. Nie muszę chyba dodawać, że Andrew i pani Jackson spalili się żywcem. Freddie zeznał, że Andrew latał po pokoju, goły i otoczony płomieniami, i wył jak kot, którego podpalił, kiedy miał osiem lat. Pani Jackson była tak oszołomiona, że spaliła się, nawet na chwilę nie odzyskując przytomności. Tak przynajmniej twierdził Freddie.

— A więc pożar przy South McCann Street...

— Wiem, że byłem w tej sprawie sceptyczny, i bardzo cię za to przepraszam. Jestem teraz gotów uwierzyć, że twój przyjaciel Martin przynajmniej po części ma rację. Spalenie Julie Benfield było pewnego rodzaju rytuałem... tak samo jak pożar, w którym zginęła Tilda Frieberg, pożar autobusu Spirit of Kokomo i spalenie się Nadine Gardner wraz z koniem. Wszystkie te zdarzenia były odtworzeniem wcześniejszych podobnych wypadków. Nie pytaj mnie tylko, czy uczestniczyły w tym jakieś siły nadprzyrodzone... Zjawiska nadprzyrodzone to nie moja działka. Popatrz jednak na te zdjęcia... to właśnie one mnie przekonały.

Wyciągnął z kartonowej teczki fotografie dwóch młodych kobiet. Jedna z nich trzymała lejce kasztanowego ogiera,

uśmiechała się i mrużyła oczy od słońca. Druga siedziała na huśtawce na werandzie, w tle widać było jesienne drzewa.

— Wydział policji ze Scottsdale przesłał e-mailem mi zdjęcie Helen McTighe, która pozabijała konie we Flying X. A ta druga to Nadine Gardner.

— O Boże... są prawie identyczne. Mogłyby być siostrami.

— Teraz popatrz na to.

Podał jej kolejne dwa zdjęcia. Pierwsze z nich, czarno-białe, pochodziło z policyjnej kartoteki i przedstawiało kobietę o nastroszonych włosach, opuchniętych oczach i posiniaczonej twarzy. Drugie — uśmiechniętą kobietę siedzącą w jakimś parku, z huśtawkami i karuzelą w tle.

— Ta z lewej to Velma Jackson, prostytutka, ćpunka i matka Pima, Freddiego, Karla i Andrew — powiedział Magruder. — Z prawej masz Julie Benfield, wzorową żonę, matkę i sekretarkę w Harris Bank. Nie ma jednak wątpliwości, prawda? Poza wyraźną różnicą w stanie zdrowia mogłaby to być ta sama osoba.

Ruth ponownie przyjrzała się fotografiom. Cztery kobiety z różnych środowisk, które połączyła taka sama straszliwa i bolesna śmierć.

Detektyw podał jej kolejne zdjęcie przedstawiające chłopaka o ziemistej cerze, szeroko rozstawionych oczach, dziwnie czerwonych ustach i potarganych kręconych włosach.

— To Andrew Jackson. Zdjęcie zrobiono, kiedy był w piątej klasie Maple Crest Middle School. Należał do grupy uczniów, którzy kwalifikowali się do darmowych albo ulgowych obiadów.

Ruth poczuła się, jakby nagle zabrakło jej powietrza.

— To on... Wstrętny Chłopak. Też go widziałeś, prawda? Przy South McCann.

Magruder kiwnął głową.

— Pokazywałeś to już kapitanowi Thompsonowi?

— Jeszcze nie. Chcę najpierw poskładać wszystko do kupy. Sandra siedzi w bazie danych NCIC i sprawdza, czy były jakieś podejrzone pożary z udziałem sześciu lub więcej starszych osób oraz takie, w których zginęła kobieta w wannie. Może się mylę, ale uważam, że wkrótce uda nam się połączyć je ze sobą.

— Prochy Andiego... — powiedziała cicho Ruth.

— Co takiego?

— Ammy ciągle słyszy w uchu szept: „Prochy Andiego... Prochy Andiego...”. Skremowane szczątki, które znaleźliśmy w spalonym materacu przy South McCann Street, muszą należeć do Andrew Jacksona. Prochy znalezione w wannie Tildy Frieberg i w autobusie ze starsz kami mają to samo DNA. Założę się, że Jack znalazł też skremowane szczątki w stajniach Weatherfield... pewnie właśnie to miał na myśli, kiedy mówił: „więcej tego samego”. I znajdzie je również na tylnym siedzeniu samochodu Jeffa. A obie próbki będą miały ten sam kod genetyczny.

Detektyw Magruder pociągnął się za wąsy.

— Więc uważasz, że ten Wstrętny Chłopak to zmarły Andrew Jackson, ale jednocześnie coś więcej niż Andrew Jackson? Coś jakby... reprezentant gatunku? Przedstawiciel wszystkich maltretowanych trzynastolatków połączonych w jedno?

— Właśnie.

— Jest więc również Billym, najmłodszym synem właściciela stajni we Flying X, w której Helen McTighe pozabijała konie? A także dzieciakiem, który zabił Tysona i zapalił samochód Jeffa? Andrew Jackson został podpalony przez swoich braci, potem jego szczątki skremowano, ale wraca raz po raz i podpala, co chce i kogo chce?

Ruth popatrzyła na niego ze zdumieniem, pokręciła głową i uśmiechnęła się.

— Czy nie mówiłeś przed chwilą, że zjawiska nad przyrodzone to nie twoja działka?

— Owszem, mówiłem. I w dalszym ciągu tak uważam. Pytam jedynie, co ty o tym sądzisz. W dalszym ciągu wolę uważać, że ktoś z jakichś tylko jemu znanych powodów, pozostawił te prochy na miejscach pożarów. Na przykład jakiś świr religijny.

— Było ich zbyt wiele. Nawet po bardzo dużym mężczyźnie pozostają najwyżej trzy kilogramy prochów — odparła Ruth.

— Cholera wie. Może to byli bliźniacy. Może trojaczki... o takim samym DNA. Będę się nad tym zastanawiał, kiedy skończę śledztwo.

— Muszę już iść — powiedziała. — Dasz mi znać, jeśli dowiecie się czegoś z bazy NCIC?

— Masz to jak w banku. Mam nadzieję, że stan Jeffa szybko się poprawi. Craiga też. Pozdrów go od nas.

♦ ♦ ♦

— Musimy coś zrobić, mamo! — zawołała Amelia, kiedy przeszły przez zalewany deszczem parking i wsiadły do samochodu.

— Co masz na myśli?

Amelia zsunęła z głowy kaptur i zasłoniła dłońmi uszy.

— Zamierzają przejść! Słyszę ich teraz bez przerwy! Nie chcą już dłużej czekać!

— Chodzi ci o ludzi z kliniki doktor Beech? Tych, co się palą?

— Nie chcą już dłużej czekać — powiedziała Amelia. — Twierdzą, że teraz ich kolej.

— Uspokój się, skarbie. Wiem, że ostatnie dni były okropne, ale musimy być silne. Sama tak mówiłaś. Musimy trzymać się razem i nie możemy dać się zastraszyć. Wiesz, co zawsze mawiał twój dziadek? „Nie dam się zastraszyć nikomu ani niczemu. Nigdy”.

Kiedy włączyła telefon, natychmiast zawibrował. Miała wiadomość głosową od Martina:

„Ruth? Co się dzieje? Przez cały dzień próbuję się do ciebie dodzwonić. U ciebie w pracy nie chcieli mi powiedzieć, gdzie jesteś. Musimy się jak najszybciej zobaczyć. Chyba zaraz *zacznie* się piekło”.

Rozdział 22

Martin przyjechał kilka minut po pierwszej. Niebo zaczęło się już przejaśniać, wiatr przeganiał ostatnie chmury, ale gdzieś w oddali wciąż przetaczały się hurgoty. Wypalony grand prix Jeffa został zabrany przez straż pożarną, jednak przód domu nadal jeszcze był otoczony żółtą policyjną taśmą, która łopotała na wietrze. Czerwona kostka podjazdu była osmalona i popękana, jakby spadł na nią meteoryt, a dolne gałęzie lipy wyglądały jak powykęcane artretyzmem paluchy czarownicy.

— Co się stało? — spytał Martin, kiedy Ruth otworzyła drzwi.

— A jak sądzisz? Wstrętny Chłopak znowu się pojawił.

— Boże...

— Zapalił się w samochodzie Jeffa. Ekspłodował jak bomba zapalająca. Mój syn ma rozległe oparzenia na całym ciele, a Craig poparzył sobie ręce, kiedy go wyciągał z wozu.

— Jezu, Ruth... tak mi przykro.

— To nie była twoja wina. Ostrzegałeś mnie. Wiele razy.

— Wiem, ale nigdy by mi nie przyszło do głowy, że tak szybko zaatakuję. Najwyraźniej szykuje się finał...

Kiedy weszli do salonu, z kuchni wybiegła Amelia — w obszernym pomarańczowym swetrze, z włosami związanymi w kucyki.

— Cześć, Martin! Zrobiłam mrożoną czekoladę z kawałkami czekolady w środku. Chcesz trochę?

Martin uśmiechnął się, ale pokręcił głową.

— Chyba jednak nie, dzięki.

Był blady i sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego, jakby źle spał. Miał potargane włosy i najwyraźniej nie zdążył się ogolić.

— Co powiesz na kieliszek wina? — spytała Ruth. — Mnie też przydałby się drink.

— Jeffrey i Craig... gdzie teraz są? — spytał Martin, kiedy napełniała kieliszki.

— Na oddziale intensywnej terapii u Świętego Józefa. Jeff ma poparzone drogi oddechowe, więc leży pod respiratorem. Podają mu płyny i próbują uchronić go przed infekcją. Niewiele więcej da się zrobić, przynajmniej na razie. Craig ma całe ręce w pęcherzach, ale lekarze uważają, że wkrótce wszystko się zagoi.

— Ruth... nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro. Powinienem znacznie wcześniej dostrzec, co się szykuje.

Amelia wyszła z kuchni, mieszając czekoladę w szklance.

— Wkrótce przejdą, prawda? Słyszę ich teraz bez

przerwy. Terkoczą jak terkoty. BLA-BLA-BLA BLA-BLA--
BLA-BLA! Przechodzimy! Przechodzimy!

— Ja też ich słyszę — odparł Martin. — Właśnie dlatego chciałem się z wami zobaczyć. Musimy się do
wiedzieć, gdzie przejdą i jak i ich zatrzymać. To poważna
sprawa, Ruth. Mam wrażenie, że we wszystkich dziewięciu
kręgach piekła aż kipi.

— „Wszyscy przejdziemy! Wszyscy przejdziemy! —
zawołała Amelia, kiwając głową. — Nie powstrzymacie
nas! Wszyscy przejdziemy!”.

Martin ujął ją za rękę.

— Chyba wiem, co się dzieje. Jeśli Amelia słyszy te
same głosy co ja, wiadomo przynajmniej, że nie oszalałem.

— Zanim powiesz nam coś więcej, powinienesz się
dowiedzieć, co odkrył detektyw Magruder — stwierdziła
Ruth i opowiedziała mu o Velmie Jackson i jej czterech
synach oraz o tym, jak Velma i Andrew umarli, obłani
benzyną i podpaleni. Opowiedziała także o Helen McTighe
i Billym, o zdjęciach i podobieństwie między Velmą
Jackson i Julie Benfield.

— Tak przypuszczałem — mruknął Martin, kiedy skoń
czyła. — Podejrzewałem, że chodzi o Pima i jego braci.
Wszystko zaczyna się układać w sensowną całość.

— Cieszę się, że dla ciebie to wszystko ma jakiś sens.
Odstawił kieliszek i popatrzył na nią.

— Od samego początku uważałem, że Wstrętny Chłopak
zawarł układ z którymś z pomniejszych bogów. Bogów,
aniołów, nie bardzo wiem, jak ich nazywać... W każdym

razie ten twój detektyw Magruder to potwierdził. Za to, co Andrew Jackson zrobił swojej matce, po śmierci został posłany do dziewiątego kręgu piekła. Paliłby się tam dzień po dniu, noc po nocy, czując straszliwy ból przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez całą wieczność. Pomyśl o tym. Nie sprzedałabyś duszy, aby się od tego uwolnić choćby na minutę?

— Ale dlaczego on? I jakim sposobem może umierać w ogniu, a potem ponownie się zjawiać?

— Nie wiem, dlaczego został wybrany. Może bogowie wyczuli, że będzie im bezgranicznie posłuszny. Może zgrzeszył tak strasznie, że bardziej potrzebował odkupienia niż jakikolwiek inny chłopak w jego wieku? W każdym razie zawarli z nim układ: jego nieśmiertelna dusza w zamian za ciemność i spokój. Mając jego duszę, mogli go wskrzesić, z prochów mogli odtworzyć go dokładnie takim, jaki był w dniu, kiedy zginął. Pewnego ranka pięć lat temu Andrew Jackson się obudził, założył czarny T-shirt i czerwone dżinsy i poszedł do szkoły, zjadł swój darmowy obiad i wrócił do domu, w którym czekała na niego śmierć. Teraz wygląda dokładnie tak samo jak wtedy. Tyle że to wcale nie jest ten sam chłopak. Jak już mówiłem, to anioł śmierci. Wszystko wskazuje na to, że Andrew Jackson zamierza zemścić się za każdego trzynastolatka, który kiedykolwiek był źle traktowany. Wykorzystuje Pima i dwóch pozostałych braci do tworzenia scenariuszy, które przypominają rzeczywiste wydarzenia, i pali niewinnych ludzi podobnych do tych, którzy go

dreńczyli. Za każdym razem, kiedy taki człowiek umiera, anioł śmierci przejmuje władzę nad jego duszą. Według mnie żadna z tych osób nie cierpi po śmierci. Ani Julie Benfield, ani Tilda Frieburg, ani emeryci z autobusu. Nie poszli do piekła, aby płonąć przez całą wieczność jak Andrew Jackson czy ludzie, których widzieliśmy w klinice doktor Beech. Trafiają we wszechogarniającą ciemność, za którą tęsknią wszyscy umarli. Pogrążają się w nicości. To właśnie uzyskał Andrew Jackson w zamian za oddanie bogom swojej duszy i zgodę na wykorzystywanie jego prochów: wieczny spokój.

— Ale czemu ci bogowie chcą zawładnąć duszami tych ludzi?

— O to musiałabyś spytać profesora Solwaya, sądzę jednak, że odpowiedziałby, iż życie w niebie i piekle niewiele różni się od życia na ziemi. Im więcej dusz uda się jakiemuś bogowi wokół siebie zgromadzić, tym większe będzie miał wpływy. Nawet tam wszystko krąży wokół władzy. Opowieści o wielkiej bitwie w niebie, która skończyła się strąceniem Lucyfera na ziemię, są w pewnym sensie prawdziwe... choć nikt nie ma pojęcia, jak wyglądają anioły i Bóg.

— Próbuję to zrozumieć, ale chyba nie bardzo mi się udaje...

— Wiem, że to trudne. Jak w przypadku każdej innej wojny, dopóki ktoś nie wygra albo nie przegra, niewiele wiadomo. Nie pozostało nam jednak zbyt dużo czasu. Głosy, które ja i Ammy słyszemy, to głosy ludzi z dzie-

wiątego kręgu, którzy uważają, że jeśli zaczną wzniecać rytualne pożary i odtworzą okoliczności swojej śmierci, ich cierpienia się skończą.

— Ale jeżeli to, co powiedziałeś o Andrew Jacksonie, jest prawdą, wszyscy ci ludzie musieliby najpierw zawrzeć układ z tym samym bogiem. Musieliby też mieć do pomocy Pima i jego braci albo kogoś podobnego.

— Owszem. Jeśli tego nie zrobią, prawdopodobnie nie znajdą spokoju. Jednak bardzo cierpią i nie zamierzają dłużej czekać. Chcą jak najszybciej przejść i palić, co tylko się da. Ale jeżeli ludzie z dziewiątego kręgu piekła znajdą drogę powrotu do świata żywych, wtedy wszyscy zechcą tu przybyć, ze wszystkich pozostałych kręgów: ofiary zaraz i wypadków, topielcy i inni.

— Chyba nie mówisz tego poważnie...

— Twój syn leży w szpitalu i walczy o życie, a ty twierdzisz, że nie mówię poważnie? To może się wydarzyć wszędzie. Może się tu zjawić każda osoba, która ma jakieś niedokończone sprawy z żywymi i chciałaby je zamknąć.



Ruth zadzwoniła do Jacka i powiedziała mu, że stan Jeffa jest stabilny, a z Craigiem jest coraz lepiej, po czym dodała:

— Ron Magruder przekazał mi twoją wiadomość dotyczącą szczątków ze stajni Weatherfield: „więcej tego samego”. Zakładam, że chodziło ci o skremowane szczątki, które znajdowaliśmy w miejscach wszystkich pożarów.

— Dobrze zakładasz, szefowo. Posłałem te prochy Aaronowi Scheinmanowi, żeby je jak najszybciej zbadał, i już mam wyniki. DNA jest identyczne jak w dwóch poprzednich próbkach. Oznacza to, że mamy teraz tyle skremowanych szczątków jednej osoby, że wystarczy na dwie i prawdopodobnie pół trzeciej. Oczywiście to niemożliwe. Ale prawdziwe.

— Jest ze mną Martin. Próbował mi to wyjaśnić, jednak niewiele z tego zrozumiałam... zresztą nawet gdybym rozumiała, chyba nie uwierzyłabym w to wszystko. Ale na razie jest to jedyna spójna teoria.

— Wiesz przecież, że mam otwarty umysł. Pamiętaj o Lois.

— Tak, oczywiście. Przywieźli już samochód Jeffa?

— Grand prixa? Jest w naszym garażu. Zejdę tam, jak tylko skończę komputerowy model pożaru z kliniki Waltersa. Dopiero dostałem wyniki z sekcji Tysona.

— Dzięki, Jack. Zadzwoń, kiedy będziesz miał coś nowego.

— Jasne. I nie bierz sobie za bardzo tego wszystkiego do serca, dobrze? Przeżyłaś w ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin kilka poważnych wstrząsów, a jesteś tylko człowiekiem jak my wszyscy.

— Dzięki, Jack.

Rozłączyła się, ale telefon niemal natychmiast ponownie zadzwonił.

— Cześć, Ruth. Sandra Garnet przy aparacie. Ron musiał wyjechać, bo było wezwanie na stację benzynową przy

West Jefferson, ale prosił, żebym jak najszybciej do ciebie zadzwoniła.

— Znaleźliście coś w bazie NCIC?

— Zgadza się. Znalazłam przypadek podpalenia podobny do pożaru autobusu Spirit of Kokomo i drugi, podobny do sprawy Tildy Frieburg. W oba te pożary zamieszany był trzynastolatek.

— Mów dalej.

Sandra odchrząknęła.

— W maju dwa tysiące siódmego roku doszło do groźnego pożaru w szpitalu psychiatrycznym w Kenosha w stanie Wisconsin. Zginęło wtedy siedmioro starszych pacjentów, portier i trzynastoletni wnuk jednego z pensjonariuszy.

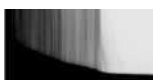
— Jak to się stało?

— Według patologa wszyscy pacjenci mieli skłonność do agresji, więc zaczęto im podawać nowy lek o nazwie occus-ex. Niestety, najwyraźniej podziałał zupełnie inaczej, niż oczekiwano, bo pewnego popołudnia, bez żadnej racjonalnej przyczyny, pacjenci zaczęli się bić, pozrywali z siebie ubrania i podpalili świetlicę. Kiedy portier próbował gasić ogień, pchnięto go nożem. Chłopiec został ogłuszony, gdy próbował ratować swojego dziadka. Obaj zmarli w wyniku oparzeń drugiego stopnia i zatrucia dymem. Przesłano mi z NCIC zdjęcia pięciu ofiar. Przynajmniej jedna z nich jest bardzo podobna do Idy Mae Lutz, staruszki, która zginęła w pożarze autobusu Spirit of Kokomo. Chłopak nazywał się Ricky Billings. Jego zdjęcie

również mi przysłali... jeśli nie brać pod uwagę jego piegów i koloru włosów, mógłby być bliźniaczym bratem Andrew Jacksona. Ruth popatrzyła na Martina i zakryła mikrofon dłonią.

— Rozmawiam z policją — wyjaśniła mu, po czym wróciła do rozmowy z Sandrą Garnet. — A co ze sprawą Tildy Frieburg? — zapytała.

— Hm... w ciągu trzech lat miały miejsce dwa podobne przypadki... Dwie dziewczyny spłonęły żywcem w wannie: jedna w Fort Lauderdale na Florydzie, druga w Champaign w Illinois. W obu przypadkach ofiary zostały oblane środkiem zapalającym i podpalone, ale dziewczyna z Fort Lauderdale była czarna i chuda i mieszkała z chłopakiem, a ta z Champaign biała i miała nadwagę, tak samo jak Tilda Frieburg. I mieszkała sama. Nazywała się Belinda Cusack. Do siedemnastego roku życia mieszkała z matką i młodszym bratem przy West Eureka Street. Matka była alkoholiczką i Belinda musiała nie tylko sprzątać i gotować, ale także zdobywać pieniądze na czynsz. Aby jakoś podreperować domowy budżet, od piętnastego roku życia sprowadzała do domu mężczyzn. Nie była ładna, więc musiała pozwalać robić mężczyznom wszystko, na co mieli ochotę, a niektóre rzeczy, jakich od niej żądali, były naprawdę odrażające. W końcu nie mogła już dłużej tego wytrzymać, spakowała się i odeszła. Pewnego dnia przyszła sprawdzić, co się dzieje z bratem. Nie zastała go, ale natknęła się na matkę. Zaczęły się kłócić o pieniądze, matka uderzyła ją żelazkiem w głowę i Belinda straciła



przytomność. Kobieta sądziła, że córka nie żyje, więc rozebrała ją, zawlokła do łazienki, a potem oblała wódką i podpaliła. Nie przyznała się do tego, ale prawdopodobnie próbowała tak to zaaranżować, aby podejrzenie padło na któregoś z klientów Belindy. Kiedy dziewczyna zaczęła się palić, musiała odzyskać przytomność, bo sąsiedzi słyszeli krzyk, jednak nikt nie przyszedł sprawdzić, co się dzieje. Podczas całego tego zamieszania do domu wrócił trzynastoletni brat Belindy. Próbował ją ratować, ale matka uderzyła go kilka razy tym samym żelazkiem w głowę i zabiła.

— To okropne...

— Czasami, kiedy się słyszy, co ludzie robią sobie nawzajem, trudno wierzyć w Boga, prawda?

◆ ◆ ◆

Okolo czwartej po południu Amelia zerwała się z krzesła i zaczęła nerwowo chodzić po salonie. Była niezwykle pobudzona. Zastaniała dłońmi uszy i raz po raz pokrzykiwała:

— Przestańcie! Skończcie z tym! Nie interesuje mnie, czy przejdziecie! Po prostu przestańcie!

Ruth próbowała objąć ją i uspokoić, ale Amelia się wyrwała i znowu zaczęła krążyć po mieszkaniu, krzycząc coraz bardziej piskliwie:

— Skończcie z tym! Nie interesuje mnie, czy przejdziecie! Zostawcie mnie w spokoju!

— Ruth... musimy coś zrobić, i to już — powiedział

Martin. — Nie możemy pozwolić, żeby Ammy doznała załamania nerwowego.

— Może powinnam zadzwonić do doktora Feldsteina albo doktor Beech?

— Ammy nie potrzebuje lekarza. Musi stanąć twarzą w twarz z tymi wszystkimi ludźmi, którzy wracają z piekła. Sam ich słyszę, choć ona prawdopodobnie znacznie głośniej. Robią się coraz bardziej rozhisteryzowani, a jeżeli my ich nie powstrzymamy, kto to zrobi? Nikt poza nami w nich nie wierzy.

Ruth z niepokojem patrzyła na swoją córkę, która na sztywnych nogach krążyła między pokojami, przez cały czas przyciskając dłonie do uszu i nerwowo rozglądając się na boki. Podrygiwała, pociągała nosem i wpadała na ściany, jakby miała atak padaczki.

— Co możemy zrobić? — spytała Ruth. — Martin, co możemy zrobić?!

Położył jej dłoń na ramieniu.

— Przede wszystkim nie wolno nam panikować. Musimy zachować chłodne głowy, ponieważ kiedy ci wszyscy ludzie zaczną przechodzić, będą półprzytomni z bólu. Wszystko będzie ich bolało, będą zdezorientowani i wściekli. Musimy się dowiedzieć, którądy zamierzają przejść, a kiedy to odkryjemy, udamy się tam i odeślemy ich z powrotem.

— W jaki sposób?

— Pałą się, prawda? Wszyscy płoną. Skoro pracujesz w straży pożarnej, może wezwij kilka wozów strażackich?

Jeśli przedostaną się na naszą stronę i nic nie będą mogli podpalić, co im pozostanie? Są martwi, więc będą musieli wrócić do piekła.

— To szaleństwo!

— Całe życie jest szaleństwem. Śmierć jest szaleństwem. Przed urodzeniem się jesteśmy niczym, nawet nie mamy świadomości. Potem budzimy się do życia pełnego szczęścia i światła. A po jakimś czasie znowu znikamy. Trzask i koniec. Gasną wszystkie światła i zapada ciemność. Jeśli to nie jest szaleństwo, nie wiem, jak to nazwać.

— Rozumiesz jednak, dlaczego ci ludzie chcą wrócić, prawda? Spaleni, topielcy, ofiary różnych strasznych chorób. Nie sądzisz, że czują się oszukani?

Martin wbił wzrok w dywan.

— Nie tylko sądzę, ale wiem. Susan mi to powiedziała.

— Znowu do ciebie przyszła?

Nie odpowiedział na to pytanie.

— Znowu ją czułeś, tak? Dziś w nocy?

Kiwnął głową.

— Czułem ją i słyszałem. To zakłócenie, które zaczęło się w dziewiątym kręgu piekła, rozprzestrzenia się na wszystkie inne kręgi jak fala. Susan jest w ósmym kręgu, wraz ze wszystkimi innymi topielcami. Przyszła do mnie wczoraj, kiedy byłem pod prysznicem. Przyszła i mocno się do mnie przytuliła... znacznie mocniej niż ostatnio. Powiedziała, że się boi, bo ludzie strasznie krzyczą, a woda bardzo się burzy, jakby za chwilę miała pęknąć tama. Wszyscy ci ludzie chcą zostać uratowani. Nie przed

śmiercią, bo już nie żyją... chcą się jedynie uchronić przed ponownym utonięciem.

Ruth przyjrzała mu się uważnie. Miała ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć palcami jego ust, żeby go jakoś pocieszyć. Może by to zrobiła w innym życiu, gdyby nie była żoną Craiga oraz matką Jeffa i Amelii. Miała wrażenie, że spotkała pokrewną duszę — tyle że w nieodpowiednim czasie i w nieodpowiednich okolicznościach. Mogła jedynie patrzeć na Martina i rozmawiać z nim, nie ujawniając swoich uczuć.

— Więc co robimy? — spytała znowu. — Jak się dowiemy, którzy ci wszyscy ludzie zamierzają przejść do świata żywych?

— Wydaje mi się, że Ammy potrafi znaleźć to miejsce, jeśli ją naprowadzę. Możemy odbyć kolejną sesję liebaul-towską... ty, ja i ona, tylko we trójkę. Oni są bardzo blisko, Ruth, i coraz bardziej się zbliżają. Kiedy tym razem przejdą, nie zatrzymamy ich samym przerwaniem kręgu. Tym razem dojdzie do wojny.

Rozdział 23

Usiedli po turecku na środku salonu. Za oknami znowu zrobiło się ciemno i wiał wiatr, rozrzucając po podwórku suche liście. Nie mieli kryształowej kuli, na której mogliby skupić wzrok, ale Ruth znalazła świecznik z kulistą szklaną osłoną. Dostali go razem z Craigiem jako prezent ślubny od jednej z jego sióstr i nigdy nie używali.

Kiedy włożyła do środka świecę i zapaliła ją, świecznik rozbłysnął wszystkimi kolorami tęczy — tak samo jak kula doktor Beech.

— W porządku... teraz nawiążmy kontakt — powiedział Martin.

Wyciągnął rękę i dotknął palcami skroni Amelii, a ona dotknęła skroni matki. Ruth przez chwilę się wahała. Martin patrzył na nią, jakby wiedział, co jej chodzi po głowie. Po chwili jednak podniosła rękę i dotknęła jego skroni.

— Popatrzmy na kolory — powiedział. — Oczyścimy umyśły i zobaczymy, jakie uda nam się wywołać obrazy.

Siedzieli w milczeniu przez ponad trzy minuty. Deszcz bębnił w okna, wiatr ciskał w nie połamanymi gałązkami, a w szparze pod drzwiami syczał przeciąg, jakby jakieś wielkie zwierzę próbowało wywęszyć, kto jest w środku.

W końcu kolorowe światełka zaczęły migotać i tańczyć Ruth przed oczami. Mogłaby przysiąc, że słyszy trzask ognia, a kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że po twarzy córki skaczą odbicia płomieni.

— Ammy... — powiedziała.

Trzask ognia był tak głośny, że prawdopodobnie dziewczynka jej nie usłyszała. Kiedy jednak sama zaczęła szeptać, słychać było każde słowo.

— Przechodzimy — zaczęła lekko chrapliwym głosem. Choć jej wargi się poruszały, wydawało się, że mówi to ktoś inny. — Przechodzimy i nic nas nie powstrzyma. Już nie.

Martin zamknął oczy. Gdy Ruth na niego popatrzyła, zobaczyła, że po jego twarzy również pełgają odbicia płomieni.

— Czuję was i słyszę — powiedział. — Czego chcecie?

— Muszę to naprawić... — wyszeptała Amelia. — Oczy płoną... palce płoną. Muszę to uspokoić...

— Ilu was przechodzi? — spytał Martin.

— Setki. Setki i tysiące. I nie powstrzymacie nas teraz. Muszę to naprawić. Palce płoną. Oczy płoną. Włosy płoną.

Ból, ból, nie możemy znieść bólu! Nie możemy znieść bólu ani minuty dłużej! Martin popatrzył na Ruth, po czym odwrócił się do okna.

— Ona ma rację. Przechodzą. Ja też ich czuję.

— Ale gdzie? — spytała Ruth.

— Tutaj — odparła Amelia swoim własnym głosem.

Jej twarz nagle się zmieniła. Wyglądało to tak, jakby miała założoną przezroczystą maskę, która inaczej załamывała światło. Pod spodem przez cały czas widać było dziecięce rysy, ale na to nałożona została inna twarz, denerwująco znajoma. Przez chwilę Ruth miała wrażenie, że to jej własna twarz, zaraz jednak zorientowała się, że tak nie jest.

Była to twarz kobiety ze zdjęcia stojącego na biurku Amelii — zdjęcia, które dziewczynka znalazła w szufladzie komody, kiedy wprowadzili się do tego domu.

— Tutaj? — powtórzyła Ruth ze zdziwieniem.

Miała tak ściśnięte gardło, że ledwie rozpoznała własny głos.

Amelia kiwnęła głową, a oczy jej „nałożonej” twarzy ze smutkiem popatrzyły na Ruth.

— Ci ludzie szukają właśnie mnie. Kiedyś mieszkałam w tym domu. Razem z mężem i naszym synkiem Paulem.

— Kim jesteś? — spytał Martin. — Jak się nazywasz?

— Jennifer Steadman. Świętej pamięci Jennifer Steadman.

— Dlaczego ci ludzie chcą tu przyjść? Czemu cię szukają?

— Z powodu tego, co zrobiłam — powiedziała Amelia łagodnym głosem. — Któregoś dnia mój mąż dowiedział się, że mam romans z jego bratem Gregiem. Powiedziałam mu wtedy, że to już dawno skończone, ale nie potrafił mi wybaczyć i tak bardzo mnie pobił, że miałam połamane palce. Wzięłam mojego syna Paula, wsiadłam do samochodu i odjechałam. Byłam pijana i wściekła. Wszystko mnie bolało. W ogóle nie wiedziałam, gdzie jadę.

Ruth chciała ująć Amelię za rękę, ale nie mogła tego zrobić, nie przerywając kręgu.

— Co się wtedy stało? — spytała.

— Na Trzydziestcepiątce był wypadek. Jakaś dziewczyna skoczyła z wiaduktu i trzy albo cztery samochody się zderzyły. Nie patrzyłam, gdzie jadę, i wjechałam prosto w ten karambol. Mój samochód się zapalił. Wszystkie drzwi się zablokowały, zaciął się też pas Paula. Mogliśmy tylko siedzieć obok siebie i krzyczeć.

— Boże... — westchnęła Ruth. — To chyba wypadek, o którym mówiła doktor Beech...

— Od tamtej pory się palimy — powiedziała Amelia, tym razem znacznie mniej wyraźnie. — Razem z Paulem przez cały czas siedzimy w samochodzie i wciąż się palimy. To się musi wreszcie skończyć. Musicie nas przepuścić.

Falująca świetlna maska zniknęła z twarzy Amelii i Ruth mogłaby przysiąc, że czuje, jak duch Jennifer Steadman przemyka kilka centymetrów od niej — wyczuwała go

jako leciutki prąd ciepłego powietrza. Amelia otworzyła oczy i popatrzyła na matkę, a potem na Martina.

— Co się dzieje? — spytała.

W tym samym momencie w mieście zaczęły wyc syreny ostrzegające przed tornadem.

Ruth natychmiast przerwała krąg, wstała i podeszła do okna.

— O co chodzi? Przecież to nie sezon huraganów!

Martin i Amelia stanęli tuż za nią i córka mocno objęła ją w talii. Na wschodzie, nad centrum Kokomo, niebo rozjaśniał pomarańczowy blask. Kilka sekund później w górę strzeliły płomienie sięgające przynajmniej do trzydziestu metrów. Syreny nadal wyły. Po chwili dołączyły do nich syreny radiowozów i furgonetek ratowniczych oraz trąbienie wozów straży pożarnej.

— To wygląda, jakby całe miasto się paliło — mruknął Martin.

— Właśnie przeszli — wyjaśniła Amelia. — Teraz idą w naszą stronę. Są ich całe setki.

Płomienie coraz wyżej wzbijały się w niebo, falując na wietrze niczym gigantyczne sztandary. Wydawało się, że w centrum miasta pali się co najmniej pięćdziesiąt kwartałów domów — łącznie z Main Street, Union Street i ratuszem. W ciemne niebo wznosił się słup dymu przemieszanego ze snopami iskiei.

Ulicą szła w ich stronę kolumna ludzi z pochodniami. Kiedy podeszli bliżej, okazało się, że wcale nie niosą pochodni, ale sami płoną. Byli to ludzie, którzy pojawili

się w ich wizji w gabinecie doktor Beech — tyle że teraz przestali być jedynie wizją. Byli rzeczywisci — wrócili z piekła i płonęli żywym ogniem.

— Jezu... Piekło chce nam złożyć wizytę.

Kolumna składała się z jakichś dwustu osób. Byli to mężczyźni w płonących ubraniach, z czerwonymi lub czarnymi, zwęglonymi twarzami, kobiety z płomieniami zamiast włosów oraz dzieci — zabite przez prąd albo oślepione przez chemikalia. Ciągnęły się za nimi kłęby ognia, a kiedy powiał wiatr, zdmuchnął z ich ramion drobny szary popiół.

— Martin! Dlaczego oni wszyscy idą właśnie tutaj? — zapytała Ruth. — Czego od nas chcą?

Amelia ścisnęła ją za ramię.

— Patrz! On też przybył! Dlatego!

Wskazała na podjazd. Pod lipą stał Andrew Jackson — Wstrętny Chłopak. Twarz miał jeszcze bledszą niż zwykle, a jego kręcone włosy sterczały na wszystkie strony. Patrzył w ich stronę i uśmiechał się szeroko.

Tuż za nim stało trzech mężczyzn. Byli ubrani w długie płaszcze i mieli na twarzach białe papierowe maski: pozbawioną wyrazu, wściekle wyszczerzoną i histerycznie roześmianą.

— Co robimy? — spytała Ruth.

Ulica wypełniała się coraz gęstszym tłumem płonących ludzi. Zapach spalonego ludzkiego ciała wdierał się przez szparę pod drzwiami i Ruth musiała zacząć oddychać ustami, żeby go nie czuć. Najgorsze w tym wszystkim było

to, że pobudzał apetyt — przypominał zapach pieczonej wieprzowiny.

— On chce Jennifer — oświadczyła Amelia. — Chce zabrać ją na przejażdżkę Trzydziestkąpiątką.

— Chce ciebie, Ruth — powiedział Martin. — Już nie jest Andrew Jacksonem, choć powstał z jego prochów. Jest Paulem, chłopcem, który tu kiedyś mieszkał i razem z matką spłonął w samochodzie. A ponieważ mieszkasz tutaj i jesteś do niej podobna, pragnie rytualnego odtworzenia tego wypadku, aby móc odnaleźć spokój.

Ruth przez cały czas obserwowała Wstrętnego Chłopaka i jego trzech braci. W głębi ulicy zapaliły się dwa domy. Spod okapów wypełzały języki płomieni, nad dachami kłębił się gęsty dym. Słysząc było krzyki mieszkańców i brzęk tłuczonego szkła. Po chwili zapalił się kolejny dom, a potem jeszcze jeden. Ludzie z piekła mścili się na żywych — nawet jeśli nie miało się to im w żaden sposób przysłużyć.

— Mamo, tak bardzo się boję... — chlipnęła Amelia.

— Ja też, skarbie — odparła Ruth i odwróciła się do Martina. — Co powiedziała ci Susan?

— Nie rozumiem... Co to ma wspólnego z tym wszystkim?

— Nie powiedziała ci, że woda burzy się i wszyscy topielcy chcą zostać uratowani?

— Owszem, powiedziała.

— Mógłbyś z nią znowu porozmawiać? Teraz?

— Chyba tak. Ale po co?

— Mógłbyś jej powiedzieć, że może przejść, a razem z nią mogą przejść wszyscy, którzy się kiedykolwiek utopili?

— Nie wiem. Może. Jeśli jednak do tego dojdzie, będzie to jak przerwanie tamy. Ósmy krąg piekła jest jak ocean, są tam tysiące topielców. Całe miasto zostałoby zalane.

— Właśnie o to chodzi.

— Mam nadzieję, że wiesz, o co prosisz. Utonięcie wcale nie jest przyjemniejsze od spalenia się.

— Zaryzykujmy, co? Umiemy pływać, ale nikt z nas nie jest ognioodporny.

— Musimy nalać wody do wanny.

— Więc zrób to szybko! Nie mamy czasu!

Martin pobiegł na górę. Wiatr przewiewał ulicą kawałki żarzących się przedmiotów, od których zapaliły się gałęzie lipy. Wkrótce zapali się dach ich domu i znajdą się w pułapce.

— Są na zewnątrz! — zawołała nagle Amelia. — Stoją na werandzie! Mamo, są już pod samymi drzwiami!

Usłyszeli gwałtowne walenie.

— Otwieraj, Ruth! — rozległ się zaflegmiony głos. — Pospiesz się, nie każ nam czekać! Wiesz, czego chcemy! Chcemy twojego ciała! A ten młodziak chce twojej duszy!

Amelia trzęsła się ze strachu.

— Co robimy, mamo? Co mamy robić?

— Idź na górę i sprawdź, jak sobie radzi Martin. No już, bądź dobrą dziewczynką.

— Nie chcę! Chcę zostać z tobą!

— Ammy... rób, co ci się mówi! Proszę!

Dziewczynka pocałowała ją i powoli zaczęła wchodzić po schodach. Kiedy dotarła do półpiętra, odwróciła się.

— Nie daj im się skrzywdzić, mammo... Nie daj im się skrzywdzić...

Ruth palcami obu dłoni posłała jej pocałunek. Zaczekała, aż Amelia wejdzie do łazienki, a potem podeszła do biurka Craiga, wyjęła z ceramicznego kałamarza kluczyk i otworzyła lewą szufladę. W środku, staranie owinięty irchą, leżał glock.

Pimo Jackson ponownie załomotał w drzwi.

— Jeśli w tej chwili nie otworzysz, razem z braćmi wyważymy te drzwi! Słyszysz mnie?

Ruth odwinęła pistolet i wsunęła do niego magazynek. Odbezpieczyła broń i podeszła do drzwi frontowych, trzymając ją oburącz.

— To twoja ostatnia szansa, Ruth! Wejdziemy do środka, czy ci się to podoba, czy nie, i zabawimy się z tobą. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bawiłaś, uwierz mi!

— Nie panikuj, Pimo! Już dochodzę do drzwi!

— Oj, dojdiesz, dojdiesz!

Ruth lewą ręką odblokowała zamek i uchyliła drzwi na kilka centymetrów. Do środka wpadł wiatr, ciągnąc za sobą smugę dymu.

Przez chwilę panowała cisza i nic się nie działo, a potem Pimo ostrożnie pchnął drzwi. Stał na wycieracze z napisem

WITAMY i miał na twarzy białą, uśmiechniętą maskę. Freddie stał po jego lewej stronie, a Karło po prawej. Ruth uniosła pistolet i wycelowała go w głowę Pima.

— Witaj — powiedziała. — Z czego się śmiejesz?

— Cześć, Ruth... nie zrobiłabyś tego — odparł Pimo i zaczął kaszleć. — To byłoby zwykłe zabójstwo.

— Nie do końca. O zabójstwie można mówić tylko wtedy, gdy zabija się ludzką istotę.

Kiedy pociągnęła za spust, rozległ się ogłuszający huk. Odrzucony do tyłu Pimo z głośnym łomotem wylądował na środku werandy. Strzał zerwał mu z twarzy maskę, rozrywając ją na pół. Twarz Pima była patchworkiem z kawałków przeszczepionej skóry, z bezkształtnym nosem i ustami o opadających kącikach.

Freddie zrobił krok w jej stronę i Ruth dostrzegła błysk noża. Cofnęła się i strzeliła mu między oczy. Zawirował wokół własnej osi i sturlał się ze schodów.

Spanikowany Karło zaczął uciekać podjazdem. Wstrętny Chłopak stał pod lipą i obserwował go z beznamiętną twarzą. Ruth wciągnęła powietrze, wstrzymała oddech i strzeliła Karłowi w głowę. Z tyłu maski pojawiła się mała dziurka, a przez oczodoły wytrysnął mózg — jak u postaci z komiksu. Karło przewrócił się do przodu, zadygotał i znieruchomiał.

Ruth stała w otwartych drzwiach. Niemal każdy dom przy ulicy już się palił i wszędzie było pełno płonących ludzi. Z oddali dolatywało wycie syren ostrzegających przed tornadem, nie było jednak słyhać syren wozów straży pożarnej i radiowozów.

Kiedy wiatr przywiał kłęb dymu, Ruth zauważyła, że dach jej własnego domu również się pali.

Wstrętny Chłopak podszedł do werandy, uśmiechając się krzywo.

— Czemu to zrobiłaś, Jennifer? — zapiszczał. — Miałaś się mną opiekować, prawda? Uwierz mi, drogo za to zapłacisz.

— Wydawało mi się, że mnie kochasz. Moja córka uważa, że mnie kochasz. Powiedziała mi, że kochasz nas obie.

— Oczywiście, że cię kocham, Jennifer. Nigdy w życiu nie zrobiłbym ci krzywdy. Ani mojej siostrze. Chcę tylko, żebyś się mną zaopiekowała. Trzeba się mną zaopiekować, ale najpierw musisz zostać ukarana.

— Nie chcesz mnie, prawda? Nie chcesz też mojej córki. Chcesz tylko nasze dusze.

— Daj spokój, Jennifer. Nie dzielmy włosów na czworo.

— Nie jestem Jennifer, ale wiem, kim ty jesteś. A raczej kim nie jesteś. Nie jesteś rzeczywisty. Nie jesteś Andrew, Billym, Paulem ani żadnym innym nieżyjącym dzieckiem. A kim jesteś? Kto to wie? Chciwym duchem, który chce zebrać tyle ludzkich dusz, ile tylko mu się uda.

— Nie wiesz nic o niebie, Jennifer. A jeszcze mniej o piekle.

— I chyba wolę nic nie wiedzieć, dopóki się tam nie dostanę. Może zabrałbyś teraz te wszystkie biedne dusze tam, skąd przybyły?

Wstrętny Chłopak obejrzał się i popatrzył na wypę-

niających ulicę spalonych i palących się ludzi. Wszędzie kłębił się tak gęsty dym, że trudno było oddychać. Wszystkie drzewa płonęły, co wyglądało, jakby wzdłuż ulicy ustawiono gigantyczne lichtarze.

— Nie sądzę, by tego chcieli — oświadczył. — Czekają tam tylko ból i cierpienie. Ty byś wróciła?

Wszedł po schodach na werandę.

— Czego chcesz? — spytała Ruth. — Cokolwiek to jest, nie dostaniesz tego.

— Nie powinnaś tak mówić. Powinnaś się mną zaopiekować!

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, zaryglowała je i założyła łańcuch.

— Jennifer! — krzyknął. — Czemu to robisz?

Ruth pobiegła na górę. Martin i Amelia klęczeli przed wypełnioną wodą wanną. Martin zanurzył w niej ręce aż po łokcie.

— Musisz się pospieszyć — powiedziała Ruth. — Wstrętny Chłopak jest na werandzie, ale wątpię, czy długo tam pozostanie. Poza tym nasz dom się pali.

— Ona już tu jest — odparł Martin ze łzami w oczach. — Jest tutaj... czuję to.

Ruth również uknęła przy wannie. Popatrzyła w wodę i pod jej powierzchnią ujrzała ledwie widoczną ciemnowłosą młodą kobietę. Była niemal całkowicie przezroczysta, ale Ruth dostrzegła brązowe oczy, wargi i bladoróżowy ślad sutek.

— Mówiłem jej, że może przejść, a razem z nią wszyscy,

którzy trafili do ósmego kręgu piekła — powiedział Martin. — Nie wiem, czy to zrobią. Nawet nie wiem, czy mogą to zrobić, ale uczyniłem, co w mojej mocy.

Pochylił się nad wanną i dotknął ustami powierzchni wody. Szklista twarz Susan uniosła się i w tym momencie woda zaczęła kipieć i pryskać, jakby się zagotowała. Martin cofnął głowę i wyciągnął zatyczkę z wanny.

— Sądzisz, że to zadziała? — zapytała go Ruth.

Wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia — odparł.

Wstał i patrzył, jak reszta wody wypływa z wanny.

Amelia także wstała.

— Wiem, że zadziała — oświadczyła. — Już ich słyszę! Oni też przechodzą.

Ruth ruszyła do schodów, a Martin i Amelia za nią. Drzwi frontowe były szeroko otwarte, u podnóża schodów stał Wstrętny Chłopak i przyglądał im się uważnie.

Ruth uniosła glocka i wycelowwała do niego.

— Nie waż się wejść ani kroku wyżej, bo odstrzelę ci łeb!

Wstrętny Chłopak zachichotał i przyłożył dwa palce do ust.

— Zamierzasz odstrzelić mi łeb? Przecież uważasz, że nie jestem prawdziwy, więc jak zamierzasz to zrobić? Jestem zrobiony z prochów, Ruth! Prochów i wspomnień! Prochów i bólu! Nie można odstrzelić łba prochom!

Zrobił jeden krok w górę, potem drugi.

— Zastrzel go — powiedział Martin. — Zastrzel drania!

— No, dawaj! — syknął Wstrętny Chłopak. — Zastrzel drania! No, spróbuj!

Był już w połowie schodów. Ruth zawahała się — nagle ogarnęło ją przerażające przeczucie, że strzelenie do niego będzie najgorszym błędem w jej życiu. Nie był realnym chłopakiem, to na pewno, ale czym właściwie był?

— Zastrzel go! — krzyknął Martin.

Ruth strzeliła. W chwili gdy to zrobiła, Wstrętny Chłopak buchnął płomieniami — tak gorącymi, że musieli cofnąć się od szczytu schodów i osłonić twarze.

— Mamo... — jęknęła przerażona Amelia.

Cofali się w głąb domu, uciekając przed wspinającym się powoli po schodach płonącym chłopakiem. Prawą ręką trzymał się za balustradę i pod jego dotykiem lakier natychmiast dostawał pęcherzy. Różowo-zielona tapeta po jego lewej stronie brązowieła, a w leżącym na schodach dywanie pojawiały się wypalone ślady stóp.

Kiedy dotarł na szczyt schodów, wystrzeliwujące z niego płomienie syczały tak głośno, że Ruth nie mogła zrozumieć, co Martin do niej krzyczy.

Dopiero kiedy wyciągnął rękę i podniósł jej dłoń z pistoletem, pojęła, że chce, aby ponownie strzeliła do Wstrętnego Chłopaka. Wypaliła w sam środek płomieni. Słup ognia rozblysnął na chwilę, jednak Wstrętny Chłopak dalej szedł w ich stronę. Z każdym krokiem stawał się gorętszy i jaśniejszy, aż w końcu zamienił się w morze ognia.

Ruth próbowała wepchnąć Amelię do sypialni, ale nagle usłyszała głośnie, ostre szczeknięcie. Zatrzymała się gwałtownie, nie rozumiejąc, co się dzieje, a gdy spojrzała w stronę schodów, zobaczyła pędzący w górę kłęb ognia. Kiedy ognista kula dotarła do szczytu schodów, okazało się, że to płonący Tyson. Miał przeraźliwie czerwone ślepia i z paszczy buchał mu ogień, ale na pewno był to Tyson. Szczekał i biegł jak szalony, a gdy dotarł do Wstrętnego Chłopaka, skoczył mu na plecy.

Buchnęły płomienie. Wstrętny Chłopak wypadł przez balustradę — razem z wczepionym w niego psem — i obaj huknęli o podłogę na parterze niczym bomba napalmowa. Na boki wystrzeliły nowe płomienie i pomknęły w górę ścian. Ruth podbiegła do balustrady i spojrzała w dół.

— Tyson... — szepnęła. — Biedny, wierny psie... dziękujemy.

Amelia złapała ją za rękę.

— Powiedziałam, że nie odszedł na zawsze, prawda? Powiedziałam, że wróci!

Podszedł do nich Martin. Bez słowa objął Ruth i Amelię.

Od strony ulicy doleciał basowy, przeciągły grzmot.

— To nie grzmot — powiedziała Amelia, przekrzywiając głowę.

Ruth popatrzyła na Martina.

— Ammy ma rację, to nie grzmot. Ale co to jest?

Zeszli na dół i wyszli na zewnątrz. Większość budynków ciągle jeszcze się paliła, a nad ich domem kłębił się gęsty

szary dym. Tłum płonących ludzi falował niespokojnie, jakby wyczuwał zbliżającą się katastrofę. Niektórzy krzyczeli, inni wirowali wokół własnej osi z rozłożonymi szeroko rękami, przypominając wirujące na kole fajerwerki.

— To Susan... — szepnęła Amelia.

Ryk nasilał się i wiatr zrobił się o dziesięć stopni chłodniejszy. Ruth patrzyła na wschód, ale widziała jedynie ciemność. Płomienie zniknęły, a upiorną pomarańczową lunę, która unosiła się nad miastem, zastąpiła czerń. W oddali pojawiła się cienka biała kreska, przecinająca całą ulicę.

Z początku trudno było określić, co to jest, wkrótce jednak rozpoznali pianę, wielką falę piany, pchającą przed sobą drzewa, rowery, parkowe ławki, połamane płyty i inne *rzeczy*. Była to potężna ściana wody — cała woda z ósmego kręgu piekła.

Pędziła z łoskotem z taką szybkością, że żaden z płonących ludzi nie miał szansy uciec. Strzelające z nich płomienie natychmiast zgasły i cały tłum przybyszy z dziewiątego kręgu piekła — wraz z samochodami, krzakami, znakami ulicznymi i wrzeszczącymi żywymi ludźmi — został zmyty z ulicy. Ciemna, kipiąca mroczną zielenią ściana wody unosiła się coraz wyżej i wyżej i po chwili przyniosła ze sobą nowe szczątki: łodzie, pasy ratunkowe, połamane wiosła i setki splątanych ciał tworzących gigantyczną pływającą wyspę.

Kiedy woda zaczęła wspinać się na podjazd, Ruth, Amelia i Martin uciekli na werandę. Po paru minutach

włała się do wnętrza domu i z sykiem zgasła to, co pozostało po Wstrętnym Chłopaku i Tysonie.

Wszyscy troje wbiegli na schody i z ich szczytu obserwowali wirującą wodę. Od strony poddasza dolatywały trzaski palącego się dachu.

— Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli budować arki — mruknął Martin, kiedy woda dotarła do połowy schodów. — Nigdy nie byłem dobry z ciesielki.

Siedzieli na podeście ponad pięć godzin. Amelia cicho śpiewała swoje piosenki, a Ruth zasnęła z głową na ramieniu Martina.

O świcie woda zaczęła z bulgotem opadać, zabierając ze sobą skremowane szczątki Wstrętnego Chłopaka, czaszkę Tysona i setki przybyszy z piekła. Był to powolny, pogrzebowy strumień, który leniwie znikał w studzienkach i burzowcach, odsłaniając ulice pokryte różnego rodzaju śmieciami i ciałami mieszkańców Kokomo, którzy utonęli podczas tej powodzi. Ciała zmarłych powróciły do życia pozagrobowego.

Kiedy Ruth, Amelia i Martin wyszli na zewnątrz, świeciło wodniste słońce. Wiele domów ciągle jeszcze dymiło, okna w sąsiednich budynkach pokrywała gruba warstwa sadzy, a dach domu Cutterów był spalony po krokwie, ale asfalt już wysechł.

— Wszyscy ci ludzie... — szepnęła Ruth. — Naprawdę będą cierpieć taki straszliwy ból? Na wieki wieków?

Martin uniósł dłoń, jakby chciał dotknąć jej włosów.
— Wszystko, co robimy, jest na wieki wieków — odparł.

♦ ♦ ♦

Trzy dni później, kiedy Ruth była u swojej przyjaciółki Margaret w Lafayette, zadzwoniono do niej ze szpitala Świętego Wincenta w Carmel, dokąd po powodzi przeniesiono Jeffa.

— Pani Cutter? Mówi doktor Petersen. Przykro mi to mówić, ale mniej więcej godzinę temu pani syn Jeff doznał rozległego zawału serca. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, jednak mimo naszych wysiłków odszedł.

— Odszedł? — wymamrotała Ruth.

Patrzyła przez okno na Amelię bawiącą się na podwórku z pięcioletnim synem Margaret, który bardzo przypominał małego Jeffa. Słyszała, jak oboje się śmieją.

— Przykro mi — powtórzyła doktor Petersen. — Na prawdę mi przykro.

♦ ♦ ♦

Trzy miesiące później, kiedy Ruth weszła do pokoju Amelii, aby powiedzieć jej dobranoc, dziewczynka powiedziała:

— Mam nadzieję, że Jeffa nie boli.

Ruth patrzyła właśnie na stojące na biurku Amelii oprawione w ramkę zdjęcie Jennifer Steadman, która uśmiechała się blado.

— Skarbie... oczywiście, że nie. Jeff spoczywa snem wiecznym. Tylko źli ludzie idą po śmierci do piekła.

— Nie wiem. Czasami wydaje mi się, że go słyszę. Kiedy zasypiam, szepce do mnie: „Ammy...”.

— To dlatego, że tęsknisz za nim — odparła Ruth.

Podeszła do okna i chwyciła brzeg zasłony, ale kiedy chciała ją zaciągnąć, ujrzała stojącą pod lipą postać. Był to wysoki nastolatek z potarganymi włosami. Stał bez ruchu, wpatrując się w dom.

Przyjrzała mu się uważnie. Miał na sobie czarny T-shirt i czarne dżinsy. Z przodu koszulki widać było czerwone litery układające się w napis: CATTLE DECAPITATION.

Uniosła dłoń, ale chłopak nie zareagował na ten gest i nie wiadomo było, czy w ogóle go zauważył.

— Mamo? Co się stało? — zapytała Amelia.

Ruth wyszła na schody.

— Craig! — zawołała. — Craig!

Jej mąż wyszedł na korytarz i popatrzył w górę. Na poparzonych dłoniach w dalszym ciągu nosił białe bawełniane rękawiczki.

— O co chodzi, skarbie?

Ruth zawahała się. Zupełnie nie wiedziała, jak mu powiedzieć, że ich syn powrócił.